

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF BOHDAN DZIEKOŃSKI

SĘDZIWOJ

**JAŚNIE WIELMOŻNEJ
TEOFILI Z PODBIPIĘTÓW KUROWSKIÉJ**
chorążynie powiatu dziśnieńskiego,
jako słaby dowód wysokiego szacunku
i poważania
a na pamiątkę roku
1839
tę pracę
poświęcam

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Prolog

W POŚRODKU EDENU STAŁY DWA cudowne drzewa świata: drzewo wiadomości i drzewo życia. Owoce jednego z nich dozwolono pożywać ludziom, tamtego kosztować dla ich niewinności było im wzbronione. Jeden Feniks, ówczesny król skrzydlatego rodu, gnieździł się wśród konarów, on jeden żywił się drzewa mądrości nieśmiertelnym bogów owocem.

Pożądliwie przysunęła się Ewa i chciała go zerwać, gdy Feniks, przedwiecznej prawdy świadek, głos swój wznosił i wieszczo jej rzekł: „Uwiedziona, gdzież błądasz się? Co ujrzysz, gdy oczy twoje otworzą się? Rozumiesz, że będziesz boginią, a ujrzysz się nagą, ujrzysz się ubogą!” - Lecz spojrzenie Ewy tkwiło w łudzających owocach i w chytrym zwodzicielu; przestąpiła zakaz Twórcy nie zważając na wieszczego głosu ptaka.

A oto wnet na wszystkie twory przyszła śmierć - oddzielony Feniks na wieki pozostać miał niewinnym rajowi świadkiem. Lecz i on ze wszystkim, co żyło, ustąpić musiał z siedliska niewinności, jak ci, co uwiedzeni byli. Królem nieprzyjaznych już między sobą ptaków pozostać nie żądał; jego szczęśny, spokojny tron zajął srogi, krwiożerczy orzeł. I nieśmiertelność w grubym, zatrutym powietrzu ziemi tylko przemianą utrzymać mógł, przemianą, która go co lat sto szybko i spaniale odmładza.

Gdy godzina jego się zbliża, wolno mu do Edenu przylecieć. Z drzewa życia i drzewa wiadomości obłamuje stare i suche gałęzie, a płomień stosu ciała jego rozwiązuje. Drzewo mądrości zadaje mu śmierć, płomień z drzewa życia nową młodość. I wtedy znów cofa się do pustyni, bolejąc nad utratą raj, do nowego zmartwychwstania - ten piękny, jedyny, na świecie naszym tak rzadko widziany, jeszcze rzadziej słuchany, świadek nieśmiertelnej prawdy. *

* Jeżeli każda książka potrzebuje przedmowy, a przedmowa ma być tylko rekomendacją i uniewinnieniem się autora przed czytelnikiem, co teraz często w użyciu, to zaiste szkic ten dłuższej od siebie wymagalby obrony przed kartkami krytyki. Będąc jednak zanadto przekonany o pośredniej tylko wartości podobnych utworów, wolałem zamiast wstępu lub przedmowy umieścić na początku tę piękną i pełną znaczenia legendę Herdera, która całe duchowe dążenie tego pisma dostatecznie wskazuje.

Alchemia, nauka tajemnicza, przez tyle wieków zapalająca ciekawość i namiętność ludzi, uważana z jakiegoś stanowiska, otwiera niezmiernie pole wyobraźni.

Granice rzeczywistości giną tu roztopiając się w cudowności, która znowu - uświęcona podaniami historycznymi - nabiera prawdy artystycznej, zadowalniającej wszystkie wymagania sztuki. Zbytecznym byłoby wykazywanie, iż podobny przedmiot dla poezji romantycznej nadzwyczaj jest pociągający: z tej przyczyny każda literatura oświeceniowych ludów posiada utwory, których alchemia lub spokrewnione z nią nauki są treścią lub podstawą.

Autorowi niniejszego pisemka mniej chodziło o oryginalność szczegółowych pomysłów, dlatego nie unikał już objawionych myśli, gdzie mu się nastroczyły z tychże samych źródeł czerpane, ponieważ całość usnuta jest wiernie na szczupłych podaniach, jakie nam historia przekazała o rodzinnej naszej postaci tyle sławnej swego wieku, z nadaniem jednakże własnego samodzielnego dążenia pojedynczym danym.

Życie Michała Sędziwoja, dziś jak przez mgłę rysujące się, przedstawia właśnie owe warunki bytu w połowie do tajemniczej nauki, w połowie do rzeczywistości należące; a jeżeli zarzucić słusznie można, iż autor nie umiał z tej poetycznej postaci korzystać, to przynajmniej sumienności rysowania wszystkich zewnętrznych szczegółów nikt zarzucić nie zdoła.

CZEŚĆ I. WIEK ZAPAŁU

„Poezja jest bramą mądrości.”
Grzegorz z Sanoka

I. Który można opuścić

„Kiedy się Strzelec z Panną i Wagą przechyli,
Kiedy Rak i Kosa drogę swoją zmyli,
To morowa zaraza, głód, śmierć i zniszczenie,
Zgrzybiałego wieku zbliża odrodzenie.”

Proroctwa Michała Nostradamus

„Na to się zrodziłem, aby rotę piekielną wojować
i z diabłem zwodzić harce, dlatego wiele z moich
ksiąg wojną i potrzebą dyszy.”

Dr M. Luter

JUŻ Z POŁOWĄ SZESNASTEGO stulecia słońce wiary coraz więcej traciło swoją świętość. Nie wszędzie od zachodniego brzasku jaśniały krzyże wyniosłych świątyni gotyckich; budowle te, wymowne tajemniczymi kształtami, ogarniał mrok, stały się niezrozumiałe dla ludu, reszta uważała je za zyskowne urządzenia polityczne, a rzadko kto spoglądał na ich wieże jaśniejące znakiem Zbawiciela, bo wszyscy zwracali oczy na ziemię, która zaczynała się czerwienić krwią ludzi pierwszy raz biorących się do broni za nowe myśli.

Nad czeską Pragę z głuchym grzmotem zbierały się czarne chmury brzemienne trzydziestu latami mordów i pożog, które wkrótce całe Niemcy piorunami swymi zapalić miały.

Cały świat dziejowy był zachwiany, bo wspólne serce wszystkich uderzone - wiara! Stąd po wszystkich tętnach europejskiego systematu państw przebiegło jedno elektryczne wstrząśnienie. Pojedyncze wulkany otwierały się w różnych miejscach i fale ludu jak wzburzony ocean biły z równin i siół z trzaskiem o dumne kasztele i burgi, i bogate kościoły, jak o skały wśród morza. Jedne zawały się, druzgocząc w upadku zdobywców, inne opierały się potokowi czasu na później zachowane pomniki krwią i dymem malowane. I burze te były jakby symbolami późniejszych wieków odmian, zwiastunami nowej karty dziejów ludzkości.

Przywódcami, na których głos poruszały się tysiące, nie byli ani możni rycerze, ani genialni statysci, ani wielcy książęta, ale albo prosty śpiewak wędrowny, albo mnich, albo chłop wzywał do walki, a znaki ich sztandarów były żyjącym szyderstwem tego, co wieki poważaly.

Lecz i świat myślowy nie był pogodniejszy. Kilkuwiekowy mir ze starożytnymi mistrzami zerwany. Poważne starożytności postaci, przystrojone niegdyś w doktorskie birety i togi, wyszydano, druzgotano, podobnie jak posągi świętych. Scholastyczność tyle lat z Arystotelesem panująca zbledniała, zbliżał się czas, w którym ją werulamski kanclerz wtrącić miał na zawsze w przepaść bibliotek. Na próżno niektóre sekty i klasy podstępnie bojem broniły tego filaru własnej potęgi, najheroicniejsze lekarstwa z suchot scholastyki uleczyć nie mogły. Już nie przysięgano na słowa mistrza. Wszystko, w co wierzone, wszystko, co od kilkuset lat

uznawano za aksjomat, za prawdę, teraz kto chciał rzucał bezkarnie jako problemat i powątpiewanie wśród legionów uczonych, a każde zdanie stawało się kością niezgody. Wnet tłum rozdzielał się na stronnictwa; szyki pisarzy, dysputujących pod chorągwiami starych mistrzów lub nowatorów, wiodły równie jak orężem zacięte walki. Spory religijne, spory naukowe, spory o życie i swobodę, spory o antymon, o tytoń, o okrągłe periody, o Galena i Hipokratesa, o kozią wełnę, spory o nie z jednostajną zażartością prowadzone były, jakby stara Europa na to resztkę zachowanej rycerskiej energii wydawała. Bandy studentów wędrownych, ostatki dogorywających minstrelów w zwyczajne rzemiosło zamienionych, prorocy, alchemicy, astrologi, czarownicy, pielgrzymi wzdłuż i wszerz przebiegali świat a wszyscy krzykali: „Ludzie! oto nowe źródła życia, nowe siły wam ukazujemy, słuchajcie!”

I wszyscy jak w ciemnościach macali dokoła siebie, czuli, iż wielka, nowa epoka się zbliża. Nie chcąc czy nie umiejąc tłumaczyć przeczuć mniemali, że trwałe światło ich olśniło, nie uważali, iż niebo zasłonięte ciemnym kirem i krwiste błyskawice tylko wzrok zaciemniają. A w głębi sceny kolosalna postać Lutra z sarkazmem na ustach, z Biblią w jednej, a garścią popiołu z potępiającego wyroku w drugiej ręce, wznosiła się nad tłumami jak zjawisko nie z tego świata. Głos jego już brzmiał z przeszłości, a jeszcze tak głośno echo brzmienie roznosiło, jak trąba ducha obwołującego zmianę ludzkości. Wyrazy jego proste, grube i zrozumiałe, dotykające tak śmiało tego, czego dawniej nawet myśl nie dotykała, uderzyły gmin i gmin widząc pierwszy raz, iż wolno mu bezkarnie rozbierać w swej mowie, w swym sposobie to, czego dawniej tylko słuchać, w co tylko wierzyć musiał, nie badał następstwa, nie pytał o koniec, ale w imię jego krwią chrzczył świat nowych wyobrażeń. Gdy raz na wpół uchylono tajemną zasłonę przybytku wiary, lud chciał do samego serca się wdrzeć i zwałając nie pytał, czy budowa na gruzach będzie trwalszą.

Na próżno ostatni sobór w Trydencie ponure zasiadł koło. Olbrzymi pożar objął w ogniste uściski całą kościelną budowę - płomienne języki lizały ostatnie jej zakątki, a poważne grono z zastarzającymi siłami nie domyślało się, iż wszystko stracone; upojeni jeszcze wielkością Hildebrandów, Sykstusów, dumnie patrzeli, jak pękające szczątki zatłone daleko padają, aby ze stu końców zarazem objąć Europę jednym ognistym wirem reformy - czekali cudów, ale cuda nie wsparły żądz ziemskich.

A ci, co poklaskiwali pastwiącym się płomieniom, rozumiejąc, iż z popiołów ludzkość wstanie odmłodzona, dumne tytany, nie mniemali, iż własny rozum tak prędko jeszcze niżej ich strąci.

Tymczasem gdy wśród takich walk znużeni opuścić chcieli ręce i spocząć na chwilę, to za mordami, pożogą i kłótnią wstępowały w ślady: głód, fałszerstwa, straszne, nie znane niegdyś choroby, a wreszcie morowa zaraza, wielkimi krokami przechodząc świat, wlokła za sobą całun śmierci i zmiatała nim spustoszone wsie i miasta.

A znów ludzie się porywali, ostatnich sił dobywając; po rynkach, po ambonach ogłaszano koniec świata: i jedni z trwogą, inni z bezsilną apatią czekali drugiego potopu lub uderzenia komety.¹

Wszystkie myśli udręczone, znużone

śmiertelnie, szukały jakby z rozpaczą nowej prawdy, nowej wiary. Szatan, ów diabeł, który się jednemu z nowatorów objawił w tym wieku, był istotą rzeczywistą, prawie widzialną, było to ciągle czynne, złe principium, i kto się boskiej sprawie poświęcał, musiał napady jego koniecznie i wszędzie spotykać. I tenże szatan, jakby na szyderstwo, wśród niby powrotów do

czystego rozumu dowodził ludom przykładem, iż wiara jest wrosła w duszę człowieka, zmniejszywszy wiarę w tajemnice religii, zaczęli jej szukać, uporczywiej niż kiedy wśród marzeń i wysień, w świecie niewidzialnym.

Lepiej poznany od wojen krzyżowych czarowny Wschód dawno już udzielił Europie ziarn tych wiadomości, które tak dobrze się aklimatyzowały, tak bujnie kwitły - były to: magia, astrologia i alchemia.

Jako trzy kolumny tajemniczej świątyni, w której spoczywał niby w grobie „**kamień mędr-
ców**”.

Lecz nauki te już powszechnie nie pojmowane w duchu mędrców, wewnętrznie, ale jako tajemnice zmysłowe bezideowych sił szczęścia doczesnego. Kamień mędrców uważano tylko trochę więcej, jak cudowną łaskę Mojżesza, bo złote źródło z opok wywodzącą, nadającą ludziom wieczną młodość.

Tysiące nad odkryciem wielkiej tajemnicy pracowało. Niewielu poświęcało się nauce dla nauki, dla prawdy, wierząc, iż każdy postęp jest już kamieniem mędrców dla ludzkości; za to roili się legiony pseudouczonych, dmuchaczy lub ambitnych panków i władców; oddawali tym badaniom spokojność i majątek, a nie poświęcając się na kapłanów nauki szukali tylko materialnego zysku, chcieli od razu zerwać owoc długich badań, aby złoto i nadludzka potęga przysły w pomoc ich dumie, egoizmowi i żądom. Wyzywali gwiazdy, aby przepowiadały ich rozboje i potwierdzały heraldyczne chimery: nikkzemni, szukali w diamentowym na niebie piśmie śladu swej chwilowej, brudnej, ziemskiej wędrówki. Lecz przede wszystkim wszyscy szukali złota.

„Złoto - mówił Krysztol Kolumb - jest wyborną rzeczą: złoto tworzy skarby, za pomocą złota można dostąpić wszystkiego, czego się żąda na świecie.”

I w istocie, w epokach przychodu i fermentacji złoto jest bogiem świata. Cały trud tylko polegał na wywołaniu tego leniwego złota z ukrytych tajników, w których spoczywało. Nie pojmując jeszcze wtedy owej wielkiej idei nowożytnej, iż człowiek może stworzyć bogactwo zamieniając podłą materię na przedmiot bogaty, nadając mu bogactwo, które w nim leży, bogactwo formy, sztuki, woli rozumnej, szukano bogactwa w samej materii. Przyczepiano się do materii, dręczono naturę zapamiętałą miłością, żądając od niej nawet życia, nieśmiertelności. Lecz pomimo rozgłaszanych tyle razy bogactw Lulliuszów, Flamelów, znajdowane złoto ukazywało się, aby uciekać, uciekało, zostawując dmuchacza znużonego; niemiłosiernie topiło się, a z nim istota człowieka, jego dusza, życie włożone na dno tygla.

Wtedy, nieszczęsny, tracąc nadzieję w ludzkiej potędze, zapierał się sam siebie, abdykował wszystko dobro, duszę i Boga. Wyzywa złe: diabła. Jako król podziemnych otchłani, on miał być zapewne monarchą złota. Patrzenie na kościołach średniowiecznych smutne przedstawienie biedaka, który duszę swoją za złoto sprzedaje, który staje się lennikiem diabła, klęka przed potworem i kosmate szpony całuje. Do niego udawał się gmin, był to fałszywy przemysł, niezdolny do zdobycia skarbów, jakie wola zgodna z naturą dać są w stanie, starał się zyskać gwałtownością i zbrodnią to, co tylko praca, cierpliwość i rozum dać są w stanie.

Oskarżenia i procesa tłumem się tłoczyły, a czarnoksiężstwo było do wszystkich wmieszane, tworzyło ich okrasę pociągającą i przerażającą.

* Zbadanie przyszłości, przeznaczenia, wrodzone jest ludziom; najoświecieńsi, najwięksi, nie byli obojętni na uchylenie zasłony ich losu. Były jednak czasy, w których przepowiedniom nadzwyczajną dawano wiarę; między innymi w XV i XVI wieku szal ten był powszechny. Z owych czasów najczęściej nas doszło proroctw.

Posuwano w nie wiarę aż do śmieszności. W 1518 r. wielki astrolog i matematyk, Jan Stefler, w dedykowanej królowi hiszpańskiemu, późniejszemu cesarzowi Karolowi V, księdze pod tytułem *Prognosticon*, przepowiadał wielki potop, mający całą ziemię zatopić, roku 1524 w miesiącu lutym.

Proroctwo to sprawiło tak pomiędzy ludem, jak i pomiędzy możnymi, ogólny przestрах.

Jenerał cesarski, hrabia Wit-Rango, niczym od wiary w tę przepowiednię odwieść się nie dał, żądał koniecznie, aby mu dozwolono wynieść się z wojskiem na najwyższe góry i zawczasu radził tamże magazyny zakładać. Obawa tego potopu panowała jednostajnie prawie w całej Europie; we Francji wielu ludzi ze strachu utraciło rozum. Każdy zawczasu przemyślał o sposobach ratunku. Wielu z posiadających dobra ziemskie nad morzem i wielkimi rzekami sprzedawali swoje majątki i udawali się w góry, oczekując potopu. Inni budowali okręta dla ratunku. Prezydent Auriol w Tuluzie kazał dla siebie i całej swojej rodziny wystawić wygodną arkę i opatrzył ją we wszystkie potrzeby. Spoczywała ona na czterech wysokich murowanych słupach, aby nie od razu z pierwszą wodą spłynęła. Nie tak daleko sięgnął w przeczności Hendorf, niemiecki burmistrz w Wittenbergu; zamiast arki przygotował sobie mieszkanie pod strychem swego domu, dokąd przede wszystkim wnieść kazał kilka beczek dobrego piwa na pociechę wśród okropności potopu. W końcu nadszedł straszliwy dzień oczekiwanej przepowiedni - piękna pogoda zadała kłamstwo prorokowi. Pomimo to astrologia nie straciła powagi, nadzwyczajnym modlitwom i postom księży przypisano odwrócenie klęski, a tenże sam Stefler odważnie znowu przepowiedział koniec świata na rok 1568.

II. Laboratorium

**„Mercurius: Powiedz mi, czego szukasz?
czego żądasz? co robić myślisz?**

Alchemista: Kamień filozoficzny.”

Scedivogius, *Dialogus Mercurii Alchymistae et Naturae*

ALPY ZASŁONIŁY SŁOŃCE, olbrzymi cień rzuciły na doliny, tylko wierzchołki wiecznym śniegiem pokrytych skał i lodowców rubinowym jaśniały blaskiem, z drugiej strony noc już rozciągała krepowy płaszcz na sklepienie nieba i w odwiecznym porządku rozpałała gwiazdy. Z wysokiej wieży kościoła Panny Marii uderzył zegar dwadzieścia cztery razy, a ponad mury i dachy Bazylei uleciał dźwięk w ciszę wieczoru, w dolinę poważnego Renu.

Było to na początku roku tysiąc sześćset trzeciego, kiedy postać miast stosowną była do czasu, w którym siły gwałtu i oręża nawet w pokoju obawiać się trzeba było.

Światła z wolna gasły, a w ciemne, wąskie i kręte ulice, wysokimi otoczone domami, rzadko kto wieczorem odważył się zapuszczać. Tu i owdzie tylko spiesznym krokiem sunął do domu opóźniony mieszczanin z latarnią i laską okutą w rękę. Później jeszcze z wrzawą przebieży czereda włóczących się studentów z gromadą dziadów i żebraków, do nich przyłącza się niejeden milicjant miejski z rohatyną, wołąc porozumieć się z nocną gawiedzią, jak staczać krwawe i niepewne bitwy w ciemności. Gdy i ci przeminęli, łańcuchy przez puste ulice rozciągnięto i posępny róg z wieży zawyje, wtedy wychodzi stróż nocny. W brunatnej oponczy, dziwnie upstrzonej białą naszytymi trupimi głowami, dzwoniąc w rozbity dzwonek, woła jednotonnym grobowym głosem:

„Wy, którzy śpicie, módlcie się za umarłych!”

A stapanie jego wolne rozlega się długo po kamieniach. Tymczasem wszystkie już światła pogaszone i znowu dziki jęk rogu uderzy z wieży kościelnej: to znak, iż znowu jedną godzinę czasu pochłonęła wieczność.

Cała Bazylea, w dzień tak głośna i żywa, teraz jakby wymarła. W jednym tylko z domów na końcu górnego miasta, w wąskim, zakratowanym okienku, pod ostrym szczytem miga krwawe światło. Raz gaśnie, to znów się zмага, zmienia barwę, a z wysokiego komina, wśród gęstego dymu, sypną czasem iskry i ulecą, znikną w ciemności; a wtedy blaszane smoki chorągiewek i rynien na dachu błyszczą w ciemności, zdają się żywe. Ten dom bezpieczny, wieczorem każdy go mieszkańiec omija; strzeże go podanie niedawne, tym więc łacniej znajdujące wiarę.

Przez kilkanaście lat pracownia była opuszczoną, teraz parę miesięcy już, jak co noc błyszczą światłem.

Mieszkał w niej młody Polak, nieznan, lecz imię jego wkrótce w całym świecie zasłynąć miało. Naumyślnie wybrał ten zakąt, by swobodnie mógł się oddawać pracom, dla których

opuścił dom rodzinny, poświęcił młodość i wszystkie jej przyjemności. Nazywał się Michał Sędziwoj i liczył wtedy lat dwadzieścia cztery.

Niewielką izbę oświetlała lampa, na kominie słabym błękitnym blaskiem gorzały węgle obłożone wkoło trójkątnego tygielka. Obok na ławie siedzący sługa Sędziwoja, Jan Bodowski, znudzony pracą, czuwaniem i nudami drzymał oparty o ścianę, z głową na piersi spuszczoną i wyciągniętymi nogami.

Przed stołem zastawionym naczyniami szklanymi i metalicznymi różnego kształtu, otoczony stosami ksiąg, spoczywał młody alchemik. Przed nim rozwarty foliał, traktaty Bazylego Valentyna. Utopił w nim wzrok, ale wzrok ten, łatwo byś dostrzegł, nie w tych wyrazach szuka teraz myśli; zarzucony jak kotwica, gdy uwaga spoczywa na powierzchni, w głębi duszy roją się tłumem potworne marzenia.

- Nic i nic! - głucho zawołał wreszcie, uderzając ręką w księgę z głębokim zniechęceniem niewiary, a rozżarzone długim natężeniem myśli zaczynały coraz jaśniej przyskać i buchać w mimowolne słowa.

- Tyle lat pracy, tyle dni bez przerwy i nocy bez spoczynku żyję tym jednym światłem, a dookoła ciemniej niż kiedy!

- Adelo! od czasu jak ciebie ujrzałem, natchniony tą myślą, nią oddycham, w nią patrzę, jak w gwiazdę zbawienia, a gwiazda w błędny ognik zmieniona wodzi mię po bezdrożach kłamstwa!

- Nadzieja! szatański wymysł! Hydra, której doświadczenie co godzina sto głów urywa, a ta w następnej wnęca nas do labiryntu własnych marzeń, aby potem szydzić, gdy w rozpacz nie umiemy wrócić na świat, wrócić między zwyczajne ludzkie myśli, którym staliśmy się obcy! Od czasów wielkiego Hermesa - Egipcjanie, Grecy, Rzymianie, Arabowie, pierwsze potęgi umysłów, cały zaszczyt świata rozumnego, poświęcali swe trudy wielkiej tajemnicy. - I cóż z prac tylu, z tylu wieków za ślady? - Słowa! słowa, a nigdzie światła prawdy! - Ten ludzi kilkadziesiąt lat siebie, po śmierci, jakby przez zemstę, ludzi innych pismami! - Ów nie wierzył, szydził w głębi duszy z tajemnic, szczęśliwy kuglarz, głoszony za adeptę, poza grobem ukradzioną sławę zagadkami przedłuża - wszędzie obłuda, bluźnierstwo! - A ja, mamże, młody, żywić szaloną myśl odkrycia prawdy w samym jej przysionku!

- Miałażby to być fałszem? Miałażby ludzkość tak długo przed sobą kłamać, aż wreszcie, jak stary łgarz, uwierzyła własnemu kłamstwu i rzuciła niby dla dzieci zabawkę - zadanie kamienia mędrców?

- A te stosy foliałów, gdzie jeden pomysł na tortury brany wydaje głosy, o których mu się nie śniło! - A te chełpliwe zaręczenia tylu tysięcy uczonych - a te oczewiste świadectwa całej powagi historii - wszystkoż to ma być złudzeniem albo zwodniczym kuglarstwem? - Ha! wtedy, cała uczona ludzkości, nawet byś wzgardy niewarta!

- Ale nie! - człowiek upaść może, lecz ludzkość nie błądzi! - Jedno kłamstwo trzydzieści wieków żyć nie zdoła! - Gdy rozum odmawia świadectwa, to wiara ożywi nadzieję - poważne cienie, przebaczenie! - Wierzę, z głębi duszy wierzę w istnienie wielkiej tajemnicy, ja jej dojdę albo zginę!

- Abu Izmaelu! mistrzu mój, prześladowany męczenniku prawdy, ty mi ją objaw! - nie zdradzę - na lepszy cel i ty byś jej nie użył!

- Nie jestże to szalony los - gardzić złotem, całymi ziemi bogactwami, a krwią własną, zbawieniem chcieć go się dokupić! - Tłum wielbi cierpliwość; patrząc na głębokie znaki, jakie

dreńczęce zagadki przedwcześnie na czole wyrują - pobłąza nienasyconej chuci - z twoich oczu stara się wyczytać nadzieję złotego plonu dla siebie. - A potem - jak drugiego Kolumba po odkryciu złotych krain wiecznej młodości - rzuci cię jak narzędzie już niepotrzebne!

- Adelo! bylebyś ty mnie zrozumiała, Jedno twoje spojrzenie budzi we mnie nieznaną siłę. Twoja miłość uwieńczy szczęśliwe natchnienie, a co oni dla żądy złota zbadać nie mogli, to ja dla jego wzdargy odkrywę! - Odkryję, aby je zniszczyć! - Aby wam pokazać, iż ten bożek, przed którym kłękacie, jest tyle wart, co bryła podłego ołowiu! - Aby całą waszą wielkość w ręku waszych, pod zamkami chowaną, jednym słowem zniweczyć - bo i czymże by się stał ten świat potężnych mocarzy, gdyby im odebrać ich złoto! A wtedy, odrodna ludzkości, uznasz jedyną, prawdziwą wielkość na ziemi - potęgę geniuszu i miłości!

I w zamyśleniu opuścił głowę na ręce, duch jego marzeń niema z przecuciami kończył rozmowę. W piecu pracowni prażony w tyglu metal mocniej począł szumieć, Sędziwoj obejrzał się i patrząc łagodnie na śpiącego sługę sam poruszył miechem, ale Jan się ocknął i przecierając oczy wrócił do swej roboty.

- Panie - rzekł po chwili - ten dym węglowy, ten szum wiatru w kominie, to człeka rozmarza, nieznacznie usypia. Bo to u nas, prostych ludzi, nie tak jak u pana, co w głowie kręci się rozmyślanie i zasnąć nie daje, u mnie chyba raz w tydzień, w niedzielę, zatumani coś w mózgu, dziś zasnąłem, wybacz pan. I tak mi się coś dziwne rzeczy roły...

- Mów, Janie, sny szersze i mędrze nieraz od życia na jawie. I ty we śnie innym jesteś człowiekiem.

- Mnie się zdało, że byłem w Krakowie, i znowu, jak dawniej na dworcu rodzica pańskiego, huczno grali surmacze, zdało mi się, że panicz wesoły, jak niegdyś, hasał wesoło, jakby chciał nagrodzić tę długą tęsknicę. I drużyna, i wszystkie twarze znajome, nasze, szczerym witały uśmiechem. - Dalibóg, paniczu, we śnie mi się zdało, że byłeś szczęśliwy - i ja także...

- Tu ci nudno, Janie, tęsknisz do swoich, wróć się do Krakowa...

- O! pan tego nie myśli, cóż by ja, biedny sierota, sam począł? Gdzie jest panicz, tam mój dom, wasze szczęście - moje szczęście. Rodzic wasz mnie podjął z ulicy, jemu winienem życie; z wami chowałem się, wam winienem mą służbę. Bo człek, choć prosty, czuje, że za dobre dobre - tak każe święta wiara. Ale dlatego też smutno mi nieraz, gdy patrzę, jak panisko z daleka od swoich po obczyźnie się tuła i tak nędźnie tyra swoją młodość. Juści to, chwala Bogu, pięć lat minie na świętego Jakuba, kiedyśwa ostatni raz porzucili Kraków. Ja wiem, dobre to jest alchemika; ja wiem, pan wielkie rzeczy buduje, ale abo to potrzebne konieczne? Jest ci scheda po rodzicu niegorsza, i kamienica piękna w Krakowie, i stolnie pod Kromołowem bogate, toć na życie szlacheckie wystarczy, paniczu! - A teć tam, z tyglów bogactwa, bez obrazy pana, nie wiem czy to Pan Jezus przenajświętszy błogosławi - mnie się nie tak widzi! - Albo i te barony! ani słowa, pan sam lepiej wie, do kogo się udać, aleć nieraz ja słyszał, że córki nie dadzą - nieraz ich dworskich przekąsy...

- Przestań - przerwał niechętnie Sędziwoj - już mówiłem, abyś o tym nie wspominał. Lubię słuchać twej mowy, to mi strony rodzinne na pamięć przywodzi! Ale jeśli nie chcesz milczeć, o baronie ani słowa!

- Wybacz pan, ja szczerze, nieuczzone mam serce, i co słyszę i czuję wypowiadam szczerze, ale jeśli obrazam, przestanę. Bo jak pan wyjdzie na miasto, mnie samego ostawi, to tak nudno i strasznie w tym domisku zaklętym, że co tchu umykam do karczmy: a tam człek nieraz nierad co usłyszy. Ale bo też wybrał pan sobie mieszkanie! - a chociaż to całe heretyckie

gniazdo, to w całej Bazylei nie ma straszniejszego. Dom cały czarny, jakby z kuźni wywleczony, a te smoki na dachu, te gadziny kamienne nad drzwiami - człowiek co spojrzy, to zęgnąć się musi. Jakeśwa się tu tylko wprowadzili, ja spojrział na ten obraz i zaraz mi coś szepnęło, że nie święty to człowiek, co tu malowany. - I niech no pan patrzy, jakie oczy, z całej twarzy tak mu coś świeci, jakby za żywota trochę ducha z ciała w malowidle się utaiło. I gadatliwy Jan wziął łuczywo z komina, zaświecił przed dużym, w całej postaci portretem, co wisiał na przeciwnej ścianie.

Sędziwoj powstał, przystąpił i długo wpatrywał się w obraz. Wystawiał on człowieka, co może już zaczął drugą połowę wieku. Czoło wypukłe i łyse, ocienione z boków kępami rzadkich, siwych włosów; spod czarnych brwi przenikliwe oczy zdawały się utkwione w patrzącego, usta szyderyczym uśmiechem rozwarłe, kręta broda i wąsy spadały na piersi. Jedną rękę trzymał na kaftanie, widna w niej była złota puszka; w drugiej, spuszczonej, miał zwój papieru, a postać cała zdawała się z obrazu zstępować naprzód.

- To, panie - mówił dalej służący - był także alchemik*, on dom ten cudacki zbudować kazał i tu cały żywot w tej izbie przepędzał. Miał to być niegdyś pan bardzo możny i bogaty. Ale cóż z tego, kiedy to człek zawsze chce mieć więcej; tak i on, tu na tym kominie topił, prażył, gotował dopóki nie przealchemajował wszystkiego. Żona mu zachorzała, i nie dziwota, albo to nie boli patrzeć, jak wszystko tak marnieje? - A jego to nie poruszyło, tylko ciągle dmuchał na węgle. Ale wreszcie, gdy ludzką mądrością nic nie mógł zyskać, pożyczył diabelskiej - otóż to taki koniec.

Tu opowiadacz pobożnie przeżegnał się i przybliżywszy obejrzał dokoła i ciszej mówił:

- Mnie to, panie, opowiedział pod sekretem jeden staruszek, co służył u niego. To prawda szczerą. Tak też zyskał; bo kiedy raz zaklął mocy nieczyste, a oprzeć im się nie umiał, duszę z niego żywego wywlekły. Chociaż go pochowali w tym wielkim kościele Matki Boskiej, dusza jego niespokojna i powiadają, że dom ten nawiedza. Ja bym radził, panie, nie trzeba licha budzić, wyprowadźmy się stąd. Oto tu, w tej samej izbie, znalazła go nieżywego jego żona. To, panie, żona jego ta chora i blada kobieta, co nam te komnaty najęła. - Biedna niewiasta, widno już, niech błogosławieństwo Boskie spoczywa na nich - nie wiecie im się. Ot, i teraz, nieboga, zapadła mocno, jej córka, jak jagoda, żal się Boże, więdnie i pomocy dać nie umie, głowę traci. Albo to nie przykro patrzeć, jak kto ze swoich kończy się powoli, a tu człek widzi i rady nie niesie, jakoby we śnie się szamoce, a poruszyć nie może.

- Chora jest? czemuż mi nie mówiłeś pierwej, może potrzebuje pomocy?

- Jest tam, panie, ćma doktorów i kłóć się, szwargocą, a biedna dogorywa. Teraz noc, jej córka pewno nie śpi, pilnuje, to dziewczę sobie oczy wypłacze. A dziewczyna gładka, chociaż Niemka, klnę się panu i w Krakowie takiej szukać. Żywa, krew z mlekiem, w oczkach iskry świecą, biedniatko, niech ją pan tylko zobaczy. Ale oto i brzask, już luna czerwieni nad górami: gwiazdy gasną, niedługo ranek; może ich panicz w dzień odwiedzi, toć to zasługa przed Panem Bogiem chorego nawiedzić.

- Pójdę, zostaw mnie teraz, Janie, niech spocznę na chwilę.

I kładąc się wzywał z westchnieniem rodzinnych snów, aby go marzeniami dziennymi, nadzieja rosą, strapioną duszę pokrzepiły.

* Alchemia, nauka niegdyś tak upowszechniona, iż nawet gmin o niej rozprawiał, dziś należy zupełnie do przeszłości historycznej, nie od rzeczy przeto może będzie kilka słów bliżej o tym przypomnieć.

Celem alchemii, w całym znaczeniu, miało być zbadanie przyrody ciał i wynalezienie ogólnego środka, który by wszystkie bez wyjątku ciała był w stanie rozpuścić, czyli rozłożyć, aby dowolnie potem je składać można było. Ten powszechny roztworczacz, zwany alkahest, miał prowadzić do wynalazku kamienia mędrców, czyli kamienia filozoficznego. Kamień mędrców, zwany też tynkturą, w pierwszym stopniu miał być białym proszkiem będącym w stanie podle metale tylko na srebro zamieniać. Wykształcony bardziej stawał się czerwoną tynkturą, czyli właściwym kamieniem mędrców, który wszystkie metale bez wyjątku zamieniał na najczystsze złoto. Kamień mędrców rozpuszczony w winie stawał się eliksirem życia, czyli lekarstwem na wszystkie choroby, lekarstwem nadającym wieczne życie.

Alchemikami zwano wszystkich oddających się tej nauce; imieniem adeptów czczono tylko tych, o których mniemano, iż posiadają wielką tajemnicę.

Oprócz tych jawnych bezpośrednich celów, alchemicy mniemali, iż za pomocą swej nauki zdołają się zbliżyć do tajemnic natury, iż poznają jej ukryte siły, i wtedy, umiejąc wejść z nią w ściślejszy związek, potrafią władać wyższymi duchowymi siłami, za pomocą tych przestąpią, nieprzebyte dla zwyczajnych ludzi, odwieczne granice przyrody. Im zaś sami mieli mniej dokładne wyobrażenia o swoich prawach i okazujących się przy tym zjawiskach, tym więcej silił się na wyrażanie się tajemnicami, obrazami i alegoriami. Później używano tegoż samego stylu bądź na prawdziwe, bądź na udane zatajenie tajemnic przed niewcielonymi. - Owszem, uważano za występki odsłanianie przybytku nauki przed niewcielonymi.

Arnold de Villanova, alchemik z XIII wieku, bierze tę rzecz nawet religijnie, twierdząc w swoim *Rosarium*, iż kto by zdradził tajemnicę będzie przeklęty i umrze tknięty apopleksją („*Qui revelat secretum artis, maledicetur et morietur apoplexia*”). Rajmund Lulliusz, ów sławny adept, o którym wieść niesie, iż dla Edwarda I, króla Anglii, zamienił w r. 1332 60 000 funtów żywego srebra, cyny i ołowiu na złoto, opowiada w testamencie swoim: „Przysięgam ci na duszę moją, iż skoro to odkryjesz, potępiony zostaniesz” („*Juro tibi supra animam meam, quod si ea reveles damnatus es*”). Podobnie Libavius i inni.

Lecz, aby odkryć tajemnicę, nie dość było pracy, potężnej myśli, cierpliwości; głównym warunkiem u prawdziwych alchemików była czystość serca. Bez niej, twierdzili, i geniusz nic zdziałać nie zdoła. Za pomocą tego ognia wiązała się alchemia z magią prawdziwą i boską, którą znowu od magii czarnej, przeklętej sztuki złego ducha, starannie odróżniano.

Zbytecznie byłoby dodawać, iż sztuka obiecująca nieprzebrane skarby, wieczną młodość i nadprzyrodzoną władzę, musiała mieć niezliczonych zwolenników.

Szarlatani i oszuści wszelkiego rodzaju używali jej za pokrywkę swych niecznych praktyk i pozbawiali łatwo wiernych całego ich mienia, tak dalece, iż w wielu czasach alchemia, będąc głównym potokiem pochłaniającym w siebie wszelkie gałęzie zbrodniczego przemysłu, była obarczona wzgardą i nienawiścią.

Z drugiej strony nie można też zaprzeczyć, iż w każdej epoce znajdowali się ludzie znakomici, zaszczyt uczonego świata, którzy z pełną wiarą, w niezmordowanej cierpliwości, długie lata trawili w pracowniach; z ich prac nieocenione korzyści odniosła chemia, farmacja i sztuka lekarska.

O możliwości przemieniania metali jedne na drugie nie da się nic z pewnością wyrzec. Wprawdzie nowa chemia wydała wyrok licząc metale do szeregu ciał prostych, niezłożonych, a tym samym zaprzeczyła wszelkiej możliwości rozkładania ich i przemieniania. Może nawet większa część podań i powieści o istotnie dziających przemianach metali na złoto polega na oszukaństwie lub złudzeniu, chociaż niektórym z nich towarzyszą okoliczności i świadkowie godni wszelkiej wiary, tak li każdy inny wypadek historyczny, podobnymi poparty dowodami, uważano by za autentyczny. Jednakże: ponieważ badawczy duch ludzkości nic ustaje, ponieważ w chemii samej nieraz już zrobiono odkrycia uważane niegdyś za niepodobne, ponieważ już teraz wielu chemików uważa metale za ciała wyraźnie złożone, z tych przyczyn niepodobna już dziś lekkomyślnie potępiać wszystkich zasad alchemii.

Wszystko zresztą, co się jej tyczy w ciągu całego tego pisma, jest zupełnie zgodne z jej historią; ani jeden fakt nawet, ani nazwisko zmyślone nie zostało.

Więcej szczegółów o tej nauce ciekawy czytelnik znaleźć może w rozprawie mojej umieszczonej w „Bibliotece Warszawskiej” z r. 1844 na miesiące marzec, kwiecień i maj.

III Lekarze

**„Jest trosków, kolców, bólów niemało w tym życiu
I więcej niż na jawie płynie łez w ukryciu.”**

A. Malczewski

OKOŁO CZASÓW TEOFRASTA Bombasta Paracelsa żył w Bazylei jeden cudzoziemiec nazwiskiem Anathemius Tholden. Wkrótce po przybyciu swoim z północnych Niemiec kupił plac w ustronnym dość miejscu i wybudował sobie dom, w którym teraz mieszkał Sędziwoj. Nietowarzyski charakter Anathemiusa, dziwactwa, które o nim opowiadano, sprawiły, iż cudzoziemiec długo był ciekawą osobliwością miejską, o której krążyło tysiące pomysłów. Sama architektura domu dawała już do nich powód. Wysoki a wąski, przykryty spiczastym dachem, od zewnątrz obciążony był kamiennymi ozdobami, które się pobożnym nie bardzo podobały. Ozdoby te wystawiały smoki, sylfy, koboldy, salamandry, nietoperze, i tym podobne straszidła. Dwa małe okna i drzwi, pomiędzy nimi będące, otaczał zamiast gzymsu jeden olbrzymi wąż w rozmaite sploty zwinięty. Otwartą paszczą nad drzwiami wystającą bronił niby wstępu do domu, lecz nad nim unosiła się rycerska postać i przebijała głowę potwora włócznią. Spośród kręgow i splotów ciała węża wyglądało mnóstwo przyciśniętych ludzi, których położenia i wyrazy twarzy zdradzały boleść okropną, wszystkie wyciągały ręce i zwracały błagające spojrzenie ku rycerzowi walczącemu z dręczącym ich smokiem.

Mieszkańcy Bazylei, skoro dom ukończony odsłonięto, dziwili się, ganili, szydzili, nie szczędzili wyrazów nawet obelżywych twórcy tego pomysłu.

Anathemius wszystkiego obojętnie słuchał. Do wykończenia mieszkania wewnątrz sprowadził obcych rzemieślników i wnet ich po dokonanej robocie odesłał, tak, iż ciekawość sąsiadów wzrastała w miarę ukrywania się właściciela. Po wybudowaniu domu wrodzony jego odludny charakter na czas niejakiś od razu się zmienił, zaczął wychodzić częściej na świat, oddawać wizyty i przyjmować gości u siebie. Nie lubiony z początku, tym powrotem do ludzi szybko sobie zjednał ich łaski, iż nawet ganione dawniej dziwactwa na dobrą stronę wykładano. Pan Anathemius Tholden mógł mieć około lat czterdziestu, postaci był dosyć przyjemnej, a jakkolwiek zbytnia powaga i małomówność nie zyskiwały mu zwolenniczek w płci pięknej, za to ojcowie, mężowie i matki tym więcej go szanowali dla gruntownych rad, które udzielić umiał, dla wielkich wiadomości, które okazywał, a nade wszystko dla znakomitego majątku, którego ślady wyraźne w domu jego spostrzegano. Po większej części domyślano się, iż majątny przybysz szuka żony i - z uprzejmością od początku świata pospolitą dla kandydatów błęgiego stanu - różne próbki tego towaru nieznacznie do wyboru mu podsuwano. Pan Anathemius czy udawał, czy też istotnie nie spostrzegł zabiegów, a sam, bez czyjej rady, o losie swoim postanowił.

Na tejże ulicy mieszkał radca miejski, człowiek surowy i chciwy nad miarę, powszechnie od mieszczan nienawidzony. Ten miał dwie córki na wydaniu i daleką krewną, wychowanicę, dziewczynę szesnastoletnią, sierotę po uczonym, który jej tylko zamiast posagu zostawił kilka rękopismów w puściźnie i tych nikt drukować nie chciał. Biedna sierota na łasce bogatych krewnych stała się męczenniczką ojca, bo nie tylko musiała patrzeć, jak z szyderstwem palono owoc tyłu nocy bezsennych swego ojca, lecz za lada sposobnością jego zatrudnienia wyrzucano jej jakby zbrodnią. Na nieszczęście była ładniejszą od swych siostrzanek, przeto los jej gorszym był od ostatniej służącej, a pogarda i łzy codziennym pokarmem. Podobne stosunki, jakkolwiek bardzo pospolite, pogarszały się widocznie, ponieważ Beata była wzorem cierpliwej na wszystkie próby łagodności. Tholden widział ją parę razy w domu radcy miejskiego spełniającą w zbyt skromnym ubiorze jakąś posługę - i szanownego opiekuna poprosił o jej rękę.

Z początku ze śmiechem przyjęto żądanie, niewinna Beata doznawała potrojonej liczby uszczypliwych przekasów. Szczególniej siostrzanki jej wysiły się w owe, tylko płci pięknej wiadome, sposoby delikatnego szczypania, które jak dym wgryza się pod powieki, mimowolnie łzy wyciska, a w końcu do szaleństwa przywodzi. Na powtórna prośbę radca wyraźnie odmówił. Anathemius obojętnie na pozór przyjął tę odmowę; ale za parę dni powrócił znowu i czulemu opiekunowi wręczył, wstawiając się za losem Beaty, listy od biskupa, naczelnika miasta i kilku najzamożniejszych panów w Bazylei.

Niespodziane prośby, mające raczej pozór gróźb, zdziwionego i przestraszonego radcę zmusiły do wydania swej ofiary. Małżeństwo to stało się naturalnie przedmiotem żwawych rozpraw wszystkich znajomych. Porządni i poważni obywatele łatwiej przebaczały smoki i salamandry, którymi Tholden dom swój ozdobił, jak wyniesienie sieroty, czyli ostatnie jego dziwactwo. Nowożeniec tymczasem powrócił do pierwotnego sposobu życia, to jest do zupełnej samotności. Powoli zerwał wszystkie stosunki z ludźmi, nikogo u siebie nie przyjmował i u nikogo nie bywał, a wtedy szeptać zaczęto, że trudni się alchemią i posiada tajemnicę robienia złota.

On, żona, jeden służący i stara kobieta cudzoziemka składali całą ludność domu. Jego tylko i żonę czasami widywano w kościele, zresztą nigdzie, a dom ich, zawsze zamknięty, nabral tajemniczej sławy i zatrzymał nazwisko domu alchemika.

Mińło tak lat kilka, gdy w tych czasach pospolitych kłótni i napadów jednej ciemnej nocy jesiennej przed samym mieszkaniem Tholdena krwawa zdarzyła się bitwa. Młody rycerz, syn możnego barona z okolicy miasta nad Renem mieszkającego, Albert Grandorf, napadnięty, w czasie obrony cięży berdyszem w głowę upadł na placu. Odpór jednak był silny i napastnicy uciekli, a służący i przyjaciele barona, widząc na górze w pracowni alchemika światło, tak długo dobijali się do domu, aż im wreszcie, mimo spóźnionej pory, otworzono. Sam Anathemius obejrzał ranę wzrokiem znawcy i zaręczył za życie chorego; pod jednym tylko warunkiem chciał go przyjąć do domu, to jest, aby sam raniony pozostał się, służący zaś i przyjaciele oddalić się mieli i dopiero za dni dziesięć zgłosić. W nagłym przypadku nie mogąc nakładać warunków musieli uroczyście przyrzec dotrzymanie dziwnych żądań gospodarza, po czym dopiero wniesiono zemdlonego do komnaty.

Baron Albert Grandorf był wzorem owych rozpustnych Don Juanów, nierzadkich wtedy, dla których religia, zależąca jedynie na pełnieniu obrządków zewnętrznych, żadnej tamy nie stawiała; a uciśnienie włości, niezależność majątku, lekceważenie mieszczan i chępcenie się

z wyuzdanej brawury z krzywdą wszystkich, którzy nie byli szlachcą albo księżmi, zachęcały bezdusznych do tego życia. Nieukształcenie, burzliwy wir stosunków towarzyskich, przy niezepsutym nawet sercu, mogły żywsze charaktery w lamparty przemieniać. Taki też był Albert, postrach wszystkich wieśniaków i dziewcząt z okolic swego zamku.

Gdy po upływie dni dziesięciu domownicy zgłosili się do chorego, Albert, jeszcze słaby, kazał im za drugie dni dziesięć przybyć; gdy i te minęły, jeszcze prosił gospodarza swego o powtórzenie terminu. Ale po upływie miesiąca zupełnie przywrócony do zdrowia bez zwłoki wyprawionym został. Na próżno stary baron Grandorf i sam Albert pukali później do drzwi alchemika, aby mu podziękować. Tholden, jakby nie słyszał dobijania się, jak w fortecy, głuchym był na wszystkie, kilka razy ponawiane, odezwy przez drzwi.

Tymczasem towarzysów młodego rycerza uderzyła nadzwyczajna zmiana, która nastąpiła w całym jego charakterze i układzie. Ów niegdyś szalony, wesoły, pierwszy do zuchwałych wyskoków i sztuk swawoli, Albert, stał się posępnym, zamyślonym i unikającym najmniejszej sposobności powrotu do dawnego życia.

- Oczewiście - mówiono - powietrze nawet w domu alchemika zakłęte.

Grandorf w kilka miesięcy opuścił Bazyleę, a po jego wyjeździe rozgłaszać zaczęto, iż miłość ku młodej żonie Tholdena była przyczyną tej zmiany. Biedny alchemik nieraz może przechodząc przez miasto słyszał szyderstwa złośliwych cieszących się z obmowy.

Okolo tego też czasu urodziła mu się córka, pierwsze jego dziecko.

W kilka dni po urodzinach - opowiadał służący, pomocnik robót alchemicznych Tholdena - pan wyprawił go z pracowni i sam się w niej zamknął. Było już późno wieczorem i służący zasnął na dole. Blisko północy zbudził go mocny szum na górze i stukanie, jakby kilka osób razem chodziło. Śmiech, wyrzekania, śpiewy i jęki na przemiany dawały się słyszeć. Przestraszony wchodzi do komnaty, gdzie żona pana jego spoczywała. Blade światło lampy oświecało alkowę, tak iż mógł spostrzec, że pani w głębokim śnie pogrążona. Namyślał się chwilę, czy ją ma zbudzić, gdy ta przez sen poczęła rozmawiać. Płacz jej, bezsilne łamanie rąk i głos głuchy, ponury, a boleść na śpiącej twarzy tak żywa, jakby ciało jej zostało na ziemi, a dusza na innym świecie nie z ludźmi rozmawiała, przeraziły służącego. Przybliżył się do łoża, chcąc jej przerwać niespokojny spoczynek, gdy wtem nagle na górze jakby jakie ciężkie ciało upadło na podłogę, a w tejsze chwili żona alchemika porwała się ze snu z przeraźliwym krzykiem; szeroko rozwarła mając oczy z wyrazem najokropniejszego przestraszenia zawołała:

- Mąż mój nie żyje! - jednym skokiem pobiegła do kolebki i tuląc małą dziecinę konwulsyjnie wyjąkała: - O, Boże! córka moja przekłeta! - i padła zemdlona.

Na ten nocny rozruch powstała i stara służąca, panią orzeźwiono, na górze było cicho. Gdy się tam ze światłem udano, drzwi pracowni były otwarte, pełno dymu, a na ziemi leżał alchemik umarły. W ręku trzymał zwój pergaminowy, w drugiej dłoni na piersiach miał złotą puszkę, i tak też pochowanym został. Ostatni ten akt jego życia rozgłoszony nie zbliżył ludzi do wdowy. Dawni jej znajomi jeszcze żywi mieli do niej urazę, pospolitą między poczciwymi ludźmi, jak śmiała zostać, ona, biedniejsza - szczęśliwszą, a taką była w ich oczach, bo była bogatą. Jakkolwiek pracownia została zamknięta i tajemniczość powinna była zniknąć, wdowa żyła więcej odosobniona niż kiedy, poświęcona wychowaniu swej córki Arminii. Córka z matką zupełnie sobie wystarczały. I matka nie wzdychała za światem, bo go zanadto dobrze знаła; córka nie tęskniła za nim, bo jej zupełnie był nieznanym.

Za życia Anathemiusa żona jego opływając we wszystko, co tylko życie materialne ofiarować może najwykwintniejszego, nie pytała, skąd ich dochody wystarczają na pokrycie wydatków.

Po śmierci jego spostrzegła, iż te źródła były dla niej zakryte. Pozostałe pieniądze przez lat kilka wyszły; później przedmioty zbytku, klejnoty, stroje, zbywała, aby istotnie opędzić potrzeby, aż w końcu pracą rąk z córką utrzymywać się musiały. W tym jednak stanie byłaby spokojniejszą i szczęśliwszą niż kiedykolwiek, gdyby nie straszna słabość, która ją od śmierci męża w rozmaitych przerwach czasami napadała, wieczorem, w zmrok, częściej jednak w nocy, czasem w ciągu wesołej rozmowy raptownie bladła, spoglądała w puste miejsce przed sobą, wskazywała palcem i z okrzykiem upadała zemdlona.

Z chorobą tą oswojeni byli domownicy i córka; za ich staraniem przywracana do przytomności zdrową była nazajutrz. Teraz jednak ciągle rozmyślanie, walka wewnętrzna i z rosnącym niedostatkiem rosnąca obawa o los córki, zdawały się ostateczny cios zadawać słabowitej wdowie.

Stara służąca pobiegła do znakomitych z imienia znajomych doktorów wzywając pomocy; jeden przyszedł, spojrzął na gołe ściany i z każdego kąta wyglądającą biedę, pokiwał głową, zapisał coś, poszedł i nie przyszedł więcej. - Za poradą służącej córka w śmiertelnej obawie o matkę, ze łzami w oczach, sama wyszła szukać pomocy lekarskiej.

Wskazano jej cudownego lekarza, apostoła i ucznia Paracelsowego, Karola Bodenstein. * Zaledwo dopytała się o jego główną kwaterę, którą zwykle zakładał w jednej z najpodlejszych karczem.

Za stołem wśród gawiedzi katów, Cyganów, czarownic, siedział w półrozmarzonym trunkiem, otoczony dzbanami, sławny syn sławniejszego Karlstadta. *

Arminia, głucha na żarty pijanej tłuszczy, która się też wkrótce łzami jej wzruszyła, padła na kolana przed osławionym mistrzem i wierząc mu błagała:

- Uzdrów moją matkę, jesteście ubodzy, ale będę tyle Boga prosić, iż ci pewno nagrodzi!
Bodenstein poszedł natychmiast, bo kogóż by prośba tak niewinna nie wzruszyła; ale, co więcej, powrócił raz, drugi, badał, wypytywał się. Będąc profesorem Akademii Bazylejskiej sprowadził kilkunastu znajomych medyków. Uwziął się, bądź co bądź, uleczyć matkę Arminii. Zagadka tej chęci nietrudna była do odgadnienia. Córka wdowy była perłą wśród dziewcząt bazylejskich i paracelsista znał się na tym dobrze. Lecz sama tylko twarzyczka nie złudziłyby go, na to Bodenstein był zanadto roztropnym. Miarkując z opowiadań i dawnego dobrego bytu Tholdena, który z jego śmiercią tak dziwnie się odmienił, spodziewał się i wierzył, że alchemik posiadał tajemnicę robienia złota. W pozostałości więc po nim, na której się kobiety nie znały, mógł się znajdować kamień filozoficzny i rękopisma uczące sporządzenia go. Lekarz więc, rachując swe zdolności tylko chęcią, obiecywał sobie wyleczyć wdowę, małej tylko żądał nagrody od szesnastoletniej Arminii; musiała mu przysiąc uroczyście, iż zostanie żoną tego, kto jej matkę uzdrowi. I gdyby Bodensteina o dziesięć kroków dalej czuć było dymem, winem i siarką, gdyby sto razy był brudniejszy i obszarpany, bez wahania by mu przyrzekła to, czego nawet nie rozumiała dobrze w przepelnieniu żalem. Z drugiej też strony medyk rachował, iż dostawszy w posagu puściznę alchemika, gdyby kamienia mędrców nie znalazł, to nic by go do przyznania się nie przynagliło, a sława, powiększona wyleczeniem żony i zaślubieniem córki tak powszechnie znajomego alchemika, mogła się stać dla niego prawdziwym sposobem robienia złota. Od kilku przeto dni, nawet mniej bywał w karczmie, a przemyślał,

zmieniał lekarstwa, lecz chora leżała bez przytomności. Wezwał więc raz jeszcze wszystkich znajomych sobie medyków na radę.

W wysokiej izbie od tyłu, na dole, spoczywała Beata Tholden na łożu śmiertelnym. Zaledwo trzydzieści kilka lat licząc cierpieniami wewnętrznymi i chorobą tak miała rysy twarzy zmienione, iż wieku jej nawet zgadywać nie można było.

Nadzwyczajnie blada, z oczami otwartymi, bez blasku i bez najmniejszego ruchu i życia, zbyt już była podobną do tych, w których liczbę wstąpić miała, aby nadzieja mogła ożywiać przytomnych. Córka jej, klęcząc na ziemi przy łóżku, także nieruchoma, tylko czasem jękiem dawała poznać, że cierpi. Tylko czasami rzucała wzrok w bolesne rysy matki i jakby przestraszona ukrywała twarz w dłoni i mocniej łkała. Wszystko też, co ich otaczało, smutne budziło wrażenie. Śród śladów dawniej obfitości wyraźne dowody niedostatku. Ramy od obić i lamperii, gdzieniegdzie złożone, otaczały nagie i ponure ściany. Parę mebli wytwornych, a obok nich prosty stół sosnowy; łożo snycerskiej drogiej roboty, a pościel na niej z grubego płótna, wszystko to były świadki smutne, lecz wymowne dawnego dobrego bytu. I światło jakby komnatę tę opuściło, bo choć w dzień, z głębokiej framugi okiennej skape do środka nie dochodziły promiona. Chora czasem się odezwie, dziko, niezrozumiale i wszystkich oczy zwrócić się na jej twarz woskowej białości, która tak posępnie odbija od ciemnej framugi. Córka pilnie słucha i pyta matki, lecz ta jej nie poznaje.

Medycy przygotowują lekarstwa, z wrzawą spierają się o sposób leczenia i o teorie w pół po łacinie, w pół po niemiecku, w zbutwiałych foliałach szukają dowodów swej nauki, bo słabość chorej odmawia im świadectwa biegłości.

Dysputy te rozdzierają uszy Arminii jak złowrogie krakanie.

- Ja mówiłem - wołał krzykliwie Bodenstein, machając czarnymi od węgla rękoma - mówiłem, że tu nic nie pomogą głupie wasze ziółka. Wszystkie choroby napadają na ludzi, jak uczy boski Teofrastus *in „Astronomia magna”*, *primo*: albo z zatrutych gwiazd, które zły wpływ wywierają na człowieka, albo *secundo*: z trucizn, które pochodzą od źle przygotowanego pokarmu, albo *tertio*: z duchów, na które inne duchy działają...

- Przeciwno chorobom pochodzącym z gwiazd - dodał drugi, potwierdzając słowa paracelsisty - żadne lekarstwa z żywiołów nie służą, można im tylko zaradzić *per medicinam physicam et chirurgiam adeptam*.

- Wasze tu zioła tyle pomogą - krzyczał pierwszy - co kapelusz przeciwko słońca!

- I któż tedy z prześwietnych kolegów ośmieli się zaprzeczyć - zapytał po łacinie, wolno cedząc słówka, wypięznowany, utrefioną szwedzką bródką modny lekarz - kto zbije moje twierdzenie, iż nie wchodząc ani w *causam proximam*, ani *causam remotam*, że mówię, to choroba nerkowa? Oczywiście więc na afekcję tę służyć tylko mogą liście kopytnika - *asarum*, posiadając bowiem kształt nerek, nieodzownym na nerki są lekarstwem.

Powstała zwawsza sprzeczka, każdy chciał mówić, przekonywać, jeden, najmocniejsze piersi mający, wołał:

- Słuchajcie mnie! oto zbadałem horoskop pacjentki, trzeba czekać, aż Saturnus minie jej drogę życia, zbadałem, iż planeta ten zawsze jej był szkodliwy, teraz nastąpi *crisis*...

- Oto nieodzowna recepta - rzekł drugi czytając z kartki - popiołu z nietoperza dwie szczypty, krwi suszonej z ropuchy na koniec noża, pięć gran tłuczonej mumii. ***

Chora wzniosła ręce i - jakby szukając, widząc kogo przed sobą - głucho rzekła:

- Nie ze mnie! nie ze mnie, ale z niej zdejść ciężar! przebaczenia!

Reszta głosu przemieniła się w niezrozumiałe mruczenie, ręce jej opadły, a córka z rozpaczą rzucając się do nóg Sędziwoja, słuchającego z boleścią całej tej sceny, wzywała ratunku. Sprzeczką lekarzy powiększała się, jedni chcieli jej wlać w usta jakieś lekarstwo, drudzy przeskadzali; już przychodziło do prawdziwej kłótni, łacińskich i greckich przydomków nie oszczędzano, gdy wtem drzwi się otworzyły i na widok wchodzącego wszyscy umilkli. Nieznajomy zbliżył się do klęczącej córki i dotknawszy lekko po ramieniu rzekł:

- Arminio! Powstań, jeszcze jest nadzieja. - Postąpił później do chorej, usiadł na łóżku, potarł jej skronie rękoma, z stojącego obok stolika wziął puchar szklany, wsypał do niego ze złotej puszkii trochę proszku czerwonego, nalał wody i przytknął do ust chorej mocno się jej w oczy wpatrując. Lekarze stanęli półkołem, żaden nie śmiał przemówić, chociaż przed chwilą zgadzali się wszyscy na to jedno, że woda zabiłaby pacjentkę. Ta zaś, spragniona gorączką, długim ciągiem wychyliła napój. Głowa jej opadła na poduszki. W przezroczystej jak alabaster twarzy wewnętrzny płomień życia na nowo się rozpałał. Córka, z założonymi na piersiach na krzyż rękoma, z bojaźnią wpatrywała się w nieznajomego.

Chora od tyłu dni raz pierwszy zasnęła. Nieznajomy postąpił parę kroków, puścił szklany kubek na kamienną podłogę, iż się rozprysnął na sztuki i wolnym krokiem już miał opuścić mieszkanie, gdy niemy dotąd Bodenstein przypatrujący się chorej pierwszy jakby się ocknął i z nadętą miną zawołał:

- Poznałem cię! Na próżno byś się przede mną taił, witam cię, szczęśliwy posiadaczu panaceum życia, sympatia moja nie myli mnie; nie wypieraj się, wszak jesteś wyznawcą i zwolennikiem wielkiego mistrza naszego Paracelsa. Bądź pozdrowiony, bracie mój!

- Wiara i dobra wola - odparł nieznajomy mierzając wzrokiem doktora - jest panaceum, które każdy posiada. Ale sympatia twoja myli cię, wyznawco i zwolenniku Paracelsa, wy nie wyznajecie mojego mistrza.

Wysoka, wspaniała postawa nieznajomego, jego młoda, pełna powagi i najpiękniejszych rysów twarz, długie czarne w pierścieniach wijące się włosy, oko wielkie i czarne, samym spojrzeniem rozkazujące, wzbudzały mimowolne uszanowanie. Sędziwoj wpatrywał się pilnie w te szlachetne rysy. Niski, brzmiający ton głosu, wszystko w nieznajomym zdawało mu się zupełnie znajome, jednak mimo całej usilności nie umiał sobie przypomnieć gdzie by go widział. Lecz samo wpatrywanie się w niego sprawiało mu rozkosz, jakaś niewidzialna siła pociągała go ku niemu.

- Panie!... - rzekła z cicha Arminia, zbliżając się do nieznajomego, i nie śmiała dokończyć.

- Bądź spokojna - odparł - przyjdę, gdy tego będzie potrzeba. Matka twoja żyć będzie.

Już wyszedł, a chwilę jeszcze trwało milczenie.

- Szarlatan! - zawołał Bodenstein - postać wymuskana, głos mocny, to rozumie, iż może imponować, ale nie nam, lekarzom.

- Oczywiście, że nie jest doktorem - rzekł inny - nie wiem, czy ma lat trzydzieści...

- Chorej mogą pomóc nasze lekarstwa bez jego wody, on trafił na *crisis*, kiedy już zasypiała.

- Ale kto go tu zesłał?

- Któż to jest? - zapytał Sędziwoj.

- Ten człowiek jest cudowny - rzekł jeden z obecnych, który dotąd, podobnie jak Sędziwoj, tylko był świadkiem - szczęście temu domowi, do którego wstąpi. Parę dni dopiero jak przyjechał z Neapolu, gdzie także niedługo bawił. Przez cały czas tam swego pobytu był przedmiotem wszystkich rozmów, zajęcia powszechnego. Jeżeli ta potężna umiejętność, o której

tyłe głoszą, istnieje, to on jest jej mistrzem. Pięć lat temu widziałem go raz pierwszy w Wenecji; on tam konających na morowę zarazę leczył prawie bez lekarstwa. Widziałem tam żebraka, którego na milionowego bogacza przemienił. Cała policja wenecka była poruszona, chciano go schwytać, on chodził w dzień i w nocy sam jeden i nikt mu nic zrobić nie mógł.

- A więc to ów sławny Kosmopolita - rzekł któryś z obecnych.

- Pospolicie zowią go Kosmopolitą, ale któż zgadnie prawdziwe nazwisko takich ludzi!...

Lekarze pojedynczo wymykali się, a wszyscy nieodgadzionym sposobem byli przekonani, że chora już uzdrowiona. W istocie, twarz jej spokojna, przed chwilą zeszepecona tchnieniem śmierci, dziwnie się zmieniała, stała się podobną do siebie.

Arminia modliła się jeszcze ze łzami, ale to były łzy rozkoszne, powrót do radości.

Sędziwoj spostrzegł, iż tylko przez jakieś dziwne złudzenie zdawało mu się, że zna nieznanego. Kiedy chciał się oddalić, ładna córka wdowy z uśmiechem, a łzami jeszcze w oczach, skazując na matkę rzekła:

- Nie zostanę sierotą, Bóg jest litościwy! Kiedy najbardziej była chora, ja byłam u ciebie, ale było zamknięte. Jakieś przecucie mówiło mi - nie szydź ze mnie, cudzoziemcze - byłam pewna, iż ty potrafisz ją uzdrowić, a teraz myślę, że to ty sprowadziłeś tego nieznanego pana i ty ją uzdrowiłeś, bo wszakże nie Bodenstein ją wyleczył, a ja przysięgam mu... - Wtem przypomniawszy sobie dopiero jak przez mgłę swoją przysięgę - uleczenie cudowne - zapłoniła się, spuściła oczy i znowu w pospolitej podobnych charakterów nagłej zmianie uklękła i prawie z bojaźni modlić się zaczęła. Przeczuwała, iż wisi nad biednym jej sercem straszna jakaś burza.

Sędziwoj od chwili ujrzenia nieznanego na próżno na otaczające go przedmioty chciał zwrócić myśli - wyszedł nim jednym tylko zajęty, nie słysząc prawie, co mówi Arminia.

* Prawym dzieckiem wieku przechodu i fermentacji, w którym się zrodził, był sławny ów Philippus Aureolus Paracelsus Theophrastus Bombastus von Hohenheim. W młodości włóczył się jako wędrowny student, rysował horoskopy, wywoływał duchy, kastrował wieprze, szukał skarbów i sprzedawał alchemiczne recepty. Tak przewędrował Niemcy, Holandię, Szwecję, Prusy, Polskę, Węgry, Turcję, Egipt, Hiszpanię i Portugalię. Powróciwszy do ojczyzny jako cudowny doktor umarł w szpitalu salcburskim.

W czasie profesorstwa swego w Bazylei publicznie spalił pisma Galena i Awicenny posypawszy je siarką i saletrą. Nie wahał się z nadętą miną sam wyrzec barbarzyńską łaciną: „Jeden włos z brody mojej więcej wie, jak wy wszyscy uczeni!”

Ów metal płynny, tajemnymi własnościami od alchemików obdarzony, ochrzczony imieniem Merkurego, śmiało w lekarstwach używał; opium on pierwszy tak zuchwale zadawał, a gmin licząc uzdrowionych, nie patrząc na zabitych, ubóstwił Paracelsa.

Nauka, wyznać trzeba, dotąd z wdzięcznością go wspominać musi. Ten dziwny, szalony geniusz, tarzający się wśród błota ziemi, nieraz wzbijał się na skrzydłach olbrzymich pomysłów tak wysoko, iż go rozsądni, czcogający się mędrzy dotąd tylko podziwiać muszą.

Lecz zjawienie się jego, jakkolwiek epokę stanowi, zrodziło całą klasę paracelsistów, bezczelnych krzykaczy, posiadających wszystkie wady mistrza, a zalet jego na złe używających, wiadomościami jak i niewiadomością równie szkodliwych. Takim był Adam Bodenstein, lekarz i profesor w Akademii Bazylejskiej. Uczeń i wielbiciel Paracelsa, rozgłaszanie nauki jego wziął za cel swego życia, które było odbiciem wszystkich usterków i błędów Paracelsa. Nie posiadając jego geniuszu naśladował to, co się łatwo da przejąć, to jest: chępliwość, śmieszna dumę, połączoną z tarzaniem się wśród ostatniego gminu i wyrzutków społeczeństwa. Jest on autorem kilku dzieł, których tytuły same dają dostateczne wyobrażenie o stanie ówczesnej historii natury. Jako to: *De herbis duodecim Zodiaci signis dicatis*, *Isagoge in rosarium chemicum*, *Arnoldi de Villanova*; *De Lapide Philosophorum* (list do Puggarów *Pro asserende Alchymia*) etc.

** Ojcem wyżej wymienionego Adama Bodensteina był parę razy wspomniany tu Karlstadt, właściwie zowiący się Andrzej Bodenstein, później dopiero od miejsca swego urodzenia, miasta Karlstadt w Frankonii, przybrał toż nazwisko.

Głośnym on jest w historii reformacji przez swój niewczesny zapał, marzenia, a w końcu i nieszczęścia. W początkach już publicznego zawodu Lutera, Karlstadt nie tylko stał się jego zapalonym sektatorem, ale - posuwając się wyżej - pierwszy będąc księdzem (archidiaconem, kanonikiem i profesorem teologii w Wittenbergu) pojął publicznie żonę. Kiedy Luter przebywał jeszcze w Wurzburgu, Karlstadt, za pomocą zjadłego gminu i studentów, burzył ołtarze w kościołach, niszczył obrazy i czytał dziwaczne mszy w języku niemieckim, Luter nie pochwalał bynajmniej tych wybuchów zbytnej gorliwości, owszem, przywracał zniweczony przez Karlstadta porządek rzeczy. Ten jednak, narzucając nauki swoje pierwszemu lepszemu,

gdy nikt ich przyjmować nie chciał, gdy sami zwolennicy Lutra nie domyślali się jeszcze wtedy, iż dojdą powoli tam, dokąd ich Karlstadt od razu chciał doprowadzić, został prześladowanym tułaczem. W wędrówkach swoich przebiegł całe Niemcy (był nawet we Lwowie) aż w końcu znalazł przytułek w Bazylei - gdzie po śmierci Zwinglego żył w urzędzie kaznodziei i pastora - i tamże umarł.

Zarzucono mu, jakoby sam na miejscu Lutra za reformatora chciał się narzucać, czego mu jednak dowieść nie można.

*** Wszystkie te w usta lekarzy kładzione słowa są historyczne. W owych czasach apteka musiała być zbiorem najdziwniejszych, trudnych nieraz do wynalezienia, materiałów. Do lekarstw wchodziły często: tłustość kretyna, mózg z samobójcy, proszek czaszki ludzkiej, suszone ropuchy, nietoperze etc., *et quidquid vetus delirat medicina* [i cokolwiek bredzi stara sztuka lekarska]. Któryś (nie pomnę z nazwiska) ze znakomitszych lekarzy, żyjących w Polsce za Zygmunta III, winien był całą swoją wziętość i majątek proskowi z ususzonego ciała wisielca, gdy tego mu zabrakło, ustały zarazem - jak społeczeńsi twierdzą - uzdrowienia i sława lekarza.

IV. Złoty Bocian

**„Weź, pasterzu, ten puchar meońskiego wina,
Poświęć Oceanowi! niech w kornej ofercie,
Ten potężny wód ojciec naszą cześć odbierze.”**

Georgiki Wirgiliusza

NA RYNKU BAZYLEI, NAPRZECIW ratusza, stała duża kamienica z przyzbą na słupach murowanych, o ile poważna i ponura z wierzchu, o tyle hałaśna i wesoła wewnątrz: biesiadne okrzyki cały dzień do późnej nocy ją ożywiały. Nad wchodowymi drzwiami wisiał zielony wieniec z wplecionym przez środek słomianym krzyżem, co służyło na znak, iż tam wszelkich trunków dostać można. Oprócz tego na wielkiej błękitnej tarczy wyrobiony z drzewa pozłacany bocian i podobnymiż literami długi podpis zapraszały podróżnych do gospody, jednej z największych i najporządniejszych w całym mieście. Podobne karczmy, wspólnie dla rozmaitego stanu ludzi urządzone, w owych czasach zastępowały razem kawiarnie, czytelnie, cukiernie, restauracje, resursa i tym podobne cywilizowańszych wieków zakłady; jedynych rywalów posiadały w sklepach golibrodów, których łaźnie i warsztaty były także miejscami schadzek i ogniskami nowin.

W pierwszej długiej i nie bardzo jasnej sklepionej sali Pod Złotym Bocianem stały dokoła ścian dębowe ławy i podobne stoły. Dalej wielki piec z zielonych kafli z wmurowanym do połowy kotłem miedzianym dla rozgrzewania napojów. W kącie, niby ołtarz bożka tej świątyni, wznosił się wysoki kredens, na którym rzędami poustawiano naczynia ofiarne, to jest kufle, rostruchany, dzbany, puchary, poprzewracane do góry dnami, wszelkiego kształtu, miedziane, cynowe i szklane. Naprzeciw drzwi w równi z podłogą otwierał się obszerny komin, gdzie przy sutym ogniu na roznach kręczone baranie i sarnie ćwierci dodawały woń swoją do zapachów piwa i wina. * Pan Anzelm, gospodarz, otyły, z rumianą twarzą, w tabaczkowym kaftanie, chodził, wydawał rozkazy i z założonymi za pas rękami kłaniał się to kiwnięciem głowy, to schyleniem aż do ziemi, stosownie do godności wchodzących gości, i raz rubasznie pochlebiał, to znów, marszcząc brwi nad siwymi oczkami, surowo gromił nie dość zwinnie krzątających się piwnicznych chłopaków. A wśród gwaru głośnych rozmów, wśród tłumy w różne strony wychodzących i wchodzących niełatwo byś się od razu poznał i przypatrzył wszystkiemu.

Najgłośniejsze kółko składała młodzież, w pośrodku nich wędrowny śpiewak z cechu meistersingerów przygrywał na lutni, kształtu dzisiejszej arfy, końce zwrotek cała czereda powtarzała, a długimi rapierami bijąc takt o kamienną podłogę i kuflami o stoły.

Hans Sachsa piękne pieśni były już tylko wspomnieniem, a wędrowny trubadur chlubił się wiszącym na piersiach złotym medalem z wyobrażeniem króla Dawida, jako nagrodą otrzy-

maną za zwycięstwo na publicznym popisie śpiewaków w Norymberdze. Nie opiewał on tu ani piękności dam, o które walczą na turniejach, ani odwagi i awantur rycerskich, ale - ożywiony wspomnieniem brata swego kunsztu Jakuba Boehma - więcej myślał o polityce. ** Śpiewał albo ulotne do okoliczności utworzone satyry lub pochwały rządzących, albo też sła- wił ogólny węzeł łączący biesiadnicze koło, sła wił wino.

Skosztowawszy świeżo nalanego z łaski gospodarza pucharu skrzywił się i ze złośliwym uśmiechem brząknął w lutnię i, naśladowując kościelną nutę, uderzył następne zwrotki;

*

Oj, wielkie szczęście potkało Noego,
Że widzi Boga na ziemi żywego.
I mówił słudze Pan Bóg dobrotliwie,
Jakiej by łaski żądał osobliwie;
„Bo mając - rzecze - twą cnotę na względzie,
Spełnię z ochotą, co wasć prosić będzie.”

*

Wtem stary Noa rzekł: „Ach, miły Panie
Pić dłużej wodę już mi sił nie stanie,
Boć ta to woda, nieszczęsna, zaląła
Wszelakich bydłąt i człowiecze ciała,
Więc proszę-ć, Panie, o jeden ratunek,
Racz mi wynaleźć zdrowszy jaki trunek.”

*

Wtem Pan łaskawy z rajskiej okolicy
Wyrwie potężny krzak winnej macicy
I go nauczył mądrymi słowami,
Jako by sadzić, co czynić z gronami,
A Noa wielmi z owej rad nauki,
Takci od Boga wyuczył się sztuki.

*

Ale patryjarcha pobożny był człek,
I na cześć Boską pił cały swój wiek,
A jeśli słowa te mają być szczerze,
Nie frasował się, niech mi każdy wiere,
I tak od czasu, jak był tonął świat,
Pił jeszcze zdrowy trzysta sześćdziesiąt lat.

*

Z tego stateczny - zda się - ujrzy mąż,
Że wino snadnie spijać może wciąż;
Item ma patrzeć krześcijanin prawy,
By wodnej nie lał do wina zaprawy;
Boć ta to woda, nieszczęsna, zaląła
Wszelakich bydłąt i grzeszników ciała.

Huczne oklaski, za zgodną z duchem słuchaczów pieśń i docinki gospodarzowi, towarzy- szy rzucaniu pieniędzy w nadstawiony beret śpiewaka.

W dalszych komnatach poważniejsi, spokojniejsi goście, po kilku, osobno bawili się rozmową, a nowiny od obcych i podróżnych opowiadane, stawały się przedmiotem rozpraw, po większej części polityczno-religijnej treści.

Na uboczu siedziało dwóch obcych, ubiorem i postacią odznaczających się od reszty, nie zważając na ogólne rozmowy, w swoim języku zajmowali się ze sobą. Jeden z nich z jasnymi włosami, głową podgoloną, twarzą przyjemną i otwartą, z małymi wąsami, podparty na krzywej szabli, słuchał rozprawiającego towarzysza - był to znajomy nam już Sędziwoj. Spółtowarzysz jego, Wacław Rogosz, starszy, bo około trzydziestu lat liczący, na pierwszy rzut oka we wszystkim tworzył sprzeczność z Sędziwojem. Niski i krępy, w ruchach powolny, przy mrużonych oczach, ciągłym uśmiechem nadzwyczaj szerokich ust, pomarszczonym czołem i rudą, krótką, ostrzyżoną brodą, niepociągający nadawał wyraz całej twarzy.

Parę dni jak przyjechał z Krakowa i chciwemu wiadomości i pociechy Sędziwojowi opowiadał o domowych w kraju wypadkach, stąd wywodził wnioski, układał zamiary, a opowiadał żywo, bo wszystko, jak igłę magnesową do północy, do własnych kierował korzyści. Podobni ludzie między sobą uważają się za rozważnych, rozsądnych i chwalą wzajemnie, Sędziwojowi od dawna polecano Rogosza za doradcę, pilnie więc słuchał, czy rady te zgodzą się z jego dążeniem.

- Już kanclerz - mówił dalej Rogosz - ostygł w zapale dla króla, którego na tronie posadził. On widzi, że nieprzyjaźni i włoskie posły rosna w siłę; jemu dają do zrozumienia, że obejdzie się korona bez tarczy i podpory jednego magnata. Bo u nas nie tak, jak w Niemczech, wszystko się dzieje na opak, ile panów, tyle stronnictw, każdy ciągnie niewodem - a człek rozsądny łowić może. Nowatorstwo słabe, jedni je krwią i życiem gotowi karmić, a drudzy już je rozcierają jak owad nogami. - I to uda im się łatwiej, jak gdziekolwiek bądź. Lud cały nie znaczy nic, uboga szlachta ufa doradcom króla, tylko mieszczenie podnoszą głowy i niektórzy panowie, szczególnie na Litwie. Dałby Bóg! kto ma oczy i uszy dobre, to samym językiem dobrze się teraz pokieruje. I tobie radzę, wracaj do Krakowa.

- I po co? - rzekł wolno Sędziwoj - abym patrząc na wyuzdaną dumę Zborowskich, Górków, Zebrzydowskich lub na intrygi Włochów i ich posłańców, bezczynny świadek spólnych nie-szczęść, z cudzymi zbrodniami rachował własne zyski? - Pozostaw mnie tutaj. Pogrążony w nauce, już nie zdołam się od niej oderwać. Tam nic bym nie zdołał. Nieznany, nieobznajmiony z krzątaniami się około zawieruchy publicznej, musiałbym być narzędziem, a narzędzie używa się, jak kto chce. - Jeżeli Bóg uwieńczy moją pracę, wtedy owoc jej złożę dobru powszechnemu. - Wtedy sam jeden stanę, a z drugiej strony niech szatan wszystkie myśli swoje rzuci, zobaczymy, czyja szala przeważy!

- To wszystko ładne i chwalebne - odpowiedział Rogosz, popijając winem, aby zasłonić sztyderski uśmiech, którym usta wykrzywił - to wszystko piękne, ale to są sny czuwającego. Muru głową nie przebijesz: świata nie poprawisz, uważaj go takim, jakim jest i korzystaj z niego jak drudzy. Bo co do twojej alchemii, pamiętaj, iż blisko już trzy wieki jak bulla papieska „*Spondent quos non exhibent...*” oznajmiła, co o tym szalbierstwie trzymać należy...

- Ja tam o tym nie wiem, wierzę tylko, przypatrzwszy się naszym alchemikom, iż cała ich nauka jest, jak prawdziwie rzekł kardynał Perronius, zalotnica, która wszystkich zaprasza, a potem wyśmiewa; sztuka bez sztuki, która w duszę wlewa namiętności, potem zmusza do kłamstwa, a doprowadza do żebraczej torby albo do haniebnej śmierci.

- Każda sztuka u was - dodał z pogardą Sędziwoj - jest szalbierstwem, kiedy nie możecie zawczasu wyrachować, ile wam groszy praskich na dzień przyniesie w zysku; dla tych alche-

mia słusznie jest zalotnicą, co ich wyśmiewa...

- A któż by ci przeszkadzał przy innych zatrudnieniach zajmować się czasami alchemią - przerwał nieurazony Rogosz - to tylko zasmuca twoich przyjaciół, iż wszystkie godziny życia temu bałamuctwu poświęciłeś. Mówmy ze sobą otwarcie: przyjaciele twoi widzą, iż masz głowę i pilność po temu i dla dobra twego radzą ci wyjść dobrze.

- Majątek twój tą nauką i zagraniczną włóczęgą jest zbyt nadwreżony, abyś się nie miał chwycić czego obcego. Wróć się tylko do Lwowa lub Krakowa. Niemało jest wielkich panów, którzy cię wesprą: przecież pomyślą, nie na próżno tak długo siedziałeś w ojczyźnie Zwingliego i Karlsruhata; oni cię całą siłą wesprą, tam potrzeba ludzi. Możesz się bogato ożenić; honory, powaga, wszystko spłynie zarazem; a wtedy trudnij się i czarnoksięstwem, nie tylko alchemią, Jeszcze żaden szlachcic u nas nie spłonął na stosie, chociażby był sam Simonides Magus.

- Tak! - rzekł Sędziwoj z goryczą. - Masz prawo wszystkie moje cele i żądze kierować do pieniędzy, wszakże złota tylko żądam, nad zdobyciem go pracuję i tyle mu już poświęciłem! A jednak nim gardzę! Nieszczęśni ludzie, których trawi nieograniczona żądza miłości, jakiej nawet nazwy nadać nie umieją! - świat im zapłaci nienawiścią. Pierwej, nim poznałem świat, ukochałem naukę i oddałem jej się całą duszą; jeszcze serce zostało czyste, nie zajęte i silne domagało się o swój udział; teraz poznałem Adelę i miłość kochanki stopiła się z miłością nauki w jeden płomień, który mnie pożera, tak iż rozłączyć bym go nie zdołał. Dziś, kiedy sam upadłem w labiryncie myśli i bliskiego rozpacz nadzieja odstępowała, wzdychałem na próżno za żywym słowem nauki, aż niespodzianie ujrzałem mistrza. Od tej chwili on wszystkie myśli moje zajmuje.

Rogosz, który już słyszał o Kosmopolicie, zamilkł na chwilę i złośliwie tylko spoglądał na Sędziwoja, gdy w tej chwili wejście nowych gości przerwało ich bieg myśli. Między wchodzącymi był i lekarz Bodenstein.

- Wielka rzecz - wołał ten ostatni - moje panaceum życia wyleczyło ją, *et stulta turba* okrzykuje sławę szarlatana!

- Jednak - odparł ktoś drugi - to jego leczenie nie jest pierwsze; nie tylko w Bazylei, on, gdzie się pokaże, uzdrawia prawie cudownym sposobem ludzi. Co dziwniej, iż często nawet lekarstwa nie dawał; przyszedł, popatrzył, dotknął się chorego, chory zasnął i zdrów się obudził.

- A to jeszcze dziwniejsza - rzekł któryś ze studentów spoglądając na Bodensteina - że nigdy nie brał zapłaty, owszem, sam hojnie rozdziela wsparcie.

- Jeżeli był uczniem Paracelsa - odpowiedział Bodenstein, nadymając się i powiódłszy okiem po zgromadzonych - to w tym nie ma nic dziwnego. Niewart tylko tego szczęścia, iż całe miasto o nim rozprawia.

Rogosz bacznie się zaczął przysłuchiwać powszechniejszej rozmowie; nie wierząc bowiem w nic, za największy by tryumf sobie poczytał odkrycie oszukaństw człowieka, o którym najdziwniejsze chodziły wieści. Podobni ludzie jak Rogosz, samym fałszem oddychający, prędzej zniosą obelgę, jak cudze podejście.

- Ptaszek to jest noszony - mówił znowu Bodenstein - chociaż wszyscy o nim mówią, nikt go nie zna, a takim ichmościom z tym najlepiej. Czemuż ja się ze sobą nie taję, każdy mnie może znać!

- Są, którzy i jego znają - rzekł jeden z słuchających w podeszłym już wieku - sam byłem tego świadkiem. Nie jestem ani wędrownym alchemikiem, ani uczonym, podróżowałem jed-

nak wiele i do sytu nasłuchałem się podobnych powieści, o wielu przekonałem się następnie, iż na fałszu zasadzały się, dlatego, przyznam się, sława Kosmopolity nie uwodziła mnie wcale. Doświadczenie jednak może nadać wprawę odróżniania, człowiek ten nie ma nic podobnego do wszystkich, o jakich słyszałem adeptach i cudownych włóczęgach. On jakąś tajemną siłą, której wytłumaczyć sobie niepodobna, pociąga do siebie wszystkich. Najmniejszy jego wyraz, poruszenie, obdarzone są jakąś wyższością zadziwiającą, nakazującą mimowolne uszanowanie.

Sędziwoj spojrział się znaczącym wzrokiem na Rogosza, który tylko ruszył ramionami.

- Od pierwszego wejrzenia - mówił dalej obcy - jakaś nieznana siła pociągała mnie ku niemu, nie zapomnę nigdy uroku jego nauczającej rozmowy, która była dla mnie rozkoszą. W niedzielę zeszłą przechadzaliśmy się wieczorem po bulwarze, gdy nagle zastępuje nam drogę jakiś stary i siwy zupełnie człowiek; złożywszy ręce na krzyż na piersiach upadł na kolana przed Kosmopolitą i w nie znanym mi odezwał się do niego języku. Był to zakrystian kościoła Panny Marii, znajomy wszystkim. Człowiek ten, przechodząc różne koleje, przebył dwadzieścia lat w Tunis w Afryce w niewoli u korsarzy. Kosmopolita podniósł go, rozmawiał chwilę, obdarzył pieniędzmi i pożegnał. Nie miałem śmiałości wypytywać go się, skąd by znał starca i w jakim języku do niego mówił. Odtąd nigdzie go spotkać nie mogę i nadaremnie szukam.

- Ja sam - przerwał ktoś drugi - słyszałem, jak tenże zakrystian przysięgał się, że człowiek, którego zwiemy Kosmopolitą, przed trzydziestu laty podróżował po Afryce i wykupił go z niewoli. Opowiada, iż od owego czasu w niczym się nie zmienił, równie był pięknym jak teraz, jakby dotąd ten sam wiek zatrzymał. Słusznie starzec dodaje, iż omylić się niepodobna, bo kto Kosmopolitę raz widział, ten go pomiędzy tysiącem pozna. Rozmawiał z nim w języku arabskim.

- Spytajcie się gospodarza - wtrącił ktoś inny - on wam więcej opowie. Do pierwszej komnaty przychodzi tu prawie co dzień stary Jan Tornokiold, górnik, Szwed z urodzenia. Ten, gdy raz spostrzegł przechodzącego Kosmopolitę, przestraszył się, jakby jakiego ducha obaczył; później przecież mówił z nim po szwedzku i podobnież na wszystkie świętości zaklinał się, iż Kosmopolita jest tym samym człowiekiem, którego kilkadziesiąt lat temu, małym jeszcze będąc chłopcem, widział w Szwecji, w Persbergu w kopalniach. Lecz, co więcej, zaręczał, iż jak dziś pamięta, kiedy uderzony jego postawą wypytywał się o nim, któryś z najstarszych górników opowiadał mu, iż Kosmopolita jest człowiekiem nieśmiertelnym, że przed dwudziestu laty widział go w rodzinnej ziemi Islandii, i gdzie dotąd utrzymuje się jeszcze podanie jak zwiedzał Gejzer i Hekłę.

- To pewna - rzekł znowu pierwszy - że słyszano Kosmopolitę nieraz rozmawiającego z Grekami, Żydami, Tyrolczykami i naszymi wieśniakami, z każdym we właściwym dialekcie, tak jak go od urodzenia używał.

- Tak więc - wtrącił Sędziwoj - nikt nie wie nic pewnego ani o wieku, ani o ojczyźnie tego człowieka?

- Sądząc z jego fizjonomii można by się domyślać, iż pochodzi ze Wschodu. Te idealnej piękności rysy twarzy, wielkie czarne oczy, włosy jak heban, ręce delikatne jak u kobiety, a przy tym wprawa w języki wschodnie, tyle trudne dla Europejczyków, wszystko to może naprowadzać na domysł, iż się urodził pod gorącym niebem Południa.

- Lecz akcent w naszych językach, jakiego żaden mieszkaniec Wschodu nie nabierze, obejście się całe zupełnie nasze...

- A więc - przerwał Bodenstein - to chyba czarownik, nie wiem! Jeśli człowiek ten wolny, to u was widno z diabłem już bezkarnie można spisywać cyrografy.*** Muszę ja tego dojść...

- Jeżeli on jest czarownikiem - odezwał się gospodarz spod Złotego Bociana - to dalibóg, chyba i to się teraz odmieniło. Za moich młodych lat czarodzieje i czarownice zupełnie inaczej wyglądali. Albo to ja mało ich się napatrzyłem, jak je topili w stawach, po rzekach, albo na stosie palili! Wszystko było stare, czarne i szpetne, prawie jako sam diabeł. Ten zaś pan, o którym mowa, ja jego nie bronię, ale przecież on tu u mnie na górze mieszka, to wcale co innego, i każdy się o tym przekonać może. Ja jego nie bronię, jego nie znam; aleć on do kościoła chodzi, żaden ubogi jeszcze nie odszedł od niego z prózną ręką, tylu ludzi już uleczył, których nasi lekarze porzucili, złego jeszcze nikomu nic nie zrobił.

- Ale skąd on ma tyle pieniędzy?

- Że ma wiele pieniędzy, to byłby dowód, że nie czarownik; nie słyszałem jeszcze, aby który palony czarownik miał wiele pieniędzy. A że on rzuca złoto, to i biedni ludzie mają się z tego dobrze. Żebyć jeszcze wszyscy byli tacy czarownicy, nie wiem, za co by ich palić. Ja jego nie bronię, bo go nie znam, ale powiem państwu pod sekretem, iż miałem podejrzenie, że to alchemik. Po jego wyjściu drugim kluczem otworzyłem dla ciekawości jego komnatę, aby jeśli to człowiek podejrzany, nie mieć go u siebie. Ale cóż? tam nie ma komina, a żadnych flaszek ani narzędzi, ani książek prawie, oprócz jednego łóżka, nic nie znalazłem. On jest grzeczny, je i pije jak drudzy ludzie, bawi się: uważałem tylko, że się nigdy nie śmieje, jak inni ludzie, to cała różnica. Ubiera się przyzwoicie, a że nadzwyczajnie jest piękny, to nic dziwnego, że wszystkie kobiety wyglądają tylko, aby go zobaczyć. Daj Boże, aby wszyscy czarodzieje byli tacy.

Wtem głośne okrzyki nowej gromady śpiewających burszów dochodząc z pierwszej komnaty przerwały rozmowę. Sędziwoj mocno się zadumał. Rogosz, chcąc gwałtem zwerbować go do swej falangi, rozumiał, iż jeszcze wyrwać go może z unoszącej namiętności walcząc z nią otwarcie i śmiało. Po chwili więc rzekł do niego:

- Otóż to takie zjawiska na kształt arabskich powieści, które cię tutaj czarują, lecz nim zupełnie staniesz się ich wyznawcą, wspomnij coś winien krajowi, co sobie samemu. Wszystkie te gawędy nie dowodzą niczego. I ów Szwed, i zakrystian mogli być namówionymi pomocnikami oszusta, a wtedy cała cudowność zniknie.

- Bo dla was, zimni egoiści - zawołał urażony Sędziwoj - nie ma cudu. Bo wy, jak Tomasz, kładąc palec w ranę, jeszcze byście nie uwierzyli, jeżeliby cud robiony był nie dla jakiej korzyści. Dlatego nie wierzycie w cuda natury, a przecież one nas otaczają, nie wierzycie w cuda serca ni myśli, bo wasze myśli są tablicą procentowych rachunków. Precz mi z tymi litośnymi ostrzeżeniami, gdybym wiedział, iż kiedyś podobnie myśleć będę, zawczasu bym się sobą brzydził.

- Słowa przyjaźni - odparł zimno Rogosz - nie powinny cię unosić gniewem; jeżeli przyjaźń ma tylko pochlebiać, przestaje być przyjaźnią. Jeszcze ci jedno ostatnie wspomnę. Przypomnij sobie wszystkie powieści o Flamelu, Dubois, Mamugo Bragadino**** i tylu innych, których pamięć zaledwo obejmie. Iluż to oni cudów działali! Iluż to było świadków tego! Cały świat im prawie wierzył, a przecież w końcu więzienie lub poślacana (Bóg wie, dlaczego?) szubienica, była nadgroda ich oszukaństw.

- Nie byłoż i między Boskimi posłańcami fałszywych proroków? Czyż mamy równać Daniela, Jeremiasza z Nostradamem?

- Ja nie sięgam tak daleko, lecz sądzę z tego, co widzę. Ty nigdy nie zostaniesz takim mistrzem. Nie tyle piękny, abys mógł podobny zapał wzbudzać, nie tyle zręczny kuglarz, abys mógł niby robić złoto, z prostym sercem poświęcając się zwodniczej nauce stałbyś się wreszcie laborantem, wędrownym alchemikiem, który dla bogatych panów robi złoto za kilka groszy dziennej zapłaty! Oto godny cel tylu usiłowań!

- Jak to - rzekł zdziwiony Sędziwoj - czyliżbyś nawet nie wierzył, iż Kosmopolita jest prawdziwym adeptą?

- Wierzę, iż znając sztukę robienia złota, zapewne by się sam nie włóczył po świecie jak mara, lecz by bogactw używał. Zapewne by z innym jeździł dworem i postarał się o piękną towarzyszkę życia; zapewne byśmy go widzieli ksiązęciem, a nie tajemniczym, bez jednego nawet słuźalca, wędrowcem.

I były to pierwsze słowa Rogosza, które trąciły tajemną strunę w sercu Sędziwoja. Sam przed sobą zawstydział się spostrzegłszy, iż nie potrafiłby używać tak skromnie nieprzebranych bogactw, gdyby ich był panem. Poznał, iż wspólny cel łączył go z Rogoszem, chociaż jego środków tak nienawidził, a celem tym był egoizm. Mimowolnie myśl ta w innych mu się od początku przedstawiała barwach, a teraz odkrycie to boleśnie go uderzyło.

Dwaj przyjaciele pod wpływem tych myśli mieli już opuścić gospodę, kiedy gospodarz, przysłuchujący się poprzednim rozmowom, któremu ciążyła jeszcze na sercu tajemnica, zbliżył się i rzekł:

- Słuchałem cierpliwie wszystkiego, coście panowie mówili, ale wszystko niczym jest w porównaniu tego, na co sam patrzałem. Widzę, iż jesteście ludzie stateczni, nie zechcecie cudzego nieszczęścia i zamilczycie, co wam w krótkości opowiem. Oto w parę dni po przybyciu tego obcego, Kosmopolity, czy jak on się tam zowie, zajechał tu także nad wieczorem konno jakiś jegomość około lat czterdziestu mieć mogący, z którego twarzy, ja, co się to znam na tym, zmiarkowałem, iż dobre wino pija i na wdzięki płci pięknej nie musi być obojętny. Kazał sobie dać madery, kapłona, ryb pieczonych i oto tu zasiadł. Wkrótce zaczęli się schodzić i inni goście wieczorni, a między tymi i ów rycerz Haubold, co dzbanowi i żadnej kłótni nie przepuści. Na parę godzin przed północą rozpoczęli grę. Nie wiem, czy spostrzegł pękaty trzos podróznego, czy też z przypadku, grali dosyć grubo. Hauboldowi zupełnie się nie szczęściło. Co rzuca kości, to najmniejsza wypada dla Haubolda, najwięcej wygrywał ów obcy. Haubold kłął, pił, ale wszystko nic nie pomagało, przegrał w krótkim czasie wszystko. Jednak gracz to nie lada i nieprędko schodzi z pola; położył swój hełm pozłacany na stół i - ceniąc go dwadzieścia złotych węgierskich - stawił na jedno rzucenie kości. Wtem z tej oto framugi od okna występuje Kosmopolita, wszystkich to uderzyło, bo nikt go dotąd nie spostrzegł, przybliżył się do stołu i prosi grających, aby do hełmu drugie dwadzieścia złotych przystawić dozwolili. Gdy gracze przystali, rzucono kości, Kosmopolita stanął za krzesłem Haubolda i milczał. Od tej chwili szczęście odwróciło się, nieznajomy raz po raz przegrywał - przed Hauboldem leżała już kupa złota. Nieznajomy, drżąc z gniewu, szukał koło siebie i nie znalazł ani jednej monety. Wtedy z wściekłością powstaje na Kosmopolite, dlaczego stoi za krzesłem Haubolda, dlaczego wmieszał się do gry. Kosmopolita na wszystko odpowiadał z umiarkowaniem, które powiększało zwierzęcy zapęd przeciwnika. Nieznajomy w czasie tej kłótni przegrał jeszcze kilka pierścieni, które miał na palcach, i łańcuch złoty. To była rzecz niesłychana! Haubold rzucił kości 60 razy raz po raz i ani razu nie przegrał. Kiedy już gra miała ustać dla braku zastawu, Kosmopolita zimno rzekł do nieznajomego:

- Staw jeszcze ten portrecik, który nosisz na piersiach, wszakże na złotej blaszce malowany.
- Nieznajomy na te słowa zadrżał, cofnął się i szeroko otworzył oczy, jakby przerażony nadludzkim jakim widmem, zawołał:

- Ha! teraz się nie dziwię, że przegrywałeś, bo tylko przez czary mogłeś się dowiedzieć o tym, o czym nikt oprócz mnie nie wiedział. Ale choćbyś był samym szatanem, wiedz, iż na świecie nie ma nic, co bym tyle cenił, aby nie przegrać lub w błoto nie rzucić!

- Mówiąc to rozerwał swój wams i, wyjąwszy podłużny medalionik, rzucił na stół i zawołał do Haubolda:

- W zakład tej blaszki stawiam zamek Grandorf nad Renem!

- Haubold otworzył medalionik, ujrzeliśmy miniaturę, zgadnijcież czyją? Oto żony tego dziwaka, nieboszczyka alchemika Tholdena! Zdziwiony spojrzałem na nieznajomego i aż uderzyłem się w czoło ręką! jakież ze mnie gapa, że go od razu nie poznałem. Był to ów Albert Grandorf, ten szalawia, szaleniec, co kilkanaście lat temu znikł i po tak długiej niebytności pierwszy raz zawitał do Bazylei.

- Haubold zapalony szczęściem bez namysłu rzucił kości... wypadło ośmnaście, to jest najwyższa wygrana. Wtedy Grandorf stał się prawie szalonym. Mnie dziwno było i tak, że się już do bitwy nie porwał, on, tak niegdyś zapalczywy, który na kilkudziesięciu ludzi sam jeden się rzucał. W istocie też, ściskając w ręce rękojeść sztyletu, miotał na Kosmopolitę obelgi, jakie bezprzykładna, pijana zapamiętałość mogą poszepnąć. Kosmopolita zimno z wyrazem niesłychanej wyższości, obojętnie nawet, odpowiadał; wtedy Grandorf porywa za sztylet, podnosi go i zapieniony od złości rzuca się ku Kosmopolicie, gdy ten utkwiał tylko w nim wzrok. Ja stałem naprzeciwko, ale nie, takiego wzroku już drugi raz nie ujrzę. Boże! co za oczy! mnie grobowe zimno przez żyły przebiegło, do śmierci tego nie zapomnę.

- Grandorf naprzód stanął jak skamieniały, nagle zbladł, zamilkł; sztylet wypadł mu z ręki, usiadł i zakrył twarz rękami.

Kosmopolita powstał i wychodząc rzekł:

- Albercie! godziny twoje policzone, nim jedna minie, pokuta twoja się skończy, dziś jeszcze raz go zobaczysz!

- W tych czasach kłótni i zabijatyk ode mnie zawsze i wszyscy bez szwanku wychodzili; ale z tego, co się stało, nic dobrego wróżyć nie mogłem. Tu się stało coś nieludzkiego. Kosmopolita już się oddalił; Grandorf tylko, jak obłąkany, spoglądał dokoła siebie i czasami mruzczał:

- To jest szatan!

- Wszystkie niedobre myśli o Kosmopolicie przyszły mi do głowy, przyznam się, wątpiłem; kto wie, a może to nie człowiek? I nie bardzo miłe powagę Złotego Bociana skompromitowaną widziałem. Kiedy już namawiałem gości do porożchodzenia się i pozostał tylko Haubold, na zegarze kościelnym zaczyna bić północ i zarazem trąbić poczynają; mnie jakiś świeży powiew grobowy owionął, jakby coś nie z tego świata koło mnie przebiegło, gdy raptownie drzwi od tej oto pustej komnaty z trzaskiem otwarły się, a Grandorf, blady jak śmierć, powstał i pokazał palcem w ciemny pokój i wyjąkał:

- Widzicie go, oto jest! Anathemius, przebacz!

- Więcej nie zdołał mówić, upadł i stężał. Myśmy nic nie widzieli, dość że baron skonał na miejscu, jakby go jakiś okropny przestach zabił. Ja to wszystko państwu powiadam pod sekretem, wiem, iż chociaż cudzoziemcy, jesteście ludzie godni i nie zdradzicie mnie. Ale co

mnie bardziej dziwi, to że tu miał urząd zjeżdżać, mieli się dowiadywać; już drżałem o dobrą sławę Złotego Bociana, tymczasem na tym się skończyło, że mi polecono milczenie. Kosmopolita odwiedził panów radnych, biskupa, i wszystko ucichło. Barona potajemnie pochowano, jakby się nic nie stało nadzwyczajnego. A to jednak uczciwemu człowiekowi przykro widzieć taki wypadek i milczeć. Mogą jeszcze i mnie posądzać o bezbożne praktyki, albo to braknie złych języków!

W czasie tych rozmów słońce już się zbliżyło ku zachodowi; młodzieńcy opuścili gospodę. Sędziwoj miał się jeszcze tegoż wieczoru udać do zamku Wardstein, aby obaczyć Adele, odechnąć w jej rozmowie. Na próżno Rogosz odradzał mu, widząc, iż wzbudza tylko niechęć, zamilkł. Myśl Sędziwoja wypełniona tylko była obrazem Kosmopolity.

- Dziwna rzecz - rzekł wreszcie - od pierwszego spostrzeżenia tego człowieka tylko o nim ciągle marzę. Postać jego czarami zaciera w mej pamięci rysy kochanki. Jakiś głos wewnętrzny powtarza mi, iż los mój związany jest z losem jego. Przeczucie nie zawodzi mnie, to jest mistrz z tego potężnego bractwa, o którego bytności jeszcze tylu ludzi wątpi. ***** Ja nie opuszczę go, dopóki mnie nie przyjmie...

- Za swego ucznia - dokończył ze złośliwym śmiechem Rogosz.

- Będzie to spełnieniem moich najgorętszych życzeń! - odparł Sędziwoj.

- Otóż masz, do czego cię prowadzi ten szalony zapal. Święte to są słowa owego uczonego: „Nieszczęśliwe umysły, które się kwadraturą koła, machiną wieczystego ruchu i kamieniem filozoficznym zajmują.” Otóż masz owe przeznaczenia, tajemne pociągi, mimowolne działania, natchnienia i tym podobne wierutne bałamustwa. - Jeszcze ty! szlachcic, potomek Sędzi-mirów, gotów jesteś zostać służącym włóczęgi, niemieckiego szarlatana! A co na to bracia szlachta wyrzekną! Powiedźże, czy nie poniża to godności i niezależności człowieka, za którymi obstajesz, owe zdawanie się na los i wierzenie w przypadki? Nie byłęby sam godny litości, gdybym czynił to, czego nie mam zamiaru?

Sędziwoj już ostatnich słów przyjaciela nie słyszał, bo na zakręcie ulicy, gdzie się mieli rozejść, ujrzał nagle o parę kroków przed sobą Kosmopolitę.

Na tle czerwonej łuny nieba na zachodzie poważna jego postać wydała mu się kolosalnej budowy. Rysy jego pogodne, spokojne, postawa niewzruszona, miały w sobie coś nadludzkiego.

- Cudzoziemcze - rzekł do Sędziwoja - idziesz do zamku Wardstein, wieczorem, tym bardziej w nocy, drogi niebezpieczne. Przyjmij ostrzeżenie, nie chodź sam.

Nim Sędziwoj zdołał odpowiedzieć, zapytać się, co mu grozi, już się oddalił.

Rogosz tym zjawieniem się również uderzony, upokorzyć się przed sobą musiał, czuł bowiem, iż nie śmiałyby oskarżyć w oczy tego, którego z jakiegoś instynktu nienawidził. A dla zagłuszenia siebie, szydząc z Sędziwoja, uniesiony zapalem, ofiarował mu się towarzyszyć do zamku Wardstein, aby jak twierdził urządzone zawczasu szalbierstwo Kosmopolity odkryć i zdjąć urok z przyjaciela, lecz Sędziwoj zawołał:

- Ja teraz przypominam sobie, jak dzieckiem jeszcze będąc, widywałem tego człowieka. I tutaj już nieraz go widziałem - a to we snach moich. Każdy rys jego twarzy, dźwięk głosu, wszystko mi znajome! Nie słyszałeś? On najczystsza polską mową teraz się do nas odezwał. Rogosz zniechęcony, miotany tajemną obawą, któremu wstyd nie pozwalał cofnąć się, postępował po kamienistej drodze i milczał.

* Piwo i wino były jedynymi w ówczesnych karczmach używanymi trunkami; wódkę brano tylko u aptekarzy i cyrulików, jakkolwiek już w powszechniejsze użycie poczyniała wchodzić.

Dziwną jest rzeczą, iż o wynalazcy tego zabójczego napoju tak dalece zapomniano, że nawet nie wiemy z pewnością wieku, w którym żył; gdy tymczasem mniej więcej wiadome jest nazwisko wielkiego wynalazcy peruki albo i tego szanownego talentu, który pierwszy rozważną ręką puder sobie we włosy nasypał. Pewna jest rzeczą, iż jeszcze około 1330 roku destylacja wódki połączona była z wielu trudnościami i kosztem, dlatego od ówczesnych chemików w wielkiej zachowywana tajemnicy. Dopiero ku końcowi XV wieku weszła w Europie w ogólniejsze użycie.

Pierwsze księgi, w których jest wzmianka o wódce, polecają ją jako środek zabezpieczający od wielu chorób i jako jedyny sposób zachowania piękności i młodości. W 1582 roku Urząd Muncypalny w Frankfurcie n. M. zabronił jej użycia, „ponieważ cyrulicy donieśli, iż używanie jej znacznie się przyczynia do powiększenia śmiertelności”.

Zakaz ten z tejże samej przyczyny ponowiony został 1605 roku, kiedy rozpoczęto palić wódkę nie tylko z wina i piwa, lecz z samego ziarna, wtedy powstała ogólna wrzawa; uważano to jako nadzwyczajne znieważenie i nadużycie celu, na jaki Opatrzność obdarzyła nas zbożem. Nieraz surowe wychodziły rozkazy palenia wódki jedynie z wina lub owoców.

A jednakże, niestety! - żaden trunek nie zyskał tak powszechnego przyjęcia i użycia, jak wódka pod rozmaitymi kształtami. Dzicy spod wszystkich sfer wnet się z nią zaznajomili; oddają za tę truciznę to, co im niegdyś było najdroższe, co najwięcej kochali.

Od Laponii do Afryki żądza wódki jednostajnie się rozkrzewiła. W Ameryce nic ma dzikiego, którego by wódka nie zawojowała. Do jakiegokolwiek zakątku Europejczyk się dostanie, nic mu nie zjedna równie przychylnego przyjęcia - jak wódka.

** Zaburzenia - znane w historii pod nazwiskiem wojen chłopskich - wszczęły się początkowo w Wurzburskim, gdzie niejaki Jan Bohme (inny był Jakub Bohme, mistyczny pisarz w XVI wieku), młody człowiek utrzymujący się ze śpiewania po miejscach publicznych, wystąpił jako kaznodzieja rokoszu. Opowiadał, iż Matka Boska objawiła mu, że wkrótce między ludźmi nastąpi zupełna równość. Że papież, cesarz, wszyscy panujący jednostajnie na chleb swój pracować będą musieli. Że wody, pastwiska i lasy spólną będą własnością itp. Powstańcy zgromadzili się pod Wurzburgiem w liczbie 46 000 - jednakże Bohme i naczelnicy tamże schwytani i straceni zostali. W Spirze podobnie około 1502 objawiły się oznaki powstania. Ogólny jednak wybuch nastąpił dopiero 1525 roku, w którym zebrani chłopcy wysłali piśmienne przedstawienie, w którym, opierając się na Piśmie świętym, domagali się dopełnienia następujących warunków: 1. Aby proboszczy sami sobie wybierali. 2. Aby dziesięciny jedynie na utrzymanie proboszczów były pobierane. 3. Aby poddaństwo było zniesione. 4. Aby polowanie i rybołówstwo nie było wyłączną własnością książąt i szlachty. 5. Aby czynsze i pańszczyzny prawami określono itd. Naturalnie, że żądania te zostały bez odpowiedzi, skutkiem czego chłopcy wyciągnęli w pole. Zdobyli Wurzburg; biskup ratował się ucieczką, wkrótce zaś pobici pod Sulzdorf rozproszeni zostali. W samej Szwabii i Frankonii w skutku tego lud zniszczył lub spalił 189 zamków, 26 klasztorów, a przeszło 12000 ludzi utraciło życie. Zaraz też w Lotaryngii wieśniacy chwycili za broń, ale i tu zostali pobici. Zginęło ich przeszło 50 000 a zamiast ulgi ciężary tłoczące ich zwiększono. Po uspokojeniu tych następowały nowe krwawe powstania w Saksonii i Turynii.

Na chorągwiach i pieczęciach powstańcy używali koła od pługa -znaku ich powołania - przysięgając sobie wzajemnie pozostać nierozdzielni jako są sprychy w jednym kole.

W tych czasach zaburzeń śpiewacy wędrowni, na wzór Jana Bohme, często występowali jako mówcy roznosząc zapał i pożar.

Oświata zaczynała się stawać własnością ludu.

Niemiecka szlachta, która w XIII wieku, gorliwie starannym kształceniem się zajęła, uprawiała narodową poezję, już w końcu XIV wieku zupełnie ustała w szlachetnym zawodzie, rzucając się w wir małych wojen, które w całych Niemczech buchnęły i tyle set lat grasowały.

Tylko za murami miasta można było wtedy znaleźć pokój i swobodę; tam tylko mogły sztuki i umiejętności zakwitać, gdzie też i do ostatnich czasów pozostały. W tych czasach powszechnego bezrządu przyjaciele porządku, jakby z obawy od wszystkiego niszczącego żywiołu, tym ściślejszymi związali się prawami.

I tak ludzie jednego powołania łączyli się w cechy nadając sobie stałe, niezłomne i z drobiazgową skrupulatnością wypełniane ustawy. Pod przymus ten musiały się udawać nie tylko właściwe rzemiosła, lecz i sztuki wyzwolone, aby uniknąwszy nienawistnej sobie anarchii do miast się schraniać i w nich bezpiecznie wykształcać mogły. Los ten spotkał i poezję.

Ciszy i pracowici mieszczenie i rękodzielnicy miast większych, wśród długich swoich wieczorów czytając piękne utwory minnesangerów, wpadli na myśl utworzenia cechu poetycko-śpiewackiego. Czując się na siłach tworzenia nowych pieśni połączyli się osobnymi prawami i wyraźny cech założyli. Dawni minnesangerowie byli, wedle ich wyobrażeń, ich prawymi poprzednikami: dlatego to nieraz Wolframa von Eschenbach, Henryka Frauenlob i Klingsohra zwali cechu założycielami.

Jednakże ci poeci złotych czasów służyli im raczej tylko za wzór formy, a nie ducha poetycznego; nie domyślali się oni, że miara wiersza, rym, muzyka nawet, nie zamienią prozy na poezję. Podobnie i treść dawnych pieśni nie odpowiadała ich dążeniom.

Cechy śpiewaków zbierały się podobnie, jak inne cechy, na wspólne posiedzenia, to zwano szkołami śpiewu. Najznakomitszy popis odbywał się z wielką uroczystością w norymberskim kościele Świętej Katarzyny, gdzie zwyczajcy otrzymywali nagrody.

W innych miastach Niemiec powoli ginęły ustawy, a w końcu i ślady meistersingerów; w Norymberdze jednak jeszcze w początku XVIII wieku popisy się odbywały. Tam jeszcze utrzymała się sława Hansa Sachsa, prawdziwego poetyckiego talentu z pierwiastkowej epoki owego cechu.

*** Myliłby się, kto by rozumiał, iż reformacja, walcząc przeciwko przesądom, zniosła zarazem okropne prześladowania, na jakie wszyscy posądzeni o czarodziejstwo niegdyś wystawieni byli. Ani urodzenie nauk w XV i XVI wieku, ani reformacja niezdolne były wytepić głęboko wkorzenionych wyobrażeń o czarodziejstwie i wpływie złych duchów na ludzi i naturę. Wiara w czarnoksiężstwo utrzymywała się tak pomiędzy protestantami, jak i katolikami, i jeszcze w 1780 r. spalono w Glarus w Szwajcarii publicznie jedną mniemaną czarownicę. - U nas by może, niestety! równie późnego barbarzyństwa ślady dały się wynaleźć.

**** Gdy mistycyzm średnich wieków zaczynał czasami zwracać się z prawdziwej drogi i w naukach zwanych tajemniczymi (*scientiae occultae*) oddalał się od dogmatów lub jakieś nowe siły przyrody okazywał, wtedy Watykan rzucał piorunami bulli, jedynym sposobem wstrzymania popędu; mimo to jednak nieraz sami kapłani z zapalem poświęcali się wyklętym praktykom, które wszystkich tak złotą ludziły nadzieją. Pierwszą i najślawniejszą tego rodzaju bullą jest owa groźna, 1317 r. przez Jana XXII rzucona, znana pod nazwą: „*Spondent quos non exhibent*”, którą tu w skróconym tłumaczeniu dla ciekawych umieszczam:

„Nędzni alchemicy obiecują, czego wypełnić nie są w stanie! Jakkolwiek uważają się za mędrców, jednakże wpadają w jamy pod drugimi kopane. W śmieszny sposób udają się sami za mistrzów alchemii, gdy tymczasem zdradzają swoją niewiedzę ciągłym tylko odwoływaniem się do dawniejszych pismaków. A chociaż nie odkryli tego, czego tamci nie znali, nie tracą przecież nadziei wynalezienia tego w przyszłości. Sprzedają fałszywe metale za złoto i srebro, i sami to jeszcze obwołują. Godne kary ich zuchwalstwo posuwa się do bicia fałszywej monety, celem oszukiwania drugih. Rozkazujemy, aby podobnego rodzaju ludzie na zawsze z kraju wygnani zostali; podobnie ci, którzy fałszywe złoto i srebro robić sobie każą lub jakimkolwiek bądź sposobem oszustom w pomoc przychodzą, mają równą co do wagi ilość prawdziwego złota lub srebra na korzyść ubogich złożyć. Ci zaś, którzy wyrabiają sprzęty z fałszywych metali, pozbawionymi czci być mają. Gdyby majątek przestępcy nie wystarczał na zaspokojenie kary pieniężnej, kara ta, wedle zdania sędziów, na inną odpowiednią zamienioną być winna.

Jeśli osoby duchowne winnymi tegoż występku okazały się, wcale ich oszczędzać nie należy; owszem, duchownej godności pozbawieni, powrót do niej na zawsze im ma być wzbroniony.”

Jednakże pomimo tak surowej bulli, alchemiści wkrótce dowieść usiłowali, że sam Jakub Ossa (późniejszy papież Jan XXII) nie tylko w Awinionie stał się zwolennikiem alchemii, lecz nawet autorem rozprawy alchemicznej pod tytułem *Ars transmutatoria*.

Aż do niezbyt dawnych czasów alchemicy wystawieni byli na tysiączne prześladowania, które dopiero z wolna, z niknięciem wiary w zwodniczą naukę, ustawały.

Skoro tylko wieść rozeszła się o jakimś sławnym adeptie, wnet możni na wyścigi starali się złowić go, aby potem obietnicami lub torturą tajemnicę wymóc. Niepodobna byłoby tu wyliczyć nawet głośniejszych z tych długich i poniżających żądę i chciwość możliwych procesów. Szarlatanów, którzy odważnie i z różnym szczęściem chciwość tę na swą korzyść podsycali, najczęściej śmierć haniebna na pozłacanej szubienicy była udziałem. Tak np. kardynał Richelieu kazał, przez obrażoną podejściem dumę, powiesić niejakiego Dubois - udającego się dość długi czas przy dworze za adepta.

Sławnego swojego czasu hrabia Mamugo de Bragadino po długim zawodzie pełnym sławy, zawiodłszy nadzieje wielu książąt niemieckich, zbyt łatwowiernych, powieszony został w r. 1590 w Monachium.

Ostatnim z podobnych nieszczęśliwych szarlatanów był niejaki Don Dominico, Manuel Caetano, conte de Rugiero, Neapolitano, bawarski feldmarszałek, jenerałny dyrektor arsenałów, radca stanu, pułkownik swego pułku, komendant Monachium, pruski jenerał major etc., etc., obdarzony tytułami, honorami, w końcu r. 1709 w Berlinie, z rozkazu króla pruskiego, na pozłacanej szubienicy powieszony został. (Przyp. aut.)

***** W końcu XV i na początku XVI wieku niespodzianie poczęła się szerzyć pogłoska, jakoby istniało jakieś tajemne towarzystwo posiadające całą, tyle sławioną, mądrość Wschodu razem z jej potężnymi zastosowaniami. Towarzystwo to zwało się bractwem różowego krzyża.

Niejakiś Rosenkreutz, tak twierdzili zwolennicy bractwa, podróżował po Wschodzie w roku 1378 i tam został wtajemniczonym do nauki mędrców. Po powrocie swoim kilku miał do tajemnicy przypuścić. Objawienie tych tajemnic dopiero miało być znalezione w grobie jego r. 1604. Zawierały one sposób robienia złota, przedłużenia życia do nieskończoności i sposoby wchodzenia w związki z duchami. Tajemnice te pod pieczęcią przysięgi jedynie najgodniejszym powierzone były i ci stanowili bractwo różowego krzyża. Nie brakło wielu łatwowiernych, którzy całej tej bajeczce największą dawali wiarę.

Prawdziwym twórcą, czyli założycielem różowego krzyża, ma być niejaki Walentyn Andrea, uczonego teologa żyjącego w Wirtemberskiem na początku XVI wieku. Z pewnością nie da się nic w tej mierze powiedzieć, ponieważ wielu mniemanie to zbija, różne przywołując dowody. Niektórzy Walentina Andrea uważają tylko za odnowiciela niegdyś przez Agryppę z Nettesheim założonego tajemnego związku. Zdaje się, iż wszechstronnie ukształcony i prawy człowiek, jak się z licznych i nieraz bardzo zajmujących pism jego pokazuje, ubolewając nad poniżeniem religii, do jakiego ją czcze rozprawy scholastyczne doprowadziły, usiłował tym cokolwiek mistycznym sposobem przywrócić jej dawną siłę i czystość. Jakkolwiek bądź, to tylko jest pewna, iż związek różowego krzyża po nagłym objawieniu się za pomocą niezliczonych pism również szybko wpadł w zapomnienie i tylko długo jeszcze od szarlatanów i mniemanych adeptów do rozlicznych oszukaństw używany był. W ostatniej połowie ubiegłego stulecia na nowo rozprawić poczęto o trwaniu tajemniczych mistycznych związków, a pomiędzy innymi o iluminatach i różowym krzyżu, do czego niemało przyczyniło się zwinięcie zakonu jezuitów, ich tajne intrygi, a zarazem zjawienie się tak zwanego hrabiego Cagliostro; jednakże i to rozchwiało się wkrótce, a świat przejrzał wskroś ową mglistą budowę.

V. Adela

„.....
Czemu chcąc razem uczucia dzielić,
Nie można duszy prosto w duszę przelać,
Trzeba ją jeszcze rozdrabniać na słowa,
Które, nim serca i myśli dościgną,
W ustach więdną, na powietrzu stygną.”
M. A.

W TYLNEJ CZĘŚCI ZAMKU Wardstein było mieszkanie dworu kobiecego, odosobnione od reszty, jakoby poświęcone gynecceum. Wspólna sala wybita była szpalerowymi flamandzkimi obiciami, sufit belkowany i lamperie z dębowego drzewa, bogate i złożone gdzieniegdzie rzeźby zdobiły. Kilkanaście panien rozmaitych zajętych robotą siedziało półkolem. Jedne przędły cienką nić lnianą na kołowrotkach, inne z tychże nici, przebierając klockami, na poduszkach wyrabiały koronki; tamte jaskrawe pasma przędzy motały do wyszywania. Śród tego zajęcia, skromnych postaw i ciężkich ubiorów, zdawałoby się, iż w zakętym jakim znajdujesz się gmachu, gdzie dziewice kwitnące zdrowiem, jaśniejące pięknnością, zakute do penelejskiej pracy jęczą pod władzą złej wróżki. Tej ostatniej tu nie brakło. Wystawiała ją wybornie stara ochmistrzyni. Była to wysoka niewiasta, blada, z twarzą pomarszczoną, której duży nos i ściśnięte usta dawały wyraz surowej i niemiłej powagi. Czarny jej ubiór, biało owinięta głowa, smutno odbijały od jaskrawych strojów i figlarnych twarzyczek powierzonych jej dziewcząt. Stukając wysokimi korkami trzewików, brzęcząc kluczami u pasa, przechodziła się wzdłuż sali i ciągnąc rozmową starała się bawić panny, a raczej samą siebie.

Albowiem zewnętrzna postać tej damy, zupełnie by skwapliwego w sądzie zawieść mogła. Zwiędnięte jej serce w głębi przychylnie było jeszcze zabawom i wesołości. Najmilszą jej rozmową były wspomnienia świetniejszej młodości, a wtedy każdy jej wyraz natchnięty dawną zalotnością zdawał się przemawiać do dziewcząt.

- Patrzcie, ja piękniejszą byłam od was, wy możecie być jeszcze brzydszymi. Sama kasztelanka, Adela Wardstein, już może jednym tylko rokiem od dwudziestu lat oddzielona, była wysmukła, rumiana, z jasnym włosiem i błękitnym okiem piękności, której żywe usta, delikatna płeć, rozkoszny uśmiech i omdlałe oczy, więcej łudzą wzrok i pociągają zmysły, jak zachwycają uczucie. Adela była piękna, ale tej piękności nie ożywiała iskra owego wewnętrznego zapалу, która mniej doskonałym formom nadaje nieraz czarujący urok.

Teraz, zamyślona, podparwszy głowę na rękę, spoglądała w ciemniejący wieczór na taras zamkowy. Obok niej na krześle leżały foliały: *Amadys z Galii* i *Dekameron* Boccaccio, w którym, jak wiadomo, kilka szlachetnych dziewczyc i kilku dobrze wychowanych kawalerów opo-

wiadają sobie powieści, jakich by dziś niejedna wieśniaczka słuchać nie chciała. Lecz w owych naiwnych wiekach nie gorszyło to nikogo. Adela posiadała te książki z daru ochmistrzyni. Będąc wcześniej pozbawioną matki, wychowana jedynie od ciotek, od ochmistrzyń, pozbawioną była tchnienia wyższych, delikatniejszych uczuć, jakie tylko troskliwa matka wlać jest w stanie. Zresztą odebrała wychowanie podobne wszystkim szlachetnym pannom owych czasów. Zewnętrzna skromność, nadzwyczajna skrupulatność w pełnieniu obrządków zewnętrznej pobożności, a przy tym próżność, pobudzana czcią oddawaną kobietom z resztkami rycerskich obyczajów - oto były główne cechy tego wychowania. Duszę jego stanowiło karne posłuszeństwo dla spowiednika, dla rodziców, dla ochmistrzyni, a w końcu dla męża, którego często w dniu zaręczyn poznawano, a z którym częściej wprzód się umiano porozumieć. Jeżeli posłuszeństwo takie ani razu nie szarpnęło wędzidła - białogłowa uważaną była w połowie za świętą. Jakie ona przechodziła walki wewnętrzne, jak tam posłuszeństwo to wyglądało w sercu, o to się nikt nie pytał. I musiało to się z większą przynajmniej, jak dziś, prostotą odbywać. Córka w domu możliwym i wziętym była skarbem, lecz często skarbem, którego trudno pilnować, a trudniej się pozbyć. Ostro oznaczone szranki rozgraniczające stany trudno się dały przeskakiwać. Majątek zaś, herby, przodkowie, nie zawsze w jednym znajdowały się rodzie. Duma i pieniądze często w małżeństwach szukały połączenia - częściej, tak jak i teraz, stawały się straszliwą dla miłości skałą.

Stary baron Wardstein, znakomitej familii, jedną miał córkę, ale majątek jego zbyt był szczupłym, aby świetność chylącego się domu był w stanie utrzymać, tym mniej wesprzeć i ożywić. Z żalem patrzył na poszczerbione blanki, których odnowić nie miał sposobu; z żalem patrzył na bujne chwasty, czepiające się po basztach, i wtedy z jedyną nadzieją spoglądał na swą córkę bujno rozkwitającą, z nadzieją wydania jej bogato za męża. Z dziedziną barona graniczył hrabia Reudlin; nie wyrównywał mu wprawdzie dawnością i powagą domu, lecz przewyższał go znakomitym majątkiem. Jedynak, syn hrabiego, mocno się zajął wdziękami Adeli, a zręczny baron, podsycając zapal młodego Reudlina, pewnego w nim upatrywał zięcia. Hrabowie Reudlin wcześniej się chwycili stronnictwa reformy religijnej. Później i baron stał się protestantem, może więcej dla zbliżenia się z hrabią i widoków politycznych, jak z przekonania. Wielu bowiem zrujnowanych panów, początkowo polityczne stronnictwo w reformie upatrując, z zapalem się do niej rzucali, rojąc sposobność odzyskania lub nabycia majątków i wzbicia się do nowego znaczenia i świetności.

Wszystkim tym jednak pięknym rachubom, jak zwykle się w ludzkich dzieje sprawach, okoliczności inny nadały kierunek.

Baron Wardstein zapalonym był alchemikiem. Nie poświęcając się nauce teoretycznie, utrzymywał laboratorium i laborantów. Sam znał się ze wszystkimi alchemikami w Bazylei; mile przyjmował wszystkich wędrownych pracowników, których tylu wtedy włóczyło się po Niemczech, i - o ile mu szczupłe zasoby dozwoliły - sprawdzał recepty Lulliusza, Gebera, Walenty, a najczęściej wedle memfickiej czarodziejskiej tablicy męszał i prażył, co mu pod rękę podpadło. Baron posiadał piękną bibliotekę alchemiczną; Sędziwoj dla zbioru tych pism, poleconych sobie, starał się uzyskać wstęp do zamku Wardstein. Młody Polak jako szlachcic i jako alchemik wstęp ten łatwo uzyskał.

Sztywne i uniżone obejście się gości barona niekorzystnie odbijało od swobodnego i śmiałego postępowania Polaka. Jego postać szlachetna, bogaty strój cudzoziemski, mowa szczerza, wszystko zwracało na niego uwagę i nie dozwalało baronowi traktować go na równi z brudną

czereďą wędrownych dmucharzy. Tym bardziej, iż Sędziwoj, nie wymagając za doświadczenia zapłaty, sam często pracownią barona zasilą. Niespodziany stosunek zbliżył go jeszcze więcej. Ochmistrzyni Adeli i kobiecego dworu była rodem z Czech. Powinowactwo języka, zwłaszcza wtedy, kiedy prawie każdy ukształcony Polak umiał po czesku, przysunęła go do ochmistrzyni, a tym samym do Adeli.

Umysł tej ostatniej zawczasu opowiadaniem ochmistrzyni dobrze był o cudzoziemcu uprzedzony. Poznanie się ich i połączenie uczuć nastąpiło prawie zarazem, jednocześnie, tak jak się to często dzieje, iż zakochani później dopiero przez długi czas rozważają, przypominają sobie i domyślają się, jakim sposobem poznali się, jakim sposobem los zetknął ich serca na drodze życia.

Ochmistrzyni, bawiąc wiele lat między Niemcami, nieprzychylność ku nim uściła na długo. Zjawienie się Sędziwoja, jeśli nie ożywiło tej nieprzyjaźni, ożywiło przynajmniej przychylność dla spółplemienia. W skutku tego stara panna powstającą miłość Sędziwoja i Adeli zasilą nadzieją, może z początku przez pospolitą skłonność kojarzenia, może później, rojąc dla siebie korzystniejsze stosunki, gdyby szlachetny Michael Sendivogius połączył się ślubem z baronówną von Wardstein, co nie zdawało się tak dalece niepodobnym do wykonania. Niedługo jednak trwało omanienie. Młody hrabia Reudlin, już prawie naręczony Adeli, człowiek dziki i nieukształcony z charakteru, równie jak i zewnętrznej postaci, a przy tym dumny nad miarę, z niechęcią patrzył, że baron Sędziwoja, alchemika, laboranta, to jest człowieka z rodzaju sług, przypuszcza do swego towarzystwa, że się z nim prawie jak z równym sobie obchodzi. Młody hrabia spostrzegł, iż Adela rozmawiała z Polakiem przy ochmistrzyni. Instyktowo przewidywał w nim współzawodnika, a zapalony zazdrością żądał od ojca Adeli, aby Sędziwojowi wstępu do domu zabronił. Uwagi barona rozjątrzyły go tylko. I baron z obawy utracenia zięcia pozbył się Sędziwoja, nie bez żalu jednak i tak, jakby żałował stłuczenia pięknej jakiej retorty.

Polak dumnie tylko i z ironią odrzekł słów kilka na jakiś grzeczny pozór wyprosin. Miał w sercu pociechę, iż się obawiają jego spóźzawodnictwa, był to balsam dla próżności.

Lecz teraz dopiero ochmistrzyni i Adela, spostrzegłszy ważność lekkomyślnie zawartych stosunków, przeraziły się.

Pierwszej stanęły na myśli wszystkie nieprzebyte zawady do skojarzenia związku Adeli z Sędziwojem. Zawady różności religii, nieodpowiedniość majątku, brak znaczenia i tytułów, dla których baron gotów był wszystko poświęcić. Ale o dalsze zachowanie miłosnych stosunków już Sędziwoj nie pytał się ochmistrzyni, a ta, nie mogąc im zapobiec, tylko ukryć starała się. Adela nienawidząc swego narzeczonego, nie patrząc, co stąd wyniknie, żyjąc w terażniejszości, w niej szukała osłody przykrych myśli o dalszym swym losie.

Za ogrodem zamkowym był przepaścisty w skałach wąwóz, który za dostateczną uważano obronę, tak iż z tej strony żadnego nie było muru. Sędziwoj przebywał go i naśladując odległy śpiew wieśniaków dawał znak swej ulubionej; pomimo przeszkód, pomimo śledzenia hrabiego Reudlin, prawie co wieczór widywał Adelę.

Tego też wieczoru już gwiazdy błyszcząły, gdy w odległości ów czarujący śród echa skał, czysty góralski śpiew wiatr doniósł do okien zamkowych. Adela, siedząca w oknie, zadrżała. Ochmistrzyni z niechęcią, skłopotana, pozwoliła udać się pannom wcześniej jak zwykle na spoczynek. A wkrótce Adela wybiegła bocznymi drzwiami do ogrodu, za nią cicho, ostrożnie postępowała ochmistrzyni. - Sędziwoj witał się z ubóstwioną.

- Przecież, najdroższa! doczekałem cię znowu, więc dzień ten nie stracony, bo teraz ja żyję tylko, gdy ciebie widzę, reszta jest długim, nudnym czekaniem wieczoru!

- Kochany - rzekła Adela - ty się tak narażasz, ja drzę, aby to szczęście zbyt prędko się nie rozchwiało, Reudlin nas śledzi! Przebacz, iż w tej chwili o tym do ciebie mówię, ale serce moje przyszłość całym ciężarem tak ciężko przywala, iż mimo całą walkę, dusza tylko nie-szczęście przeczuwa!

- Zaufaj mi, Adelo, i zapomnij o tych ciemnych przecuciach. Tobie, kochane dziecię, serce drży tak lękliwie w piersiach, jak pierzchliwa łania, co w każdym stąpieniu po lesie słyszy myśliwca, chociaż ten spokojnie w domu spoczywa. Kiedy terazniejszość nasza, na co mamy bladą przyszłość badać.

- Terazniejszość - rzekła smutnie dziewczica - a ojciec mój! A to ukrywanie się?...

- Jeszcze czas, jesteś wolna, uciekajmy; czegoż masz żałować? Czy rodziny, która cię dla pieniędzy i znaczenia poświęca? Czy tych gmachów, w których tylko jesteś pierwszą niewolnicą? Gdzie co chwila drzeć musisz, aby fala wypadków nie zamieniła waszej siedziby w kupę gruzów, a was w dumnych żebraków! Uciekajmy do mojej ojczyzny. Ja dziś nie ofiaruję ci ani bogactw, zbytku, ani honorów, ale ci dam spokojność, swobodę i miłość bez granic; tam, wolni od kłopotów, żyć możemy, tam miłość raj nam otworzy!

- Najdroższy, na jakąż mnie wystawiasz próbę, nie mów tak! W złą godzinę myśl ta ci przyszła, nie wymagaj, abym słuchając cię wpadła w przepaść poniżenia i wstydu!

- Ja czytałam, mnie opowiadano, ja wierzę w to, że miłość nie jest wieczystą, że miłość wazsza prędzej niknie od naszej; a gdyby tak się stało, gdyby od ucieczki połączonych miłość nasza znikła, czy nie pomyślałbyś sam, spojrzawszy na mnie obojętnie: to jest kobieta, która opuściła ojczyznę, wyrzekła się swego nazwiska, swojej rodziny, wzgardziła religią, zdeptała wszystkie stosunki, aby dogodzić chwilowej żądzy i namiętności! - Czy nawet wtedy nie pomyślałbyś: ona, wyrzekając się własnego szczęścia, zagroziła mi do szczęścia drogę! Może byś przeklął chwilę, w której bym przystała na porzucenie tego zamku moich przodków.

- O! masz słusność! jeszcze pora przypominać mi, że związek nasz jest występkiem. Trzeba strzec się świadków; ale jeśli tak jest, to zakryj to niebo, aby przysięg naszych nie słyszało, aby gwiazdy nas nie błogosławiły, bo jutro może do nich przyłgnąć wyrzut krzywoprzysięstwa.

- Drogi! tyś zawsze dziki, gwałtowny, moją roztropność i obawę stracenia cię karcisz tak krwawo, ale zechciej pamiętać, co nas rozdziela: religia, majątek, urodzenie! - to przepaść do przebycia - a ja taka słaba!

- O, jak rozumnie! ta chłodna rozwaga honor ci czyni! Gdy mnie wszystko pali, wre, gdy całą przeszłość i przyszłość jak w szkle palącym w jedno zbijam ognisko, w tę jedną chwilę i w niej cały świat, niebo widzę! - Ty tak zimno rachujesz godziny i stosunki! - Stokroć przeklęty, kto tobie dał tyle rozsądku.

- A więc widzę teraz - rzekła Adela ze łzami - że miłość twoja nie jest miłością, ale szaleństwem, który nie pyta o przyszłość i ofiary! - Gdy tutaj przychodzę, serce drga rozkoszą, rozumiem, iż czerpnę pociechy, że ty mnie natchniesz, wynajdziesz radę do zwalczania przeszkód, a ty...

- Adelo! płaczesz? - zawołał padając jej do nóg - to znowu ja teraz błagam twej litości, twojego rozsądku! Niechaj łzy twoje nie spadają na mnie, bo pieką jak roztopione żelazo! Ty nie uważaj na te moje słowa, ale rozkazuj mi! - To szatan mój, który często mnie unosi. To ten

sam szatan, który, gdy dzieckiem byłem, na szczyty walących się ruin, na najwyższe dęby i skały wdrapywać mi się kazał; nad urwiska mnie wodził i z głębi przepaści do siebie ściągał!

- Adelo! ten szatan nie opuścił mnie teraz, tylko ty go na chwilę uspiłaś, ale on czyha zdradziecko na godzinę, w której by z swą przekłętą władzą na nowo wybuchnął. Nie odpychaj mnie od siebie, bo jestem jako Samson twymi pętami skrępowany, któremu czarownym napojem odebrano siłę i tylko u nóg twoich spoczywać pragnę!

- Słabe są, o luby - rzekła Adela - więzy ręką kobiety splecione, i nie mamże się obawiać co chwila, aby gwałtowność i nieopatrzność twoja ich nie rozerwały?

- Przysięgam ci na Boga, którego duch piersi moje zapalił, iż sam nie wyrzeknę się ciebie, pozostanę twoim niewolnikiem dopóki jedno tchnienie te twoje czarowne usta ożywiać będzie!

- Nie przysięgaj, ukochany - rzekła smutno odwracając się dziewczyna - czyż los słucha naszych przysięg?

- Tak jest - z wzrastającym zapalem rzekł Sędziwoj - los może nam być posłuszny, tylko ty zechciej, a szczęście u nóg twoich uklęknie!

- Nie, nigdy! jeżeli Bóg nas nie połączy, może nie przeżyję tej chwili, ale nie żądam, abym z wyroków Najwyższego się wyłamywała.

- Słuchaj, Adelo! Ty dotąd nie rozumiesz mnie albo nie chcesz rozumieć, i nie zapomnienia, ciemności i wyrzutów dla ciebie ja pragnę, lecz chwałę, jak nikt może jeszcze, dla mojej kochanki! - Od początku, kiedy czuć i myśleć zacząłem, nigdy nierad w terażniejszości, niespokojny, oglądałem się, jakbym oczekiwał kogoś, czułem niezmierną samotność mojej duszy. Z miernej zrodzony rodziny, wzdychałem, marzyłem, chciałem dobiec się wyższości, stanąć na pierwszym szczytliwym i w tym ogromnym szeregu liczb, które stanowią ludzkość, wyskoczyć na czoło - inną, szczęśliwszą nadać twarz światu!

- To były marzenia dziecinne!

- Wyrósłszy na młodzieńca poznałem naukę i spostrzegłem, iż ona jedna jest w stanie otworzyć mi wrota do nowego życia. Ta nauka tajemna, o której tyłu nawet wątpi, ów klucz nadziemskiej potęgi, ja poświęciłem jej życie i wszystkie jego rozkosze. Lecz im bardziej brnąłem, tym gmach cały wydawał mi się niezmierniejszym labiryntem. Ogrom jego przywalał słabą myśl moją, w tysiącach kolumn tego gmachu, którego szczyt ukryty w obłokach, błąkałem się niepewny. W pośrodku tej nauki, tej jedynej żądry mego życia, jeszcze mi kogoś brakło; serce było niespokojne, ciemno i martwo dokoła, wtedy spotkałem ciebie. Pamiętasz, raz pierwszy w waszej pracowni, ojciec twój przywiódł was dla pokazania doświadczeń; spojrziałem na ciebie i odtąd stałaś się duchem ożywiającym, światłem moich biednych myśli. Miłość natchnęła nowe życie w moją naukę - ty stałaś się celem. Odtąd razem posiadłyście moje serce. Wszędzie widziałem ciebie i tylko ciebie. Na krzepniejącej powłóce metalu zamiast gwiazdy jutrzeńki ożywnego słońca błyszczały mi twoje źrenice; nieme i suche zagadki odwiecznych rękopismów szeptały mi twoje imię - to imię, którego wdzięk czarodziejski natchnie mnie siłą geniusza i doprowadzi do zakłętej bramy...

- Boże! - rzekła dziewczyna - błogosław twoim marzeniom, lecz mimowolne niedowierzenie zapelnia moje serce. Ojciec mój poświęcił niemało złota zwodniczym badaniom. A nawet, gdybyś był bliski celu, gdybyś zdobył palmę, to mi coś wewnątrz szepce, że miłość moja pętami, a nie skrzydłem jest dla ciebie...

- Najdroższa, nie wątp na chwilę! Gdy namawiałem cię do ucieczki, to z wiarą, iż wkrótce wrócę do twego ojca, do twoich dumnych baronów, posiadając tajemnicę zamieniania pod-

łych metali na złoto, zasypię nim ich tarcze herbowe i ich przodków grobowce - a wszakże oni tego tylko pragną! A gdyby i to nie wystarczało dla chciwości, to w jego ręce złożyłbym odwieczny sekret. A wtedy on mógłby niewyczerpanym potokiem zlewać wszechmocność na całą ziemię, bo złoto w tym wieku zepsucia jest wszechmocnym! Ten walący się zamek na całe Niemcy by zajaśniał niewidzianym dotąd światłem. On by mógł legiony mocarzy utrzymywać na swoim żołdzie, łzy nędzy na śmiech wesela, dumę i siłę na jęki zgryzoty zamieniać! Wola jego złotymi strumieniami płynęłaby w żyły ludzkości, nowe dzieła, nowe cuda wywołałaby głosząc imię jego do końca wieków. - I cóż może człowiek więcej wymagać? Czymże by mógł mnie wtedy nadgrodzić? Choćby był dumniejszym od anioła strąconego, nie odmówiłby mi twojej ręki!

- Ten obraz przeraża mnie! Więcej niż kiedy zaczynam powątpiewać o tej sztuce... bo Bóg nie chciałby kłaść w ręce jednego człowieka takiej potęgi, a szatan by nie śmiał!

- A ja, powtarzam ci, Adelo, że ta sztuka jest! Przekłęcie! przekłęcie, gdzie się dotknę sercem przyjaźni, miłości, zapалу nauki - wszędzie zimny rozsądek rachuje bicie mego pulsu. Nie mamże więc wierzyć tajemnym głosom, co się w głębi mojej duszy odzywają? Czy promień Boga, co mnie ożywia, ma być kłamliwym głosem szatana? - O, nie, Adelo! Gdyby cały świat tu na kolanach przysiągł mi złudzenie, ja jeszcze wyrzeknę: jest wielka tajemnica! - Wiara nigdy nas nie myli - w co wierzymy, to jest, a gdyby nie było, to by wiara stworzyła! - A ja dziś, podwójnie szczęśliwy, poznałem mistrza tej nauki, nie opuszczę go, dopóki mnie nie wcieli do bractwa swoich uczniów.

VI. Rogosz

„Słońce, księżyc, gwiazdy, morze, ziemia, zwierzęta, pszczoły, mrówki, ślimaki, rośliny nawet, przeczuwają burze: jeden tylko człowiek nieszczęścia nie przeczuje ani nie przewidzi.”

Plinius, *lib. XVIII, Car. ult.*

PRZEZ CAŁY CZAS BAWIENIA Sędziwoja w zamkowym ogrodzie Rogosz odpoczywał i czekał w karczmie przy drodze wiodącej do Wardstein; czas ten niezmiernie długim mu się wydawał. Rozważając dziwaczne życie i postępowanie swojego ziomka wstydził się przed sobą, iż nie tylko nie umiał go naprowadzić na prostszą drogę, ale sam, z całym swoim wyrachowaniem, mimowolny brał w nich udział. Rogosz posiadał, jak to już wspomnieliśmy, charakter zimny, którego głowa rządziła sercem, a namiętności owe, te żagle ludzkiej nawy, jedynie samowładny rozsądek rozwijał, aby pędziły, dokąd wskaże.

Stronnicy dysydentów w Polsce rzucili na niego okiem i wymiarkowawszy działalny, wolny od przesądów, czyli mówiąc prościej, obojętny co do rzeczy wiary i sumienia charakter, starali się go użyć za czynnego ajenta. W istocie, Rogosz wierzył, iż rozsądek i sumieniowi milczenie nakazać potrafi. Ostrożny, nic nie przyrzekał stanowczo, a umiając korzystać już przed zobowiązaniami się, przybył tajemnie do Szwajcarii i wchodził w stosunki z rodakami, aby stanąć na czele jakich takich stronników, a z wielu znakomitymi różnowiercami, aby stronnictwu swemu poważniejszy nadać charakter; i tych, i owych łudził tym, co dopiero wypełnić zamysłał, nigdzie sam nie występując. Właśnie rozmyślał o stanie swoich zabiegów, gdy uderzyło go cicho wymówione nazwisko jednego z reformistów, którego mu szczególnie polecono. Zwrócił więc baczniejszą uwagę na rozmawiających. Trzech ich siedziało przy osobnym stole z zaciśniętymi na oczy kapeluszami, owiniętych w wielkie płaszcze, spod których długie rapiery i ostrogi wyglądające dawały poznać ludzi uzbrojonych. Ich ostrożna rozmowa, niecierpliwość w poruszeniach, czasem przekleństwo, nie były zdolne natchnąć wielkiej ufności. Ze wszystkiego mógł się Rogosz domyślać, iż oczekują kogoś.

Mimowolnie przyszło mu na myśl ostrzeżenie Kosmopolity i przypomnienie w podobnym miejscu przykre zrobiło wrażenie. Wtem jeden z biesiadników, uniesiony, rzekł głośniejsz uderzając pięścią w stół:

- Hrabia tak chce i tak być musi, wiecie, iż hrabia nigdy na próżno nic nie chciał.

- Zresztą - zawołał drugi - my nie będziemy odpowiadać.

Tętent konia przed karczmą przerwał ich dalszą rozmowę, porwali się od stołu, a przez odmykające się drzwi jakiś obcy dał znak i wszyscy wyszli. Rogosz, nie czekając dłużej, przeklinając wypadki, prawie pewny, iż jakieś nieszczęście grozi rodakowi, wyszedł, aby przynajmniej wybadać, czy może mu pomóc nie narażając siebie.

Od karczmy ciągnął się wąwóz. Po jednej i drugiej jego strome były drogi, obie wiodące do zamku. Jedną z nich sporym kłusem jechało pięciu jeźdźców o kilkadziesiąt już kroków oddalonych; tą drogą udał się Rogosz. Pośpieszał coraz bardziej i sunął się w cieniu rzuconym od chat, trzymając w jednym ręku szablę, w drugim puginał za pasem, jakby polecał się tym jedynym teraz swoim sprzymierzeńcom. Księżyc świecił w całym blasku, zamek był tylko parę staj odległy. Z jednej strony wysokie mury, wały i blaszane dachy światłem jaśniały, z drugiej ciemny wąwóz pochłaniał cały cień rzucony od wysokich wież zamku. Jeden z jeźdźców udał się do mostu i bramy zamkowej, drudzy, rozdzieleni po dwóch, udali się w przeciwne strony, objeżdżając wały, i teraz Rogosz nie wątpił, że Sędziwoj celem ich wybieżki. Z zamiarem zostania tylko świadkiem wypadku pobiegł nad brzeg wąwozu. Ten nie był bardzo szeroki, lecz przepaścisty, a z głębi jego wznoszące się wysokie jodły, chwiały cienkimi wierzchołkami u stóp stojącego na urwisku skały. Na spodzie szumiał potok, liście szeleściły w czarnej otchłani; na górze zupełna cisza, obłoki drzymały nieporuszone wśród nieba. Rzucił wzrok na przeciwną stronę wąwozu i ujrzał zbliżającego Sędziwoja, który na znak wiewał wywieszoną czapkę na szabli. Jakby już los całym zarządzał wypadkiem, Sędziwoj niebacznie, na nieszczęście swoje, a przestraszył towarzysza, zawołał donośnym głosem po łacinie:

- O kilkadziesiąt kroków od wzgórza, na którym stoisz, jest figura kamienna, od niej jedyna ścieżka wiedzie na tę stronę wąwozu...

Dźwięk tego głosu był hasłem dla czatujących przy zamku, bo chociaż słów nie dosłyszeli, ujrzeni ofiarę. Rogosz szczęśliwie trafił na ścieżkę i opuścił się na dół. Tymczasem jeźdźcy całym pędem konia, bliższymi, wiadomymi manowcami okrążyli wąwóz i przybyli prawie razem, kiedy ich Sędziwoj o kilkadziesiąt kroków od siebie ujrzał i kiedy Rogosz wychodząc z wąwozu z nim się łączył.

Pięciu konnych, ciężko uzbrojonych z podniesionymi mieczami, na dwóch pieszych z lekkimi szablami, zdawało się nawet nie przypuszczać bitwy, byłoby to proste morderstwo. Polacy społecznie, bez powierzenia sobie nawet myśli, obejrzeni się wkoło, szukając oparcia. Nad brzegiem skały przepaści ogromna jodła pochylała naprzód długie swoje konary; lecz aby do niej dopaść musieliby jeszcze skrócić i tak już bliską drogę napastnikom. Jeden z tych, na czarnym koniu, z czerwonymi piórami na wielkim kapeluszu, dopadał do drzewa, jedynego ich sprzymierzeńca.

Zguba była widoczną, gdy wtem nagle zjawił się niespodziewany obrońca. Jakby z ziemi wyrosła, przed pędzącym koniem stanęła czarna postać wpośród drogi jak posąg. Koń, przestraszony zjawiskiem, skoczył w bok, jeździec się zachwiał, koń wspiął się w tył, jakby niewidzialna zapora przed nim się rozciągnęła, poskoczył i jeździec stracił równowagę, pochylił się i upadł, a wolny rumak bujał już daleko po polu. Reszta konnych wstrzymali biegu.

- Tam są, pod drzewem! - wołał podnoszący się z ziemi rycerz - rąb! zabijaj!

Teraz dopiero Sędziwoj i Rogosz poznali w stojącym na drodze obrońcy majestatyczną postać Kosmopolity. Stał nieruchomy z założonymi na krzyż rękoma, jakby w ziemię wrosły. Twarz jego, oświecona blaskiem księżyca, zdawała się tak nieruchoma, żadnego życia nie okazująca, jakby z białego marmuru wykuta; wzrok tylko jakimś przerażającym jaśniał blaskiem.

Na powtórne wezwanie rycerza zrzuconego z konia jeźdźcy pospieszyli naprzód, a Kosmopolita tylko niskim, brzęącym jak dzwon, głosem wyrzekł: - Stój!

I konie ich spinać się i rzucać na boki poczęły, żaden niewidzialnych szranków przestąpić nie mógł. Zniecierpliwiony pieszy dowódca z okrzykiem:

- Piekło na was! - rzucił się do drzewa z podniesionym mieczem, którego cięcie spólcześnie przyjęły dwie krzywe szable gotowych do obrony Polaków. Powtórne i wściekłe razy napadającego; zaledwo im dawał czas do bronienia się. Przy nocnej porze pod gałęziami drzewa przeszkadzali sobie. Sędziwoj już był raniony i krew zalewała mu oczy, a nowy pieszy, także rzucony z konia, napastnik przybywał. Sędziwoj z ostatnim wysileniem, zagrzany bitwą, rzucił się naprzód chcąc uderzyć na Niemca, gdy silne tego cięcie trafiło w szablę Rogosza i ta brzękła złamana. Rogosz dobył sztyletu i z rozpaczą myślał się bronić do ostatniej iskry siły

- wtem raptownie okropny krzyk:

- Jezus Maria!

I przeraźliwe rzenie konia, a potem trzask łamiących się gałęzi odwróciły ich uwagę. Jednego z pozostałych jeźdźców koń uniósł w przepaść wąwozu. Walczący wstrzymali się na chwilę, dowódca odwrócił głowę, a Rogosz, korzystając z jednego mgnienia oka, rzucił się jak tygrys i kilku uderzeniami sztyletu powalił go o ziemię.

Upadł na wznak, wielki kapelusz zakrywający mu oczy opadł, a przy blasku księżyca Sędziwoj poznał bladą już i dziką twarz hrabiego Reudlina, narzeczonego Adeli.

Wszystko to trwało krótką chwilę. Sędziwoj nie przyszedł jeszcze do siebie z zadziwienia, gdy Kosmopolita chwycił go za rękę i sprowadził w dół wąwozu. Już zanadto mocny na niego wpływ wywierał, aby mu się oprzeć starał. Nieznajomymi ścieżkami prowadził go do miasta szybko postępując naprzód. Przy bramie rzekł:

- Twój przyjaciel wzięty do niewoli będzie w więzieniu w zamku Wardstein zupełnie bezpieczny. Ty myśl o sobie, on więcej i lepiej o sobie myśleć umie.

Nim młodzieniec zdążył zapytać go o wyjaśnienie dziwnych wypadków dnia tego, Kosmopolita się oddalił.

Sędziwoj, osłabiony bitwą, a więcej silnymi wrażeniami, wracając do domu wspomniął o losie Rogosza, przyszły mu na myśl jego słowa i rzekł sam do siebie:

- O rozważny i zimny człowieku, wśród twoich rozpraw i rachunków, czy przewidziałeś, co się stanie? Tamże cię to zawiodła twoja wola! Do zabójstwa i więzienia!

VII. Arminia

**„Skoro z chaosu niebo i młoda ziemia się wysnuły,
Ewa pomiędzy nimi była w połowie kwiatem; w połowie gwiazdą.”**

Zachariasz Werner

WDOWA THOLDENA ZUPEŁNIE przyszła do zdrowia, lecz córka jej, Arminia, nie odzyskiwała swego wesołego, pełnego szczeroty humoru. Matka z boleścią spoglądała w przyszłość, a odpychała od siebie przecucia. Córka, niegdyś najmniejszą myśl powierzająca matce, teraz sama sobie z nich sprawy zdać nie umiała, a jednak dwa tylko obrazy mimowolnie cisnęły jej się do pamięci: obraz Kosmopolity i Sędziwoja.

Kiedy wdowa Tholdena z wzrastającą tęsknotą chciała rozwikłać niepewne marzenia Arminii, wspomnienie Sędziwoja wywoływało rumieniec na jej bledniejące lica, serce jej żywiej uderzało, lecz znowu imię Kosmopolity w tej chwili spokoilo jej wzruszenie i napełniało jakimś trwożliwym uszanowaniem.

- Prawda jest - odpowiadała matce - Kosmopolita jest pięknym, ale on zanadto jest pięknym; ja tylko na obrazach świętych i aniołów widziałam podobnych. On wygląda młodym, a poważny jest jak starzec. On ma w oczach coś takiego, na co ja patrzeć nie śmiem. Kiedy wieczorem siadę w kąciuku modlić się i oczy zamknę, strach mnie całą przejmuję; jego twarz i te oczy stają przede mną i świecą mi się w pamięci; na próżno je chcę od siebie odegnąć, wtedy z bojaźni do ciebie, matko, uciekam.

Matka nic nie odpowiadała, w głębi duszy musiała zamykać swoje myśli. Kosmopolita jednak prawie co wieczór bywał u wdowy. Gdy przyszedł, zdawało się, jakoby inne, uroczyste jakieś tchnienie ożywiało wszystkich. Rozmowa jego dziwny wpływ wywierała. Nie dawał on rad, nauk moralnych ani maksym, ale obojętne na pozór uwagi nad ludźmi, nad wypadkami, bezpośrednio wpływały do duszy. Powieści jego o dawnych, niekiedy bardzo odległych czasach, jakby ich był świadkiem, nosiły urok żywego słowa, zupełnie różnego od opisów historycznych; a każde to słowo wywierało niezatarty wpływ na słuchających. Każdy czuł się lepszym, dumniejszym z tego, iż jest człowiekiem; jakaś błoga radość napełniała serce, zdawało się, że wszystko dokoła oddycha szlachetnością, której widowym ogniskiem był Kosmopolita.

Sędziwoj oprócz tego widział jeszcze w każdym wyrazie Kosmopolity wyższego ducha, drugie ukryte znaczenie, którego się domyślał nie mogąc zrozumieć. Pomimo wszelkich usiłowań nie mógł znaleźć sposobności wypymania go się o ostatnie wypadki, o los Adeli i Rogosza. Dręczony niespokojnością, miotany tysiącem uczuć, postanowił pewnego wieczoru koniecznie rozmówić się z nim. Późno już było, Kosmopolita nie przyszedł.

Wdowa, po udaniu się Arminii na spoczynek, śmielsza jak zwykle, jakby koniecznie potrzebująca wylania się, spólcucia, opowiadała Sędziwojowi o swoich nadziejach i troskach.

- Bodenstein - mówiła - od czasu, jak stanowczo odmówiłam mu rękę Arminii, bywa u nas tylko pod pozorem dowiadywania się o moim zdrowiu; ale szatański uśmiech tego człowieka i jego złośliwość każą mi się wszystkiego złego po nim spodziewać. On ze wszystkimi łotrami tutaj związany, a ja sama jedna czy zdołam zasłonić od jego sideł córkę i siebie?

- Dopóki Kosmopolita czuwa nad wami - rzekł Sędziwoj - nie wierzę, aby ten brudny i próżny paracelsista był wam w stanie szkodzić, aby się ośmielił...

- A jednak - dodała pośepnie wdowa - ta opieka większą mnie czasem trwogą przejmuję jak wszystkie napaści Bodensteina. Bóg tylko czuwa nad losem ludzi, święta jego wola, a serce mi szeptem, iż największym grzechem sprzeciwiania się jego woli.

- A czyjaż wola, jeżeli nie Boska, jest w stanie nadać potęgę, jaką on posiada?

- Ja, słaba niewiasta, nie umiem i nie chcę badać, jakie źródło jest jego mądrości i siły, lecz to, czego ty może nie uważałaś, oko matki dostrzegło. Ja po jego wzroku, po niektórych wyrazach dostrzegłam, iż usiłuje i w części już wywiera wpływ na moją biedną córkę. Ty nie wiesz, co to za spojrzenie. On, jak wąż, może zakłąć ofiarę, iż mu się bronić nie śmie. Ja lękam się i drzę o los Arminii. Badałam ją i jej serce niewinne, a już dwoma uczuciami rozdwojone, trwogą mnie przejęło.

- Każde jego słowo - odparł Sędziwoj oburzony - oddycha szlachetnością, wszystkie postęпки nacechowane najwyższą cnotą, każdy krok jego dąży do tego, co dobre i piękne - i takiego człowieka miałabyś się obawiać?

- Nie rozumiesz mnie - przerwała wdowa rumieniąc się - wiem, iż zamiary jego są prawe, i właśnie drzę o to, aby jej nie żądał za żonę. Odmówić bym nie mogła i nie potrafiła, bo co chcą tacy ludzie, to zawczasu wiedzą, iż się stanie; ale wtedy...

- Jak to - zawołał zdziwiony Sędziwoj - losu, którego wszystkie kobiety na ziemi zazdrościć by mogły - zostania żoną tego półboga - ty, matka, broniłabyś swej córce?

- Błogosławiłabym tej godzinie, gdybym nie była sama żoną adepty... I mój mąż, o którym tyle słyszałaś, obdarzony był nadludzką, tajemną mądrością. Ja wiem i czuję, że jakieś niewidzialne węzły łączyły go z Kosmopolitą. On, nie znając nas, zna najmniejszy szczegół naszego życia; on moje myśli, moje walki wewnętrzne zgaduje. Ja drzę, aby i córka moja nie wzięła za miłość, która się w jej duszy do innego człowieka już rodzi, innego jakiegoś uroku... Ja lękam się Kosmopolity, jak niegdyś Tholdena się lękałam...

Wtem nagle, rzucając wzrokiem dokoła, spostrzegła na stole miniaturę na złotej owalnej blaszce wystawiającą piękną młodą kobietę. Porwała ją i ciskając od siebie zawołała:

- O Boże! skąd się to tutaj dostało! to mój portret, który dałam Albertowi i jest temu rok ośmnasty.

I skazując palcem w kąt pokoju krzyknęła błędą:

- Widzisz go! Oto jest! Arminią ratuj!

Sędziwoj spojrział w miejsce wskazane, lecz nic nie spostrzegł. Wdowa upadła zemdlona w okropnych kurczach, taka była zwykła jej słabość.

Na próżno później dowiadywano się, jakim sposobem nieszczęsna miniatura do domu się dostała. Była to też sama, którą Albert Grandorf na godzinę przed swoją śmiercią przegrał w karty.

VIII Niebezpieczeństwo

**„Jest pierwiastek w duszy wyższy nad całą naturę,
ten może nas uczynić zdolnymi do wzniesienia się
i wyłamania ze zwyczajnego systemu i porządku świata.”**

Jamblichus

Z WOLNA ROZESZŁA SIĘ PO Bazylei wieść o zamordowaniu hrabiego Reudlina. Niespokojnemu Sędziwojowi pierwszy ją przyniósł przetworzoną, okraszoną dodatkami czarodziejstwa, sługa jego, Jan. Niespokojność jego zwiększyła się jeszcze, kiedy kilku z przychylnych mu rodaków przybyło do niego ostrzegając, iż zabójcy po całym mieście szukają. Nie tylko opisy zgadzały się zupełnie w najmniejszych szczegółach z powierzchownością młodego alchemika, ale - jak twierdzili - już ktoś nazwisko Sędziwoja, jako sprawcę tej zbrodni, wymienił. Lecz ten daremnie usiłował rozwikłać zdradziecki podstęp, którego się domyślał, gdy wręczono mu pismo, które konny posłaniec przywiózł. Poznał rękę Rogosza i skwapliwie czytać począł. List następujące zawierał wyrazy:

„Miłościwy przyjacielu i bracie! - Od czasu niefortunnego wydarzenia, które mnie owej nieszczęśliwej nocy potkało, pozostaję ciągle jeńcem barona Wardstein. Przemożny pan obchodzi się ze mną, Bogu dzięki niech będą, aż nadto łaskawie. Prawdę bowiem rzekłszy, nie zasłużyliśmy na pobłażanie. Ty usiłowałeś wydrzeć od godnego ojca wybranemu panu jego narzeczoną, nie miałeś usiłować skarcić cię? - Ja występne go usiłowania byłem uczestnikiem. Nie masz jednak złego, co by na dobre nie wyszło; ten traf zapewne cię uleczy z twej szalonej miłości ku córce barona i życiu twojemu inny nada kierunek. Uwięzienie to moje więcej tobie, niż mnie szkodzić może. Radziłbym ci z Helwecji co najrychlej uciekać, byś uniknął zemsty. Mnie pozostaw, niech odpokutuję za mięszanie się do sprawy, ubliżające godności rozważnego człowieka. Baron żąda za mnie pięćdziesiąt funtów złota okupu; za wielka to suma, abym mógł mieć nadzieję dostania jej. Adela, którą poznałem, jest wesoła - przyjmij słowo prawdy; ona więcej o tobie pamiętała, kiedy Reudlin żył, bo jego nienawidziła. Nie byłbyś z nią szczęśliwym, chociażby nieprzebyte zawady rozdzielające was usunąć się miały. Porobiłem tu znajomości z wielu możnymi dysydentami i umiałem zasłużyć na ich względy; pracując dla nich może uzyskam wolność. Ty zaś dla mego i swego dobra nie badaj, gdzie się znajduję. Bóg zresztą dzierży losy nasze w swym ręku. Jego świętej opiece i afektom przyjaźni polecam przeszłość i siebie.”

- O, słodki przyjacielu! - rzekł Sędziwoj sam do siebie. - Pięćdziesiąt funtów złota! Jakże przyjaźń jest tania.

Lecz i list ten tylko w większy go labirynt domysłów pogąrzył, a tymczasem coraz więcej donoszono mu wieści o śmierci hrabiego Reudlina i śledzeniu mordercy.

Wieczorem Sędziwoj samotny, zamyślony siedział w swej pracowni, kiedy Jan zadyszany z przestachem na twarzy wpadł wołając:

- Paniczu! dla Boga ratuj się, uciekaj! szukają cię; oto pachołcy miejscy idą już do tego domu, za nimi cała ćma ludu, srodze na ciebie wyrzekają; zaledwo zdołałem tu przed nimi ubiec.

Z pracowni jednak nie było żadnego osobnego wyjścia, żadnej kryjówki, a na dole słyhać już gwar natarczywego motłochu; już w okienka laboratorium uderzał blask pochodni, które nieśli. Jan wybiegł jeszcze szukać jakiego sposobu wyprowadzenia swego pana; Sędziwoj przypasał szablę i widząc, iż nie ma nadziei wymknięcia się, oczekiwał wypadku ze spokojnością, jaką tylko przeświadczenie o własnej niewinności nadaje. Już na wschodach i w sieni słyhać było szcęk żelaza o kamienne stopnie, gdy wtem na progu ukazał się Kosmopolita. Ze zwykłą powagą i spokojnością przystąpił do stołu, zagasił lampę i z wydobytej kryształowej flaszeczki prysnął jakimś płynem na portret Tholdena, a później wzięwszy za rękę Sędziwoja cofnął się z nim w głąb, w róg pracowni. Portret w ciemności zaczął jaśnieć coraz żywiej, jakby dziwne jakie światło z niego wypływało, wnet fale tego błękitnego, mdłego blasku wypełniły cały pokój. Sędziwojowi zdało się, iż ściany komnaty rozszerzają się, oddalają coraz dalej, przedmioty bledną, a on jakby z niezmiernej odległości tylko przypatrywał się przez lunetę temu, co ma nastąpić. - Czereda siepaczy dom cały przetrząsnęła i na końcu z pochodniami wstąpiła do pracowni; lecz wnet gwar ich ucichł, spoglądali po sobie, a na ich twarzach widać było jakąś wewnętrzną nagłą trwoję. Śmielsi przejrżeli wszystkie kąty pracowni, kilka razy przeszli obok Kosmopolity i Sędziwoja nie spostrzegając ich; temu ostatniemu zdawało się, iż jakaś gazowa zasłona oddziela go od szukających. W końcu też wyszli wszyscy. Najuporczywszym był Bodenstein.

- To dziwna, niepojęta! - rzekł wychodząc do któregoś z pachołków - Od dwóch godzin pilnowałem wejścia tego domu, wiem, iż nigdzie nie wyszedł.

Tu muszą być jakieś czary. Mnie strach przechodzi!

Długo jeszcze dom cały przetrząsano, wreszcie zniecierpliwieni siepacze rozeszli się. Głosy ich i brzęki orężów ucichły już po oddaleniu się w odległości, Kosmopolita puścił rękę Sędziwoja, zapalił lampę na stole i wolno wyszedł.

Młodzieniec dotykał sam siebie, nie dowierzał sobie, czy nie był pod wpływem jakiegoś snu zwodniczego, który go przeniósł na chwilę do cudownej nadziemskiej krainy, z której tak niepostrzeżenie i nagle na powrót wrócił do pracowni. Lecz chwilowy ten pobyt w krainie mgły niezatartą już w nim na wieki uczynił zmianę.

IX Zaklęcie

**„Bądź ty błogosławionym czy przeklętym duchem;
przynoś rosę nieba czy dym piekiel z sobą;**

.....

Muszę z tobą mówić!”

Hamlet Szekspira

DUSZNE SĄ TE SMĘTARZE LUDZI żyjących nazywane miastami. - Wspaniałe pałace i rzędy domów są tylko szeregiem grobowców. Tu nawet wzrok jest spętany, zimne głązy spotyka lub zimniejszą pierś człowieka kupczącego. Tu myśl jest spętana, niebo nawet dym kominowy ci zasłoni, tu musisz zapomnieć, żeś człowiekiem, a żyć jak jedno kółko maszyny bezduszne, bez woli, bo gdybyś własnym życiem się poruszył, to cały rój wyrzuci cię ze swego mrowiska, jako przestępcę praw wiszących na szyldach ulicznych. Żadna pierś czująca nie odetchnie w mieście - tam czołgaj się, jak robak, w ślady za drugimi, a jeśli chcesz skrzydła rozwinąć lub ulżyć oddechem duszy - uciekaj za miasto!

Sędziwoj mijał już bramę Bazylei, czarowny widok okolic roztaczał się przed jego oczami i gwałtem go ciągnął do siebie. Zszedł z głównej drogi i boczną ścieżką udał się w dolinę wiodącą między góry. Słońce całym blaskiem wypełniało lazurową przestrzeń, jakby złote iskry światła widocznie krążyły w promienistym eterze. Wszystkie świetne barwy i odgłosy z gajów i skał, i strumieni rozkosznie łączyły się w jeden obraz, jeden akord i biegły do duszy dzwoniąc pieśń chwały i pokoju natury. Śród doliny nad strumieniem stały rzędem ładne chaty wieśniacze, młodzieniec spostrzegł je i odwrócił się, tak życzył sam pozostać. Środkiem wąwozu szła ścieżka i gubiła się w łożysku wyschłego potoku. Wszystko było ciche, spokojne, a on z rozpaczą się patrzył dokoła, jakby burze z całej ziemi do jego się piersi teraz schroniły. I wściekle się rozśmiał, a echo i ten chrapliwy śmiech goryczy oczyszczony i dźwięczny oddało mu na powrót. Podwojonym krokiem postępował wyżej. Wysokie drzewa coraz radsze, a z rozpadlin skał zwieszały się karłowate skąpą żywionę ziemią. Jeszcze wyżej już tylko niskie napotykał krzaki, głązy nagimi świeciły grzbietami i gdzieś między kępami szmaragdowego mchu i siwych porostów rozwijały się świeże, na równinach nie znane, kwiaty. I powietrze coraz czystsze, świeższe, zachęcało go do pięcia się wyżej po ostrych skałach. W dolinie drobne zagrody ludzi i chaty traciły wszystko, co brudne i nieforemne, a z tej wysokości uroczych nabierały kształtów i kolorów. Z wolna mgła spuszczała się jak zasłona przejrzysta i otoczyła go dokoła. Później chmury zasłoniły Bazyleę i cały widok daleki. Sędziwoj spoczął, odetchnął, był sam jeden, dokoła tylko zimne kamienie. Nieznacznie wpadł w głębokie zadumanie. Cała jego przeszłość, burzliwa w głębi, a na pozór spokojna, młodość, wszystkie żądze, wszystkie chęci tańczyły dokoła, jakby obręb czarodziej-

skiego kręgu, a on, spętany, nie mógł się wydobyć na zewnątrz. Wezbrane uczuciami serce, myśl rozpalona chciały się gwałtem wydobyć z tego więzienia, a dokoła było wszystko już zasłonięte chmurami. Złożył rozpalone czoło na zimnym głazie, wspomniawszy czas niewinnej młodości, gdzie modlitwa była tarczą wszystkich cierpień, filarem upadającej duszy - i westchnął, ale teraz zimna nauka i gorące jej żądze i modlitwę spłoszyły, i łzy wysuszyły. I roz-bierając stan swój szukał koniecznie powodu i winy zewnątrz siebie, szukał, na kogo by mógł zwalić ciężar przygniatający go.

- Tak jest - myślał sam w sobie - miłość mogła uwieńczyć moją cierpliwość. W nauce nowych sił nabrałem, byłem bliski szczęścia, od chwili jak **Jego** spotkałem, całe moje jestestwo zostało wzburzone. Tak jest, on przyczyną tej walki śmiertelnej, z której wyjść muszę, bo bym upadł pod jej brzemieniem.

Po chwili podniósł głowę - gdy oto blisko, oparty o ścianę szarego granitu, stał wpatrując się w niego Kosmopolita.

To nagle i nieprzewidziane zjawienie się odrętwiło młodzieńca.

- Szukałem cię - rzekł na koniec - i nigdzie znaleźć nie mogłem. Nie dbając, iż oskarżony jestem o zabójstwo, chodziłem między tłumem, czy twego śladu nie znajdę i oto teraz, kiedyś rozumiał, iż nikt mnie nie spotka, zjawiasz się?

- Wiedziałem o tym i dlatego przyszedłem, teraz mogę odejść.

- O, teraz nie opuścisz mnie. Czy jesteś zwodzicielem, czy prawdziwym mędrcem, bodajbyś był duchem, nie człowiekiem, musisz ze mną mówić!

- Wszystko, co byś mi miał powiedzieć - odrzekł Kosmopolita - wiem zawczasu; za całą odpowiedź usłuchaj rady, którą ci podam. Póki pora, unikaj mnie. Palmy, o które się kusisz, zbyt wysoko rosną i te lodowce byś przebył, a nie ochłodziłyby twój tchnienie. Na ich szczytach chciałbyś się pięć jeszcze wyżej, dokąd tylko orle skrzydła doniosą - i nigdzie byś nie znalazł pokoju. Póki pora, wróć się, zapomnij o mnie.

- Więc nazwę cię oszustem, a całą twoją władzę i mądrość występkiem! Bo jeśli wiesz istotnie, jakiś wpływ wywarł na mnie i teraz unikasz, to chyba chciałeś mnie uwieść lub władza twoja dalej nie sięga!

- Wiem - odrzekł spokojnie Kosmopolita - iż ten duch niespokojny, prędzej czy później sam by się w tobie obudził. Moje spojrzenie rozdzieliło tylko w tobie te iskry, które wyobrażnia z większą szkodą później by rozpalila. Ty zewnątrz siebie szukasz winy, a lękasz się spuścić w głąb własnej duszy i tam samotnie stoczyć walkę i uśmierzyć zło, które cię niepokoi...

- Póki ciebie nie widziałem - rzekł Sędziwoj - póty jeszcze mogłem mieć nadzieję zostania szczęśliwym; miłość i nauka starczyły mi za świat. - Po co żeś mnie przekonał, że jest świat wyższy, o którym wątpiłem; stanąłeś na drodze mej miłości, zniweczyłeś urok nauki, jakem ją dawniej pojmował... Dlaczegoż broniłeś mnie od niebezpieczeństw w ten sposób, iż obrona ta zgubniejszą mi się stała od samego niebezpieczeństwa...

- Odwieczne prawa, którym podlegam - rzekł Kosmopolita - nakazują nam rozciągać opiekę nad wszystkimi, których tylko dotknie się koło naszej potężnej nauki. Tysiące biednych szpecarzy pozostawiamy spokojnie, bo ciasny zakres ich poziomego życia i myśli nie stanie się ani dla nich katuszą, ani dla nas nadzieją zyskania wyznawcy. - Lecz są inni, szczęśliwi, których dusza stać się może znaczącą cyfrą w ludzkości lub nauce, byłoby występkiem opuszczać ich. Gdybyś się zrozumiał, mógłbyś do ich liczby należeć, stąd moja nad tobą opieka. Ale ty chciałbyś, aby kilku wyrazami wcielić cię do tajemnic, które spodziewasz się, że po-

siadam, aby potem, jak szaleniec, rozrucać złoto i ogień - żelazo i zbrodnie, i klejnoty z jednego rogu obfitości. - Chciałbyś małpować Opatrzność i wedle widzimi się mniemałbyś Boską naśladować władzę, a ty byś ją tylko znieważał! Rozumiałbyś, że mędrzec może być potężnym nie rozumiejąc odwiecznego porządku!

- Więc jeśli widzisz, że błędę, ukaż mi powrót na prawą drogę! Czyż dla mnie nie ma nadziei szczęścia? Ukaż mi, jakbym mógł się stać godnym mądrości i zdobyć ją. Przecież i ty jesteś człowiekiem, i tyś się mędrce nie rodził.

- Mądrość i szczęście! - rzekł posepnie Kosmopolita. - Mniemasz, iż oboje w jednej piersi śmiertelnej obrać mogą mieszkanie! - Ty zapomnij o mądrości, a idź drogą do szczęścia, możesz być jeszcze szczęśliwym. Porzuć nauki, o które się kusisz, a które ci tylko hańbę lub zgryzotę zniszczonego na próżno żywota dać mogą! I o mnie zapomnij, jak o śnie rannym...

- Nie! to niepodobna! piąć się tak wysoko i znowu wracać, rozpoczynać drogę - ha! lepiej zginać w pół kresu.

Już teraz całe moje jestestwo jest jak spętane, i leżę w tych więzach, a setnymi żyłami dusza moja krwawi się, jako ramię owego olbrzyma przykutego do skały, który chciał ludzkości darować boski promień! - a przecież nie jestem zbrodniarzem! a przecież kochać ludzkość i cnotę, kochać sławę - jest już cnotą! - I ja mam teraz całe to życie przesiąknięte tylu czczymi nadziejami rzucić od siebie, jak zużyte odzienie? Mam patrzeć, jak najgorętsze życzenia moje pękają jako bańki na wodzie? - O, nigdy! chociażbym miał szatanowi duszę na wieczność zaprzedać!

- Nierozważny! jakby człowiek był mocen cokolwiek zaprzedać na wieczność, a tym bardziej to, co nie jest jego własnością! Jakby władza, o którą się ubiegasz, z nieczystego źródła mogła pochodzić. Ale przypatrz się tylko swoim myślom, a ujrzysz z przestachem, że ta twoja żądza sławy, miłość ludzkości, nie cnotą, lecz są egoizmem w innej formie - a ty z nimi, jak wodę z ogniem, chcesz łączyć miłość nauki?

- A więc pokaż mi, jak mam zapomnieć czym byłem i do czego dążyłem?

- Jedno słowo - rzekł Kosmopolita - najmniejszego z uczeni naszych może tę skałę, na której stojemy, wtrącić w przepaść; może na tę śmiejącą się dolinę sprowadzić jęki rozpaczy i zagłady; ale żadna mądrość mistrza nie jest w stanie powiedzieć temu, co raz było w pamięci: - nie bądź! - Nie może wyrzec do jednej myśli człowieka: - Powróć do nicości, z której powstała.

- Jeśli tak jest - rzekł Sędziwoj powstając - to w imię potężnych praw, którym podlegasz, wyzywam cię, mistrzu! przyjmij mnie za ucznia!

- Stój! - przerwał nagle Kosmopolita - nie zmierzyłeś otchłani i, szalony, rzucasz się w jej głębię! Jeszcze nie znasz strasznych warunków, które byś, jak jarzmo, włożyć musiał na swoją duszę. Wiedz, iż nauka nie cierpi żadnego innego spółzawodnika. Musiałbyś się zrzec i miłości, i przyjaźni, i ojczyzny, i ludzkości, musiałbyś się oddać tylko jednej zimnej nauce. Każde przeniewierzenie się karze ona srogo. Miłość nauki jest jak ów płomień piorunowy, którego niczym ugasić nie można, dopóki nie strawi swej pastwy i nie uleci tam, skąd wzięł początek - do nieba! - A czyż ty zbadałeś własne serce? - Czy wywołałeś w uczuciu obraz Adeli? - Czyś sobie przypomniawszy przysięgi, któreś jej uczynił?

Ona jeszcze cię może kochać. W miłości i ziemskim szczęściu możesz być szczęśliwym! Wróć się, całą moją umiejętnością doprowadzę cię do portu.

- Nie! - rzekł Sędziwoj - już za późno! Przysięgi, którym jej czynił, natchnęła żądza serca, a nie myśl, myśl, która jedna ma prawo rozkazywać człowiekowi! Ja czyniłem nie wiedząc; poznaję teraz, iż miłość nauki pochłonęła wszelkie inne przywiązanie.

- Boś nie znał prawdziwej miłości - rzekł mędrzec - boś w kochance nawet siebie tylko kochał.

- Jeślim jej nie znał - zawołał Sędziwoj - tom ją przeczuwał. Miłość, drobne, bezsilne uczucie, które jednego serca zapełnić nie zdoła, gdy mądrością mogę pełnymi rękoma rozsiewać szczęście dokoła, pozioma miłość ukochanej istoty obronić nie umie, gdy ty mądrością nad obcymi czuwałeś! Ja z rozkoszą rzekam się miłości.

- Nie dosyć na rzeczeniu się, gdybyś nawet rzekł się i ojczyzny, rodziny, przyjaciół, kochanki, nazwiska nawet własnego i sławy, gdybyś, nieznany, poprzysiągł wszystkie godziny twego życia poświęcić tylko samej nauce i tak byś jeszcze nie był pewnym korony mistrza, bo na progu przybytku, do którego chcesz się dostać, spoczywa straszliwy wróg rodu ludzkiego, naprzód musisz jego zwalczyć - taka walka jest okropna! Nie dość na to odwagi chwilowej, jakiej potrzeba, aby zostać bohaterem, ale trzeba natężonej, ciągłej mocy i nieustraszenia, o jakim ci się nie śniło. Kto się potworowi oprzeć nie zdoła, staje się jego słuzalcem, staje się nieszczęśliwym nad znaczenie tego wyrazu; miriady lat nie oczyszczony poza grobem, nim dostąpi palmy pokoju, którą prostym życiem i cnotą dostępuje najnieumiejętniejszy wieśniak. Tysiące silnych, potężnych i wytrwałych stawało z nim do walki, a jakże niewielu wyszło z tryumfem!

- Adela jeszcze nie zginęła dla ciebie, jeśli ją ukochasz prawdziwie, ja wesprę cię, odzyskasz ją. Jeśli nie tę, to ci dam inny kwiat pełny miłości, o jakiej nie masz pojęcia; półanioła, półdziewicę, z nią niebo ziemi mieć możesz. W kraju twoim tysiące dróg otwartych dla dusz działalnych, namiętnych jak twoja. Prędszej, niż się spodziewasz, dojdiesz znaczenia, wieczystej sławy, będziesz przytomny braciom, a to więcej znaczy niż kamień mędrców. Majątek twój i tak zniszczony, reszty nie rzucaj niebacznie na szalę losu; nie idąc za radami Rogosza możesz być błogosławionym i błogosławić tę chwilę, w której posłuchałeś tej rady.

- Już za późno - odparł młody alchemik.

- Więc ciągle rozumiesz - mówił Kosmopolita - że mądrość jest szczęściem?

- Nie - rzekł Sędziwoj - ale jest więcej jak szczęście!

- Abyś pojął prawa tego świata, którego chcesz zostać mieszkańcem, abyś je rozważył, zostawiam ci trzy dni do namysłu - przepędź je jedynie zajęty tym, że albo masz wyrzec się na zawsze ziemi, albo się stać jej ozdobą.

W czasie tej rozmowy chmury zbijały się w gęstą masę, ciemny kir okrywał niebo; w dolinach cisza, a nad głowami szumiał głucho wicher. Sędziwoj milczał, a w duszy jego powstało dopiero powątpiewanie i obawa, jakby o stratę zbawienia; dreszcz go przejął, zdawało mu się, że cień matki woła na niego: - Synu, wróć się na prawą drogę!

Czarna już była połowa nieba, żaden orzeł się nie ukazywał, naprzeciw nich chmura oparła się na szczycie skały, szczyt ten nie tak odległy, jak się przy jasnym niebie wydawał, ciemność rozproszyła złudzenie. Szelest dał się słyszeć, na przeciwną skałę przeleciał kruk.

- Patrz - rzekł Kosmopolita - wszystko w naturze, co wypełnia swoje powołanie, jest mądre, potrzebne i konieczne. - Jeżeli ten obłok spadnie, wszystko, co żyje na tym wzgórzcu zatoni i kruk zawczasu opuszcza gniazdo, aby dla żarłocznych swoich piskląt zbierał zdobycz. To nocny rozbójnik i ciemność go wypędza, znajduje śpiące istoty, wydziobuje im oczy i porzuca, a potem wietrzy ścierwo. A jednak kruk idzie za wyższym popędem: wypełnia tu obowiązki, których by nikt inny nie pełnił - czyści te dzicze. Teraz jest w niepewności, czarne skrzydła jego ledwo znać na czarnym obłoku - poleciał wzdłuż skalistej ściany. Jedyna żyjąca isto-

ta nie śmie tu siedzieć w gnieździe. Patrz, jak ten obłok pracuje, spada i wznosi się, jakby płuca z ciężkością oddychającego człowieka; oto opada, opada coraz niżej.

Wtem błysk z hukiem piorunu! Wierzchołek skały strącony i kruk zabity upadł pod nogi wędrowców. Niebo otworzyło się, rozdarta zasłona w płomieniach, cała natura wzburzona, w zamieszaniu.

- I któż by teraz - rzekł Kosmopolita grzmiącym głosem - powątpiewał o strasznej wielkości Tego, który się na wiatrach przechodzi i burzom rozkazuje! Któż by mógł powątpiewać, iż w kołczanie jego są strzały, które, nim najśmielsze oko szerokość włosa przemierzy, potrafią tysiąc światów zburzyć i tysiąc nowych wywieść z nicości! I któż by śmiał powątpiewać, iż jedyna władza od niego pochodzi!

Sędziwoj odkrył głowę, wznosił oczy do góry i od lat wielu pierwszy raz do duszy jego zawiatała modlitwa.

X. Przepowiednia

**„Com tylko mógł, czyniłem, aby ich odwrócić od tego zamiaru,
nie chcieli mi wierzyć. Wtedy mimowolnie pokazywałem im drogę;
lecz zaręczam ci, wszyscy upadli, żaden z nich się nie wrócił.
Jeżeli ci życie mile, i ty wróc się.”**
Tysiąc nocy i jedna

TRZECI NAZNACZONY DZIEŃ zbliżał się już do końca, kiedy Sędziwoj, oparty o mur na przeciwnej stronie ulicy swojego mieszkania, zamyślony wpatrywał się w potworne kamienne ozdoby domu Tholdena; zaczynał dopiero rozumieć symboliczne ich znaczenie. Jakkolwiek stałe było jego postanowienie, wzdrygał się z trwogą, gdy spoglądał na wejście do tego domu otoczone splotami straszego potworu, na wyraz okropny, szyderyczy jego paszczy i na bolesne spojrzenie ofiar jego.

Kosmopolita trącił go po ramieniu.

- Zbadałem - rzekł Polak - całe swoje jestestwo i jedyna żądza moja jest żyć dla prawdy. Zrzekam się ziemi i wszystkich jej powabów.

- A więc niech się pełni twój los, jak przepisano. - W kościele Panny Marii jest grób Tholdena, na jego piersiach znajdziesz kamień mędrców, obok pargamin, zawierający tajemnice przygotowania go.* Rękopismu jednak nie zrozumiesz, dopóki stosownym życiem umysł twój nie przebedzie lat próby. Kamień mędrców rozpuszczony nadaje nieśmiertelność; kto jednak nie przygotuje ciała stosownym życiem, kto **wroga rodu** nie zwalczy, dla tego taki napój jest gwałtowną trucizną. A teraz żegnam cię - po spełnionych latach próby zobaczymy się znowu.

- Jeżeli w czasie przedsięwzięcia bojaźń ogarnie cię i zechcesz zaniechać zamiaru, tym oto płynem potrzebuj sobie skronie, resztę wylej, a widma znikną - drugi raz nie będziesz mógł wstępować w dziedzinę niewidzialnych.

- Gdy wędrówkę rozpoczniesz, ja będę już daleko. A teraz widzę oto nad Bazyleą unosi się anioł zniszczenia, krew i morowa zaraza! A ten wspaniały kościół, w którym ostatni grób poruszysz, ogień wybawi od zniewagi.

Mistrz oddalił się, a młodzieniec po chwili dumania rozbił kryształową flaszeczkę o kamienne rzeźby domu. Ostatni sposób ratunku i cofnięcia się sam od siebie oddalał.

- Jeśli odwaga ma mnie opuścić - wyrzekł - to lepiej upaść, jak się wracać!

* Nierzadkie było podanie pomiędzy alchemikami, iż wielu adeptów, tajemnicę swoją unosząc do grobu, razem ze sobą chować kazali najdroższe rękopisma, a czasem i kamień mędrców.

Jedną z głośniejszych tego rodzaju powiastek rozpuścił na dworze cesarza Rudolfa II niejaki, okrzyczany w swoim czasie, Edward Kelley. Właściwie on zwał się Talbot, urodził się w Worchester r. 1555 i żył jako notariusz w Lankaster, gdzie przekonany [tj. zasądzony w procesie sądowym] o fałszowanie papierów publicznych z oberżniętymi uszami wypędzony został.

W czasie swoich wędrówek (opowiada sam) wstąpił śród gór do karczmy, gdzie znalazł przypadkiem stary, na pergaminie pisany, rękopism. Na pierwszy rzut oka poznał, iż rękopism ten jest traktatem alchemicznym. Na zapytanie skąd by ów pergamin pochodził, gospodarz odpowiedział mu, iż znaleziony został w grobowcu pewnego biskupa. Miało być bowiem w tamtych stronach podanie, iż biskup ów, nadzwyczajnie bogaty, skarby swoje wraz ze sobą pochować kazał. Dopóki Anglia była katolicka, szanowała grób świętego, po ukończonej jednak reformacji, za królowej Elżbiety, przetrząsnięto kościoły, klasztory i pomiędzy innymi grób owego biskupa; zamiast jednak spodziewanych skarbów, znaleziono rękopism i dwie kule ze słoniowej kości. Wszystko to gospodarz karczmy za parę kielichów rzeźwiącego napoju nabył z łatwością. Skoro kule kościane rozbił, znalazł w jednej czerwony, w drugiej biały proszek. Kelley, nie wydając się wcale z wiadomością rzeczy, nabywa od nieświadomego gospodarza rękopism i proszki za lichą bardzo cenę i dopiero na dworze cesarza Rudolfa objawił swą tajemnicę, że posiada kamień mędrców i sposób jego przygotowania. W istocie niejedni zaręcza, między tymi ludźmi znający się na rzeczy i sumienni świadkowie, iż widzieli, jak uszlachetniał mercuriusz, ołów i cynę na złoto je zamieniając.

XI. Grób

**„Słońce się obróci w ciemności a księżyc w krew, przedtem
nim przyjdzie dzień Pański wielki i jawny.”**

Dzieje Apostol. św. Łukasza, r. II, w. 20

NIESZPORY SIĘ SKOŃCZYŁY, garstka wiernych opuszczała podwoje kościoła Panny Marii, brzask wieczorny zaledwo już z wysokich okien oświecał posadzkę. Kiedy wszyscy wychodzili, Sędziwoj wszedł do świątyni. Służący, starzec kościelny, gasił światła i powoli opóźnione stare kobiety mrużąc ostatnie pacierze i żegnając się chwiejącym krokiem oddalały się. Na środku kościoła wzniesiony był katafalk okryty czarnym suknem, na którym błyszczał srebrzem wyszyty krzyż. Dokoła migwały lampy mdłym światłem. Młodzieniec ukrył się przy ołtarzu pomiędzy kamiennymi posągami grobów i usiadł na stopniu. Czas włókł się powoli, on rachował minuty, jakby dla niego się przedłużały. Wreszcie skrzywienie wielkich drzwi na zardzewiałych zawiasach i obrót klucza w potężnym zamku, zapadanie ryglów, które zakrystian zamykał, wstrząsnęło go, jakby na wieczność od świata się oddzielał. Lecz w kościele rozpoczynało się nowe nabożeństwo. Leżący zmarły był księdzem. Zapalono w głowach trumny dwie świece, drzwi do chórów z prezbiterium otworzyły się i cicho wstępowały dwa szeregi księży w białych komżach, przesuwali się jak cienie, przyklękali przed wielkim ołtarzem i w milczeniu po dwóch stronach zajęli miejsca. Światła świec, które w ręku trzymali, wydawały się z daleka jak rzędy isker unoszących się w powietrzu i zaledwo oświecających ich blade i surowe twarze. Jeden rozpoczął modlitwę i monotonne przytłumione głosy odpowiadały lub powtarzały za nim modły za umarłych. Każdy głos zdawał się do drugiego podobny, jakby tu wszystkie różnice ginęły. I mimo tych głosów cicho było w świątyni, mimo światła ciemno było.

W ołtarzu bocznym naprzeciw trumny zawieszony wielki obraz wystawiał walkę Archaniola Michała z duchem ciemności. Młodzieniec natężył wzrok, by dojrzeć rysy obrazu, i zdało mu się, iż światło z niego wychodzi. - Obraz skądś znany przypomniał mu się; i tak pamięć nie zawodziła go, podobny obrazek dała mu matka, gdy po raz pierwszy dom rodzinny opuszczał. Taż sama poważna postać Archaniola i taż sama wściekła, szydercza twarz szatana; wszystkie myśli jego, kiedy był jeszcze pobożnym dzieckiem, przeciągały mu przez pamięć, jak stado ptaków odlatujących na zawsze, pozostał po nich żal, jak zgryzota po spełnionej zbrodni. - Matka jego może patrzy w tej chwili na swego ukochanego, jak gotuje się świętokradzką rękę podnieść na groby, może by ze łzami w oczach błagała go.

I obawiał się spojrzeć obok siebie, aby bladej twarzy umierającej matki nie ujrzeć.

Dwa razy chciał się przeżegnać i nie śmiał, zdawało mu się, iż zdrętwiałą ręką poruszyć nie może, wtedy zimny dreszcz przebiegł go przez wszystkie nerwy.

Na obrazie anioł się poruszył i szatan zwinął się pod Jego mieczem. Młodzieniec przywołał całą męską odwagę do duszy, otrząsł się, ale szum dokoła niego nie ustawał. Koło grobowców rozpoczynały się jakieś ciche szepty i śmiechy, tylko ponure mruczenie modłów za umarłego je głuszyło. Wreszcie wszystko się uciszyło, księża znowu po jednym szeregiem wychodzili, przyklękali przed wielkim ołtarzem i niknęli w czarnych drzwiach kurytarza. Ciemność zupełna ogarnęła kościół, a w uszach młodzieńca brzmiały tylko słowa modlitwy:

- *Miserere mei, Domine!*

Sędziwoj powstał, wziął lampę stojącą na trumnie i poszedł szukać grobu Tholdena. Na filarach, na ścianach pełno było kamieni grobowych. Zaczął czytać napisy na marmurach, na ścianie, ale przeglądając Jeden za drugim zdawało mu się, że coraz nowe wyrastają ze ściany, przesuwiają się, przemieniają, a nigdzie nie ma szukanego. Rozpoczyna od początku pracę. Światło lampy błękitnego nabrało blasku i tak skąpy krąg oświetlało, iż ledwo mógł dojrzeć napisy; zmordowany, im więcej natężał wzrok i uwagę, tym większa, niezliczona liczba grobowców prawie w oczach jego powstawała. Wtem w wysokim oknie zabrzęczały szyby i zimny wiatr zaświszczał po kościele; spojrzął w górę i wysoko pod samym oknem ujrzął wmurowany portret alchemika na złoczonej blasze. Spoglądał na niego żywymi błyszczącymi oczyma, w tejże chwili na wieży zegar zaczął bić północ i lampa wypadła z rąk Sędziwoja. U nóg jego rozbiła się, a w rozlanym oleju knot palił się na kamieniu, na tymże kamieniu wyryty był napis:

Hic jacet Anathemius Tholden...

Światło szerokie koło zatoczyło i zgasło, dźwięk ostatni na wieży ucichł.

Zniżył się, i w ciemności macając pracował nad uniesieniem grobowego głazu. Po rogach były brązowe kółka, uchwycił za jedno, wyteżył siły, kamień poruszył się, podniósł go i odwalił na bok.

Łoskot sprawiony uderzeniem kamiennej posadzki nie rozchwiał się i ginał, jak inne w powietrzu, lecz rósł, powiększał się, każda kolumna odbijała go w straszliwym echu, od sklepień huczał i brzmiał, aż organy zatrzęsły się i wszystkie dźwiękami odezwały, a cały kościół drgał, jakby ze wszystkich zakątów grzmot głuchy powstawał. Na ołtarzach lampy i świece same się zaczynały zapalać, powoli potoki krwistego mdłego światła wypełniły budowę. Posągi na grobach, na ołtarzach i figury na obrazach zaczęły się poruszać, wstawać i schodzić ze swoich stanowisk. Z rycerzy i kapłanów, biskupów, kawałkami zaczęły opadać zbroje, infuly i ornaty, każdy kawał upadał na podłogę i wnet wyrastały mu cienkie nogi, paszcza, i skaćkać zaczynał zamieniony w obrzydłe ropuchy, pająki, jaszczurki okropnych kształtów. Skoro ubiór z całego posąga opadł, nagi szkielet posuwał się na środek kościoła w pośrodku rojących się gadów. I coraz więcej postaci wyrastało z ziemi, od sklepienia spoza kolumn toczyły się, płynęły wółprzezroczyście, jak żywe strumienie, we wszystkie kierunki. - Nieznane, nieziemskie głosy, w tysiącnych tonach odzywały się ze wszystkich stron.

Wszystko nabierało życia i poruszało się. Litery na kamieniach i brązie poruszały się, zeskakiwały i zamieniały w odrażające owady, kapitele od kolumn, gzymsy kształciły się w okropne twarze otwierające paszcze; same kolumny poruszać się zaczynały, jak olbrzymie węże oddychające, i gdzie tylko rzucił okiem, widział jakieś piekielne życie, straszny wyraz - a wszystkie oczy, miliony spojrzeń były w niego jednego utkwione, groziło mu pochłonięciem go.

Potarł czoło i spojrzął dokoła siebie, jedyne tylko miejsce wolne od potopu poczwara był otwarty grób i po kilku wschodach szybko do niego wskoczył. Trumna spoczywała przed nim;

począł jej wieko odrywać. Z góry niewidzialne głosy raz z daleka, to znów nad uszami jego wołały:

- To ty zabiłeś Reudlina, porzuciłeś kochankę, ją zamęczyli. Rogosz końmi rozszarpany, piękny miłośniku ludzkości!
- Sprzedaj mi duszę, wywiode cię z domu nędzy, dostaniesz kamień mędrców!
- Synu, módl się, słowo wieczyste, z niego moc wszelka, sofizma lekkie jest...
- Ha! ha! nie chcesz, wierzę w złoto wszechmogące...
- Mając złoto możesz mieć Adele, a nie być jej mężem, rozumiesz mnie?
- Pieczęć mądrości na stworzeniu, nie odrywaj jej, materia nie zabije ducha...
- Los koziołki wywraca..., pocałuj mnie!
- Krew za krew, jesteś dłużny, Michale, twój stróż mnie dręczy, ty wyzwolisz mnie, ja pozwolę ci być zbrodniarzem, a mając złoto ujdzie ci bezkarnie!
- Zrzekłeś się Adeli, a przysięgi? patrz, ja, gwiazda, świadczę przeciw tobie!
- Przebaczenia! Nie będziesz zbawiony!
- Nie pytaj się, wszyscy będą zbawieni!
- Tysiąc wieków leży na tajemnicy; każdy wiek ze stu lat, a rok z trzystu dni, a na każdej godzinie leży tyleż centnarów - ha! ha! czy piersi twoje dość mocne, wytrzymają ciężar?
- Lepsza siła, niżeli mądrość i mąż mocny niż roztropny - oto kamień mędrców.
- Wiesz receptę na kamień mędrców? Oto wydrzej z żyjącej twojej kochanki serce i drgające spal na popiół.
- *Miserere mei, Domine!*

Wtem wieko trumny pękło, odrzucił je, złota puszka błysnęła i spleśniały pergamin leżał na wierzchu. W trumnie spoczywały zwłoki Tholdena. Oczy miał otwarte, iskrzące się, rzędem białych zębów szyderczo się uśmiechał. Sędziwoj zabrał zdobycz i wyszedł z grobu.

Z obrazu spod Michała Archanioła spuszczał się po ścianie wróg rodu jak strumień lawy. Ciało jego przedłużało się, sunęło i powiększało jak olbrzymi, potworny wąż. Coraz bardziej wyciągał się, jakby końca nie miał; otaczał filary, opasywał grobowce i wił się w nieskończonych splotach. Pierścienie jego ciała czołgając się rozszerzały, wśród zeber całe jego wnętrze było przejrzyste. Cały wypełniony był tłumem ludzi, którzy rozpychali ciało potworu. Dzieci i starcy, silni mężowie i kobiety w okropnych konwulsjach szaleństwa wściekłości i bólu z pokaleczonymi członkami, połamani, gryźli się nawzajem, a potwór wił się dokoła i gruchotał tych, których połknął. Gdy spomiędzy jego zeber, jak z klatki, wymknęła się i wypadła która ofiara na posadzkę, wnet rój gadów obrzydliwych rzucał się i szarpał ją w sztuki. Paszcza olbrzymiego węża, od sklepienia kościoła aż do ziemi otwarta, miała w sobie coś ludzkozwierzęcego, gęsty dym zasłaniał mu twarz, tylko oczy piekielnym ogniem iskrzyły się jak dwa gorejące piece. Raz rzucił wzrok na młodzieńca i ten zdrętwiał, stanął, czuł, iż własna wola go odstaąpiła i poruszyć się nie może.

W przysionku kościoła, obok wielkich drzwi, odmalowane były z jednej strony piekło, z drugiej czyściec. Płomienie tych obrazów rozogniły się i malowane postaci zaczęły odgrywać okropne dramata zbrodni, jakich sama myśl dreszczem przejmuje. A w pośrodku tych strasznych obrazów odnawiały się i przypominały Sędziwojowi wszystkie jego myśli złe, jakie tylko kiedykolwiek przeszły mu przez pamięć. Kiedy był dzieckiem jeszcze, śniło mu się raz, że przypadkiem zabił człowieka; i tu malowane postaci cały ten sen zamieniły w rzeczywistość, i nieopisana trwoga ucisnęła serce młodego alchemika.

A wszystkie nieprzeliczone roje potworów, gadów, duchów i szkieletów razem poruszyły się żywiej i całą ścianą zaczęły się zbliżać ku niemu. Od sklepień spuszczały się olbrzymie pająki, jakby na linach, i nogi jak maszty wyciągały i wolno lazły ku niemu.

Wróg rodu poruszył wszystkie sploty swego ciała i krwistą dymem ziejącą głowę spuszczał nad niego.

Odezwał się, a wszystkie wyrazy potworu tchnęły niewypowiedzianym szyderstwem i złościwością. - Zachęcał go do najokropniejszych zbrodni, jakby łaskotanie każdy wyraz przebiegał żyły młodzieńca, jak wola ciała, tak wola rozumu go opuszczała.

- Ty, kochanku mój, oddaj mi kamień mędrców albo chodź w moje uściski...

Już czuł gorący oddech potworu, już paszczy ręką by dosięgnął, a oczu nawet zamknąć nie mógł. Wtem wróg rodu jeszcze raz odezwał się do niego - ale tych okropnych wyrazów niepodobna by powtórzyć - młodzieniec oddałby nie tylko kamień mędrców, lecz życie, aby ich nigdy nie był słyszał...

* * *

Sędziwoj obudził się i wszystko, co widział, co czuł, zdało mu się okropnym snem. Jeszcze tylko w całym ciele pozostało jakieś osłabienie. Spojrzał dokoła siebie, spoczywał obok filaru w tymże kościele. Rano było, organy odezwały się, brzmiały głęboko, poważnie i jak echo odbijały się w piersiach młodzieńca. Z tym brzmieniem wstępowało w niego nowe życie, nowa moc. Łagodne słupy światła wpadały przez kolorowe szyby wysokich okien na posadzkę i oświecały kręgami jasności smętne i poważne marmurowe posągi leżące na grobowcach; zdawało się, że śpią łagodnie. Aniołki z obrazów uśmiechały się niewinnie. Przez otwarte drzwi świątyni widział jasny błękit nieba i ludzi krzątających się około życia. Nabożeństwo zwabiało coraz nowych przychodniów. Mimowolna łza zrosiła jego oczy, świeży powiew ranku go doleciał, odetchnął rozkosznie pełnymi piersiami.

Miałżeby to być sen? - Ale nie! obok niego na ziemi leżał pergaminowy rękopis, w rękę trzymał złotą puszkę. Pełen niespodzianej radości podnosząc się zawołał w sobie:

- Nadziejo! mam cię w ręku! szczęście, tyś teraz moim niewolnikiem.

CZEŚĆ II. LATA PRÓBY

„Jest w człowieku wielka żądza, która się nigdy nie spełnia; nie ma ona nazwiska i szuka sobie przedmiotu, ale wszystko, co nazwiesz, i wszystkie rozkosze nie zaspokoją jej.”

Jean Paul

I. Spełnienie

**„Aladyn wsiadł na konia. Wyjechawszy z rodzicielskiego domu,
do którego już wrócić nie miał, udał się do swojego pałacu.”**

Tysiąc nocy i jedna

NIEDALEKO BRAM BAZYLEI, NA pochyłości wzgórza, obok drogi, stała nędzna lepianka z kuźnią zamieszkała przez ubogiego kowala, u tego szukał Sędziwoj schronienia. Obawa o własne bezpieczeństwo pierwszy raz go napastowała. Czuł, iż z pierwszą pomyślnością rozpoczęło się pierwsze prześladowanie. Tajemnie więc opuścił mieszkanie i w tym niepozornym schronieniu oczekiwał wiernego Jana, który był jeszcze w mieście zajęty przygotowaniami do podróży. Był to jakiś dzień świąteczny, kowal z swoim synem opuścił chatę. Sędziwoj sam jeden pozostał. Już południe dawno minęło, a służący nie wracał. Z niespokojnością spoglądał na miasto prawie u stóp jego rozwinięte, w którym przeżył tyle cierpień, w którym dziwaczny los jego życia rozstrzygnął się na zawsze. Wodząc błędny wzrok po szczytach budowli ujrzał dach domu, pod którym tyle godzin nadziei razem z dymem uleciało, wspominał na dziwaczne kamienne ozdoby i jak elektryczne wstrząśnienie przebiegło go: przypomniał sobie postać potwora i skwapliwie odwrócił oczy. Opodal błyszczały wysokie szczyty zamku Wardstein i znowu imię kochanki prawie jak wyrzut sumienia odezwało mu się w sercu; a tak każde rzucenie oka przywoływało jeden ustęp z jego przeszłości i wszystkie łączyły się w jeden obraz, jak sen, w którego rzeczywistość nie wierzylibyśmy, gdyby nas wewnętrzny mimowolny głos o jego bytności nie przekonywał.

Dawniej rozumiał, iż wraz z posiadaniem kamienia mędrców, dysharmonia przeszłości umilknie; bo i cóż może zrównać rozkoszy geniuszu, kiedy się wydobędzie z długiej ciemności i mroku, aby używał światła, sławy i życia - tych owoców swojej potęgi! - Ale młodzieniec czuł aż nadto dobrze, że obca władza nadała mu udział w tajemnicy, a duchowa jej wartość jeszcze od niego daleko. Teraz nowe, nieznane w jego sercu żądze budziły się, jakaś gorączka opanowała go - jak ostrogi rumaka powściąganego, chciałby jak najprędzej zacząć używać swej władzy.

Badał sam siebie czego by naprzód żądał, czego by brakło do szczęścia; wszystkie życzenia lat młodzieńczych przechodził w pamięci z kolei, i na każde zniechęcone serce odpowiadało mu bolesnym: - Nie! - A przy samym wstępie do nowego życia stał się dla siebie zagadką. Nad miastem gęste, ciemne chmury opuszczały się coraz niżej. Przez szczyby ich czasami pasmo białych promion słońca jak przez okno padnie ukośnie i posępnie oświeci dolinę, a znów nienawistna ciemność ją zasłoni. Z daleka długie pasy deszczu jak szarfy spuszczały się z obłoków na ziemię, a świeży chłodny wiatr czasami nagle i krótko przebiegł przez duszące powietrze. Odległy grzmot coraz bliższy i częstszy w głuchym echu gór się rozchodził

i gęste wężykowe błyskawice przelatały ponad miastem, a szczyty wież i krzyże iskrzyły się na czarnym tle nieba.

Ten widok zachwycił młodzieńca. Dusza jego mimowolnie radowała się nadchodzącej burzy: zgodniejsza była z tonami jego myśli.

Oddychał pełno i głęboko, cisza nastąpiła zupełna i wszystkie chmury i kłęby nawałnicy połączyły się w jeden czarny całun.

Nagle rażąca jasność rozdarła niebo i jaskrawym połyskiem oblała gmachy miasta, w tejże chwili okropny grzmot się rozległ - piorun uderzył w wieżę kościoła Panny Marii! - Świetna iskra jak wąż obwinęła się spiralnie około wieży i znikła w kolumnadzie u jej podstawy. Za ledwo łoskot gromu rozchwiały się w ciężkim powietrzu, gdy z otworów wieży i dachu kościoła wyleciała niezliczona ilość wron, kruków i kawek; czarną chmarą zaćmiła na chwilę ciemne obłoki i rozpierzchła się nad miastem roznosząc złowrogie wrzaski.

Nad zegarem, u spodu wieży, zajaśniało światło, jakby latarni: był to początek zniszczenia, hasło, że się przyjął piorun. Świeży wiatr powiał od zachodu, a wnet też i okna w wieży rozświecały się. Poważne dzwony, wolno, grobowym głosem zaczęły uderzać znak trwogi. Lud jak z poruszonego mrowiska garnał się zewsząd na plac, lecz musiał zostać tylko bezczynnym świadkiem pożaru; za wysoko się rozpoczął, aby go można było gasić.

Piramida wieży poczęła wyrzucać wszystkimi otworami długie wytryski płomienia, które z każdą chwilą powiększały się, rosły wśród widomych bałwanów dymu. Hałas powiększał się i tłumy ludu cisnęły do bram miasta. Burza na niebie, jakby dopełniała swego przeznaczenia, uchodziła daleko, kręte słupy dymu wiatr wysoko za nią pędził i grzmot coraz głuchszym się stawał. Płomienie obwinęły i zakryły wieżę, tylko krzyż czernił się na niej. Ogień i wrzawa w przerażający sposób się zwiększały, aż po jakimś czasie wysoka wieża ognista zachwiała się i padła jak długa na szczyt dachu kościelnego, zawisła w powietrzu parę sekund i runęła z okropnym trzaskiem na domy, a druzgocąc dachy rozniosła wokoło pożar. Z podstawy jej uwolnione od zawady płomienie buchnęły z nową gwałtownością; ogień objął cały kościół. Galerie pękały, kolumny i arkady zawały się i oko błądziło w ich śladach ognistych. Sklepienia świątyni huczały pod ognistym gradem cegieł, kamieni i belek, jak odgłos armat wśród szturmów. Poddmuchnięte czasem płomienie wionęły wśród czarnego dymu do niesłychanej wysokości, jako krwawy sztandar zniszczenia, to znów tysiącznych kolorów ogniste języki wichrami rozczochrane igrały we wszystkie strony.

W niemym podziwieniu, zapomniawszy o sobie, spokojnie spoglądał młodzieniec na tę burzę pożaru. Wieczór już nadszedł, na ciemnym niebie jaskrawo odbijały się płomienie i fantastyczne ich kształty daleko rozświecały załomy skały i zieloną dolinę błękitną powłóczyły barwą. A raz płomień podobny był do palczastej dłoni szatana rozsiewającego w powietrzu iskry, jak miliony zaklętego złota, to znów dym podobny był do węża wijącego się w górę, rosnącego do nadzwyczajnej wielkości, a nad nim jakby ulatywała postać Tholdena - i Sędziwoj szybko odwrócił oczy od pożaru w drugą stronę. Tam jasny księżyc srebrzystą siatką powłóczył nurty Renu i cichym światłem błogosławił dachy skromnych chat wieśniaczych i krzyże stojące obok drogi otaczał wieńcami białych promieni. I dwa te światła, pożaru i gwiazd, były jakoby władze dwóch przeciwnych sobie pierwiastków: złego i dobrego; a zarazem ten pożar przemawiał do duszy jego, jakby był symbolem zniszczenia marzeń o szczęściu, z tej pory, dla której jedynie warto żyć na ziemi - młodości!

Przypomniał sobie przepowiednię Kosmopolity o zniszczeniu świątyni i tajemna jakaś trwoga wstrząsała nim. Obejrzał się dokoła, nierad był sam zostawać ze swymi myślami.

Wkrótce dał się słyszeć tętent konia i Jan, wiodąc za sobą drugiego konia luźnego, przybiegł przed kuźnię; Sędziwoj z radością go powitał.

- Ach, panie! - zawołał służący, patrząc na miasto i zegnając się - Bogu najwyższemu niech będzie chwała; w szczęśliwą godzinę przyszła panu chęć porzucenia tego bezbożnego gniazda! Uciekajmy czym prędzej, póki czas, lichy nie śpi, a to przestroga Najwyższego!

- Cóż się stało? - zapytał Sędziwoj.

- Teraz pana śledzą, szukają na drodze. Co się stało, abo pan nie wie? Rano, jak tylko pan kazał mnie uwiadomić, co mam robić i gdzie znaleźć, pobiegłem na miasto kupić konie. Patrz no pan, ten białonóżka, jak na niemiecką szkapę, niezłe bydlatko...

- Cóż dalej - przerwał niecierpliwie Sędziwoj.

- Otóż, kupiwszy konie od Niemca, przybiegam do domu, pana nie ma! Gospodyni wyszła i ja też poszedłem na rynek. Kupa ludu, jak zwyczajnie we święto, gromadziła się, ale coś między nimi szły szeptki i namowy nie tak, jak zwyczajnie. Na niebie zabierało się na srogą nawałnicę, i dobrze. Wystaw sobie pan, kupa bezbożnych namawiała się, jakoby przeszkodzić nabożeństwu i wszcząć zamieszanie. Ja przed kościołem tylko się pomodliłem Panu Bogu. Gdy wtem oto pioruny zaczęły bić i w czasie nabożeństwa grom uderzył w kościół. Tłok, wrzawa, Boże ratuj! - podwoje lud, cisnąc się, zawarł, co tam naginęło! Wiadomo to; od piorunu ognia niczym nie ugasi, a tu się tak zajęło by siarka. Przypadam ja do domu, a tu lament, hałas. Wie panicz - ta chorowita gospodyni nasza, matka tej ładnej dziewczyny, spała się w kościele. Abo to ona jedna, teraz tam biedacy liczą, szukają się, każda rodzina ma kogoś, co nie dostaje!

- Jak to! - zawołał Sędziwoj - Beata Tholden zginęła?

- Tak, panie, jak tu żyw stoję, i nie jedna ona. Mnóstwo ludzi się podusiło i popaliło w tym natłoku, a wielu wieża, jak spadła, zabiła. Panie Boże, ciężkie twoje dopuszczenie!

- A córka jej, Arminia?

- Ta jakoś przypadkiem, widno już takie było przeznaczenie, onego dnia nie była w kościele i ocalała. Ale i ona się zaraz, Bóg wie, kaj podziiała i to jakby cud. Bo tylko com ją widział, cała była we łzach, ledwim ją utrzymał, aby niebożatko w taki tumult i ulewę nie biegło, miałem sam wyjść, aż tu nadszedł ten wysoki cudzoziemiec, ten ksiązę, czy co to za jeden, co to ludzie o nim szeptali że... już mnie pan rozumie, że ma związki ze złym - otóż on kazał mi iść precz. Pobiegłem ja do kościoła, ale gdzież tam, ani przystąpić! Tylośwa patrzali, jak ołów i miedź roztopione jak strumienie ogniste spadały; głównie i cegły daleko pękały, jakby je złe duchy rzucały! A w środku ryk, hałas! druga Sodoma! - Ja też wspomniałem na pana, przeżegnałem się i powracam do domu po konie, bo już wszystko było gotowe. Już mam wyjeżdżać, gdy oto banda hultajów chwyta mnie, zsadza ze szkapy; dowodził nimi ten brudny lekarz, pijanica, co to bywał na dole.

- A gdzie twój pan? - krzyczeli, kłęli. - Przysięgam, że nie wiem. - Wiesz - wołali - uciekł z córką alchemika! - Dopiero wtedy spostrzegłem, że cały dom był zrabowany, spustoszony, Jak po wojnie. Oni zaprowadzili mnie do znajomej sobie karczmy, drzwi zaryglowali i przetrząsnęli całego. Jedni grozili rapierami, inni gotowali się do bicia i męczenia. Już czekałem śmierci, bo w owej okropnej chwili, kiedy przez okna tylko łuna pożaru i okrzyki ludu dochodziły mnie, toby nikt nie posłyszał wołania ani pospieszył na ratunek. Polecam się więc Panu Jezusowi, bolejąc tylko, iż tak pana samego zostawię, gdy oto ten wysoki, ten ksiązę, co go to pan znasz, spadł jak z nieba. Nie widziałem nawet którędy ani jak wszedł; tylko raz

zawołał na nich, a rozstąpili się i struchleli, jakby z kamienia. Byłem więcej umarły jak żywy, dlatego nie pamiętam, jak on mnie wyprowadził, dość że mnie wywiódł przed karczmę, gdzie były przywiązane oba konie. Tego mi też trzeba było. Noc już zaszła, co tchu więc czwałem za miasto pędziłem; gdyby nie ten pożar, co świecił, może bym i nie trafił. Chwała Bogu, że już się skończyło, a teraz uciekajmy.

- Czy nic ci ten twój wybawca nie mówił?

- Ale, ale, byłbym zahaczył, kazał mi panu powiedzieć, aby pan swego przyjaciela wykupił, ale ja nie wiem, co to znaczy. A teraz, panie, gdzie pojedziemy? Ja bym myślał, pozwoli pan słudze radzić, jedźmy do Krakowa - oto w tę stronę, panie, droga do domu.

- Przywiąż teraz konie - przerwał Sędziwoj - i rozpal węgle w kuźni, potem tę oto sztabę rozpalisz w ognisku do czerwoności, tylko żwawo!

- Jak to - zawołał przerażony Jan - panicz teraz wraca do alchemiki, teraz w tej porze? Wszelki duch Pana Boga chwali! Panie, Bóg nas ukarze!

- Rób, co ci powiedziałem - odrzekł surowo Sędziwoj - albo idź ode mnie.

- Niech pan wybaczy - odparł smutnie służący, a nakładając węgle, mówił dalej, jakby sam do siebie. - W przeszłym tygodniu odebraliśmy ostatnie nowiny z domu. Dłużnicy zabrali kopalnię w Kromołowie. Ostał się jedyny już dom po rodzicu w Krakowie i ten wynajęty; powróciwszy trza będzie pod cudzym dachem szukać schronienia. Ha! ciężko odpowie przed Panem Bogiem, kto tam wynalazł to grzebanie i dmuchanie w ogniu. - A ocierając rękawem łzy poprawił żaru.

- Już sztaba rozpalona aż biała. Sędziwoj otworzył złotą puszkę, dostał z niej kawał czerwonej szklistej masy, odłupał ziarnko mniejsze od maku, zawinał je w żółty wosk i puścił na żelazną sztabę tak, iż w podłuż niej spłynęło; i na nowo pokryć żarem i miechem dać kazał. Służący, oswojony z doświadczeniami alchemicznymi, próbę jednak tego rodzaju pierwszy raz widział, pilnie się więc przypatrywał, lecz gdy żywszy ogień błysnął i oświecił twarz Sędziwoja puszczać rękę miecha zawołał:

- Jezus Maria! jakże się pan zmienił! Ledwo oczom moim wierzę! Jakby pan przez tę jedną noc złego ducha oglądał!

Wstrząsnął się młodzieniec na to wspomnienie i cofnął w ciemniejszy głąb kuźni. W istocie, ta jedna noc na twarzy jego wywarła większy, choć różny, wpływ od kilku lat życia.

Kwitnąca, rumiana cera, ów niepewny wyraz otwartej młodości, znikły zupełnie. Wszystkie jego rysy nabrały wyraźnych, stałych konturów; on sam czuł, iż tajemny wpływ, jakiemu uległ, wybił swoje piętno na całym jego jestestwie.

- Panie! - odezwał się znowu służący podgarniając pryskające węgle - jak to ogień szumi i pryska, jakie to kolory dokoła żelaza igrają, jakby kawałki tęczy skakały nad żarem.

- Już czas, wyciągnij sztabę i zahartuj wodą.

Jan wydobył czerwone żelazo, ostudził je, a przypatrując się bliżej, obrócił na drugą stronę, uderzył o kowadło, doświadczył dźwięku, ciężaru i zdziwiony nie dowierzając sam sobie krzyknął:

- To złoto!

Sędziwoj zamyślony patrzył przed siebie, a Jan porównywał ciężar sztaby, zginał ją, próbował pilnikiem, aż wreszcie zawołał:

- Jakem żyw, czyste złoto! I nie mogąc wstrzymać dłużej wzruszenia śmiał się, a miał łzy w oczach, skakał, ścisnął kolana swego pana, ukląkł przed nim i z wyrazem najczulszej radości mówił:

- Ha! więc się już skończyły twoje trudy, panie! Teraz już będziesz szczęśliwy! Paniczu kochany, teraz już powrócisz do ojczyzny! Boże miłosierny, czy ja się spodziewałem kiedy te cuda oglądać! Przebaczone, panie, ale ja nigdy nie wierzył tak szczerze, aby to być mogło - ale teraz widzę! nie śpię! tak jest, to złoto! czyste złoto, albośmy go to mało przetopili! - Tak, teraz już będziesz szczęśliwy! O, wielka w panu dusza! Wynałazłeś to, nad czym tysiące marnie traci głowę i żywot.

Ale radosne uniesienia przywiązanego sługi nie rozpędzało ponurej chmury z czoła młodzieńca, uśmiechnął się z goryczą i w końcu rzekł posepnie:

- Więc i ty, biedny Janie, wierzysz, że złoto jest szczęściem! A tak od najpierwszych do ostatnich szczebli rodu ludzkiego wszędzie złoto tymże samym talizmanem częściej nazwy bez istnienia! I kiedyż dosięgnę stopnia władzy, abym je mógł zniszczyć.

II. Mistrz

„Tajemnicza ścieżka, wznosząc się wiedzie mnie w górę!”

Szyller

NA PIĘKNEJ RÓWNIŃCE POŚRÓD gór otoczonej wokoło potężnymi skałami, był z jednej strony otwór jak wielka brama do ogromnej jaskini.

Przed tym wejściem na posłaniu z mchu leżała śpiąca Arminia. Kosmopolita z założonymi rękami stojąc obok wpatrywał się w jej rysy. Wielka i czysta tarcza księżyca wolno wysuwała się spoza skał i bladym blaskiem napełniała dolinę. Niebo wydawało się jak niezmierny ocean, równe, spokojne, ledwo tu i owdzie drżała drobna gwiazdka. Powietrze było nieruchome i ciche, najmniejszy szmer żadnego ruchu nie objawiał. Naokoło skały i tłum rozproszonych kamieni ostry cień rzucały, wydając się niby pomnikami grobowymi; a jakby na tej dolinie wiecznego milczenia i ludzie przerywać ciszy nie zdołali, tych dwoje nieruchomych niczym nie zdradzało życia.

Na zawsze jednostajnym, niezmiennie pogodnym czole Kosmopolity dziś pierwszy raz od lat tyłu osiadła troska i oczy jego przyćmiła. Arminia niebiańską niewinnością twarzy podobna była do anioła, którego by grom śmierci wśród modlitwy uderzył i odebrał życie nie śmiejąc zetrzeć wyrazu świętego uniesienia. Mędrzec wreszcie odwrócił oczy od czarującego widoku, przykrył śpiącą przejrzystą zasłoną i wolno wszedł do jaskini.

W głębi wytryskał źródł i okrążając jedną ścianę płynął cicho i niknął wśród ciemnych i coraz zniżających się skał. Kosmopolita wyjął dziwnego kształtu przejrzystą flaszkę, odetkał ją i wylał płyn w niej zawarty w źródł. W tej chwili buchnął płomień błękitny i w ognistych językach to unosił się w powietrzu i wybiegał aż za ściany skał na zewnątrz, to znów płynąc na wodzie ginał razem ze strumieniem w ciemnych otworach w głębi góry. Od fantastycznych szczytów i załamania ścian niezmiernej jaskini uderzyła rażąca jasność.

Mędrzec zrzucił wielki płaszcz, którym był obwinięty, odkrył głowę, wystąpił bardziej na środek, zwykłym spokojnym głosem wyrzekł kilka wyrazów w nieznanym języku, który pewnie po raz pierwszy odbił się od skał w tym samotnym schronieniu.

Żyjące światło rozszerzało się, jakby ściany jaskini cofały się, oddalały do nieskończoności; jasny krąg księżyca wylewał ze swych brzegów, roztopiał się, iż w końcu wszystko zostało pochłonięte jednym światłym obszarem. Na tym tle magicznym niezmiernego obrazu, w odległości, a jednak wyraźnie, wystąpiły rozmaite, rozrzucone postacie. Kilkadziesiąt ich tylko było; jedni w wieku podeszłym nad księgami, w pracowniach lub wzrokiem ku gwiazdom zwróconym badali ostatnie tajemnice stworzenia; inni wśród dzikiej natury samą potęgą myśli toczyli nieskończoną rozmowę z duchem świata; najmniejsza liczba młodych badała tylko cuda życia ludzkiego; lecz wszystkie te twarze, różne od zwykłych ludzi, jaśniały niezatar-

tym wyrazem nieśmiertelności. Na to jedno wezwanie współbrata i wyznawcy wszyscy wśród katakumb tebańskich, znad brzegów Gangesu, ruin Rzymu, niedostępnych pustyń Arabii i wiecznych lodów Północy, wszyscy zwrócili spojrzenie ku widzącemu. Fale światła otaczającego mędrców drgały i harmonijne, łagodne dźwięki rozpraszały w przestrzeni. - Mistrz, ze smutniejszą jak zwykle twarzą, na której już ziemskie zaczynały się odbijać uczucia, odezwał się:

- Posłuszny świętym prawom bractwa naszego miałem być niewidzialnym opiekunem niešťczęśliwego, upadłego brata naszego Tholdena! Przekleństwo, które on rzucił, oburza mnie. To przekleństwo niewidzialne unosi się nad ich głową, w córce jego rodzi już początek skłonności ku człowiekowi bezsilnemu, który dla sławy i władzy gotów do poświęcenia myśli. Ten sam wyzwiał mnie w imieniu potężnych praw, bym został jego mistrzem; a tak obowiązek nie dozwolił mi unikać przeznaczenia, które przewidywałem.

- Ja kocham Arminią, ale błąd ten w łonie swoim rodzi razem pociechę, bo nigdy szlachetniejszy utwór nie wyszedł z rąk Twórcy.

- Nie wolno nam roztrząsać okropnych przyczyn, dla których została sierotą, lecz obowiązkiem moim jest nadać jej opiekę. Jej serce jest jak klejnot najczystszej wody; rozsądna wola mistrza może je ukształcić w cudowną istotę. Ludzie patrzą i słuchają jej nie domyślając się, że w tej czarownej postaci nieoceniony skarb się zawiera.

- Ze strony ziemskiej grozi jej niebezpieczeństwo. Człowiek-lekarz, szatańska parodia tego świętego powołania, rzucił na nią oko i gotów na wszystko. Przerażony, iż tam muszę szukać rady gdzie bym rozkazywać powinien, zbadałem moją duszę! - Niebaczny, zatrzymując wieczną młodość chciałem bezkarnie doświadczać rozkoszy ludzkich uczuć i zarazem panować nad nimi! - A z łona niezniszczonej młodości rozkwitł zatruty kwiat miłości ziemskiej! - I oto sztuka moja zaczyna mnie opuszczać. Czuję, iż rdza cielesna niszczy powoli moją władzę. Sprawdziłem surowe prawo, które nam zabrania widzieć przyszłości istot, dla których doświadczamy ułomności ludzkich chęci: miłości, zazdrości i nienawiści! - Przyszłość jej, równie jak moja, jest mi zakryta. Wpóśród cieni i potworów krążących w przestrzeni, widzę jak przez mgłę niešťczęścia zgromadzające się nad ich głowami, lecz wszystko dokoła mnie jest ciemne.

- I odwieczni potomkowie światła, od waszej potężnej myśli szukam jedynej rady, tam gdzie serce moje zaczyna się mięszać.

- **Wróg rodu** cieszy się dziś ze stanu twojego umysłu! Współbracie! Już dalekie te czasy, w których rada nasza prawie codziennie otwierała ci pole niezmięzonej nauki. Przywiązanie do gliny znaczny postęp w twoim sercu zrobiło! Zwierciadło duszy nie może razem odbijać nieba i ziemi. - Słuchając harmonijnych sfer nieskończoności drobne tony wesołych śpiewów ludzi muszą ucichnąć! Widziemy! stoisz nad przepaścią, cofnij się! - Wspomnij na warunek naszego bytu i nie mięszaj się do praw ludzkich; to skała, o którą tyłu naszych braci się rozbiło. Wspomnij na los Tholdena! I on wzgardził życiem, gdy się raz do prochu przywiązał; i on poświęcił życie pełne chwały i spokoju, szczęścia niepojętego dla niewcielonych.

- Tak! - rzekł **widzący** - ale on obrał późny wiek na stały stopień swego bytu. I po cóż, szalony, chciał wzbudzić miłość, gdzie tylko wdzięczność dla starca mogła roztleć? Darował się ziemskim uczuciom niepodzielnie; stracił władzę, a wróg rodu natchnął go brudną namiętnością i ze skalanych ust wyrzucając przekleństwo padł sam jego ofiarą. Jeżeli i ze mną ma się spełnić cała miara, jeżeli oczy moje zawarte zostaną dla niewidzialnych - więc oczyszczę siebie wcielając ją do bractwa! Zachowałem ją dla swego życia, przygotuję do naszego bytu.

- O rozkoszna myśli! Oczyszczyć ją z wszelkich żądz ziemskich i w najczystszej miłości znowu przebywać wieki; znowu potężny i czysty słuchając nieskończonych harmonii sfer, nie związany żadną ziemską chęcią, bo i ona należałaby do jednego akordu, żyć na ziemi, a za życia należeć do nieba.

- Synu upadający! - brzmiał głos braci światła - ty spodziewasz się istotę żyjącą tylko sercem, czuciem, zawieść tam, dokąd jedynie najczystsza, najpotężniejsza myśl doprowadzić może? Przypomnij, z tylu wezwanych wielu przebyło straszliwe próby, ilu ich upadło, a jak byli silni! I ty, zaślepiony, córkę ziemi, kobietę, spodziewasz się doprowadzić tam, dokąd najsilniejsi dojść nie mogli i zbłąkani ginęli! Czy rozumiesz, że oczy kobiety zdołają wytrzymać jedno spojrzenie **straszne**? Ona nigdy cię nie zrozumie. Jej cel, jej przeznaczenie - ten ziemski zakres; a jeżeli kiedy wzbije się wyżej, to jej nie ujdzie bezkarnie. Jak gołąb, uciekając od szpon jastrzębia, wzleci pod obłoki - to później sił mu nie staje i spada, roztrąca się o ziemię, z której za wysoko na swe skrzydło się wzniósł.

- Inne są warunki bytu zwyczajnych ludzi, szczęśliwi razem po ziemi idą do grobu i poza grobem dusze ich złączone przedłużają hymn miłości. Ale ty - synu wieków, w zwyczajnej miłości nie szukaj trwałego uczucia. Jej życie jest poruszeniem jednej fali w porównaniu z niezmiernym oceanem naszego bytu! - Życie człowieka jest jedną chwilą wobec wieków naszego istnienia. I masz-że dla niej poświęcać to, co przez tysiące lat trwale i dumnie wśród burz i walk dzieci ziemskich zatrzymywałaś? - Czyż spodziewasz się, że dusza jej odbije twoje uczucia? cień ich tylko, gdzie u ciebie światło! - Jej dusza, choćby najczystsza, nie pojmie cię. Ty - mąż - staniesz jej za świat; jej syn będzie więcej jak ty i świat. Ona się przestraszy i z trwogą odepchnie inne uczucia, które by poświęcenia tamtych wymagały dla objęcia miłością całego ogromu. Ona nie pojmie, że to są zawady odwiecznego szczęścia na ziemi! A ty, przeglądając się w jej duszy mimowolnie, niepostrzeżenie znizysz się i upadniesz! A jeśli byś wytrwał - współbracie wieków, w co się obróci ta miłość, gdy prochem już będzie forma, co ją wzbudziła - będzie wspomnieniem jednej chwili, chwili słabości!...

- Ach! - rzekł **widzący** - ludzie nieraz dla jednego wspomnienia poświęcają wieczność.

- Ale ty! - dodał głos - pamiętaj, iż kto chce żyć wiecznie, musi nie ziemskie prowadzić życie! Wasze dusze nawet się po śmierci nie rozumieją.

- Przyszłości ucznia twego nie badaj; gorąca chęć przewycięża wiele, może nawet duszę przetworzyć! Jego przyszłości nie badaj przez wzgląd na siebie.

- Posiadanie kamienia mędrców wyrwie go z jednej części ciężkich więzów, które kępują ludzkość; niedostatek już nie zdoła go zaczepić; praca stanie mu się niepotrzebna; będzie się uczył rozkazywać, a ma się uczyć panować nad sobą. - Po długich dopiero próbach przyszłość okaże, czy potrafi znieść eliksir wiecznego życia. - Jeśli jest pospolity, na próżno będzie chciał ludziom stawić czoło; potok go porwie i popłynie z innymi. Chcąc się im oprzeć musi nabrać sił wyższych, co oni zowią nadludzkich. Niech wzrok natęży, aby widział, co dla nich zakryte, aby słyszał co dla nich głuche - rozkazywał, gdzie oni błagają lub giną. A czując te siły mimo ich nienawiść, ich pochwały, ich zdrady, myśli i zdania stać będzie jako wyniosły dąb, z którego liśćmi burza igra na kształt powiewu wiosny! - I ty takim bytem chcesz wzgardzić...

Światło poczynęło blednąć, postaci coraz niewyraźniejsze niknęły jedne po drugich, gdy Kosmopolita, wyciągając ręce na dwie strony, zawołał żywo:

- Nieśmiertelność albo miłość!... - Lecz ciemno i cicho zrobiło się dokoła, a na twarzy jego od pięciu tysięcy lat po raz pierwszy odbiła się głęboka boleść.

III. Jeniec

„A Fillida tymczasem, gdy ją statek smuci,
Dla nowego Tyrsysa dawnego porzuci.”

Krasicki

WYSOKIE KOMNATY ZAMKU Wardstein przestały być cichymi i opuszczonymi. Nie minęło parę tygodni od przybycia Rogosza, a nowe życie, nowy ruch zapełnił zamek. Na dziedzińcach i w zbrojowni porządkowano i czyszczono broń, próbowano koni, strzelb i pancery; rozwieszano chorągwie, zgoła czyniono widoczne przygotowania do wojennej wyprawy. Rozmaici ludzie krzatali się, zjeżdżali, coraz nowi przybywali, a wszystkich ożywiało jakieś niezwykle zajęcie. W pokojach barona kilku pisarzy zajętych było jedynie przetrząsaniem papierów i odpisywaniem na liczne pisma, jakie nadsyłało. Jednym słowem zamek Wardstein stał się ogniskiem, punktem zebrania jakiejś wyprawy, której cel jeszcze pospolitym mieszkańcom zamku nie był wiadomy. Cały zaś ten ruch spowodował Rogosz; z nim baron nocy trawił na rozmowach i naradach przy zamkniętych drzwiach; on najwięcej listów wysyłał i na odebrane odpisywał. Ciekawszy jeszcze wieści mógłby od dworskich dowiedzieć się, iż baron tak wielce poważał Rogosza, tak do niego się przywiązał, iż miał zamiar oddać mu jedyną swoją córkę w małżeństwo.

W czasie chłodnej i ulewnej nocy do bramy zamkowej przyjechał Jan Bodowski, służący Sędziwoja. Na wieży na zwykły znak odezwała się trąbka i po chwili wpuszczono go na dziedzińiec. Pacholek odzwierny po krótkiej z nim rozmowie udał się do barona i oświadczył, że obcy jakiś człowiek, z mowy znać cudzoziemiec, prosi o posłuchanie. Widać, iż pilną jakąś ma sprawę, ponieważ ofiarowanego sobie wedle zwyczaju posiłku przyjąć nie chciał, dopóki by przed panem zamku z danego sobie nie sprawił się polecenia, baron rozkazał go wpuścić. Za kilka chwil stanął w komnacie znużony, przesiąknięty deszczem Jan. Przy drzwiach odezwał się:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na co zdziwiony, a po części zmieszany tym poselstwem, Rogosz:

- Na wiek wieków - odparł. Posłaniec wyjął ze skórzanej torby dwa listy i złożył je na stole, a potem powoli obejrzał się wokoło.

Na wielkim kuminie huczał duży płomień, przed nim stał stół zarzucony papierami, dzban i parę srebrnych pucharów, obok stołu w rozłożystych krzesłach spoczywali Rogosz i baron. Posłaniec, spoglądając na wszystko, rzekł na koniec:

- Chwała Bogu, że pan tak wygodnie odpoczywa i wczasuje, a nam powiadali, że w ciężkiej niewoli.

Wacław ścisnął usta, nic nie odrzekł, lecz list rozwinięty skwapliwie czytać począł. Pismo było w tych słowach:

„Miłościwy przyjacielu i doradco!

Fortuna, jak sam rzekłeś, kołem się toczy, popadłeś w jej niełaskę, a dostawszy się do niewoli znowu, jak wnoszę, zostałeś szczęśliwym. Posyłam baronowi okup za ciebie, drugie tyle tobie na tymczasowe potrzeby.

Poznałeś Adelę, co mnie wielce raduje, wierzę, iż z nią możesz być szczęśliwszym ode mnie. Twoje rady, miły przyjacielu, po długiej rozwadze, wszystkie w sercu moim zaszczepiłem. Porzuciłem alchemią, tę zwodniczą naukę, i myślę teraz trochę obejrzeć się po świecie, aby użyć żywota, wszystko wedle rad twoich. Po twej szczerzej przyjaźni się spodziewam, iż potrzebując czego wprost się do mnie udasz; choćby o trochę więcej jak o pięćdziesiąt funtów złota. Polecam cię Panu Bogu i afektom serdecznej przyjaźni.”

List do barona zawierał oświadczenie Sędziwoja, iż gotów jest za podobny okup wszystkich polskich jeńców wykupywać, jakich by nie bądź baron w moc swoją dostał.

W czasie czytania tych pism Jan wyszedł i powrócił niosąc ciężkie dwa worki. Złożył je na stole, rozwiązał i okazał, iż pełne były wielkiej portugalskiej złotej monety.

- Każdy worek - mówił - waży przeszło pięćdziesiąt funtów niemieckiej wagi. Tak je przywiozłem, jak mi je w Bazylei w mennicy wymieniono.

- Skądże pan twój wziął tak rychło tyle pieniędzy - zapytał żywo baron wysypując złoto.

- Ba! - odrzekł Jan dumnie głową kiwając - dla mego pana łącniej robić złoto, jak zbierać kamyki po drodze. Już teraz porzuciliśmy alchemią, bo wynaleźliśmy ten kamień, co wszelaki kruszec na czyste złoto zamienia.

Tu na długie i szczegółowe wypytywania się Jan opowiedział najmniejsze okoliczności towarzyszące przemianie metali. Leżące zresztą złoto zdawało się tego oczewistym dowodem.

- Czy mógł się kto spodziewać - rzekł Rogosz - aby on tak znaczną sumę w tej chwili posiadał, aby ją tak lekceważył.

I z ust jego zniknął szyderczy uśmiech, a na czole i oczach osiadła chmura zazdrości.

W baronie uśpiona namiętność do alchemii obudziła się w tej chwili z całą mocą. Wypytywał się Jana o najmniejsze drobiazgi, o wszystkie znaki tyle okrzyczanego w owych czasach przemieniania metali i słuchając jego opowiadania powtarzał z żalem:

- Tak! tak jest! ten człowiek nieochybnie musiał widzieć cudowną transmutacją, inaczej skądże by wiedział, jak by zdołał opowiedzieć te cuda! Moje przeczucie nie zawiodło mnie! Sędziwoj zdolny był do odkrycia tej potężnej sztuki.

I radość barona i jego przyszłego zięcia znikła. Prosta dusza służącego radowała się z ich udręczeń, bo szczerze serce instynktem przeczuje nieszlachetność. On ją widział w postępku Rogosza ze swym panem i teraz podwójnie szczęśliwy z powodzenia Sędziwoja rubasznoszlosliwie się tylko uśmiechał.

IV Praga

**„Kamień gorejący składa się z trzech części. Tylko ten złożyć go potrafi, kogo Bóg
w łonie matki już do tej sztuki poświęcił.”**

Poemat o kam. filozof. Jana von Tetzen, 1412 r.

NIE MINEŁO PÓŁ ROKU OD CZASU wyjazdu Sędziwoja z Bazylei, a stugębna fama po całych Niemczech jego sławę rozniosła. Żaden adepta nie był dotąd tak głośnym, nie okazywał tak jawno dowodów swej sztuki, i żaden nie cenił mniej owoców tej sztuki, to jest złota.

Wraz po przybyciu swoim do Krakowa książęcym życiem, niesłychanym zbytkiem i rozrzutnością zwrócił wszystkich oczy na siebie. Doszła pogłoska króla Zygmunta III, który sprzyjał alchemii i sam często z Mikołajem Wolskim potajemnie, w pracowni zamknięty, obok sztuki złotniczej nad alchemią pracował. Sędziwoj został wezwany do dworu. Zaszczycony poufałą z królem rozmową, kilkakrotnie w jego przytomności zamieniał srebro na złoto. Lecz żadne zachęty, żadne obietnice zatrzymać go nie zdołały. Na pochlebne wezwanie cesarza Rudolfa II udał się do Pragi. Dobry i nieszczęśliwy cesarz Rudolf był w owym czasie jakby książęciem alchemików, a Praga stolicą alchemii. Cesarz, wychowany w Hiszpanii, już wcześniej nabrał skłonności do tajemniczych nauk. Po swoim powrocie uzyskał koronę węgierską, później czeską, a wreszcie wstąpił na tron cesarski. W początkowych latach panowania poświęcał się trudom rządów, kiedy jednak stosunki coraz więcej się wikłały przez zacięte spory katolików z protestantami, tureckie napady niepokoiły państwo zewnętrzne, a intrygi książąt państwa kłóciły pokój wewnętrzny, wtedy spokojny, a nawet bojaźliwy, umysł jego za ciężkimi uznał trudy panowania. Powoli usuwał się od spraw krajowych, zamykał w swoim zamku i całkiem oddawał badaniom naukowym, które więcej cenił, jak wszystkie dobra ziemskie. Od tego czasu jedynie wcieleni do przybytku tych nauk otaczali go ciągle. Prześladowany od dumnej rodziny za ożenienie się z wieśniaczką, sławny duński astronom Tycho Brahe, łaskawie od cesarza Rudolfa został przyjęty, podobnież uczeń tego pierwszego, Kepler, na tymże dworze bawiąc, musiał zajmować się rachunkami astrologicznymi. Mistyczny, a nawet przesądny, charakter tych astronomów, szczególnież przepowiednie Tychona, niemało się przyczyniły do napojenia cesarza nieopisaną jakąś obawą i podejrzliwością tak dalece, iż w końcu pałacu swego nie opuszczał. Anglik Dee, nadworny mistyk i mag, usiłował cesarzowi otworzyć państwo duchów, a wszyscy nadworni lekarze byli zarazem alchemikami. Dworzanie, pokojowcy byli pomocnikami nieustannych prac alchemicznych. Nadworny poeta Mardocheus de Delle, rodem mediolańczyk, głównejsze wydarzenia dotyczące się wyznawców alchemii dla rozrywki swojego pana układał w rymach niemieckich, do których wielu dworskich malarzy dorabiało staranne rysunki.

Oprócz tych wszyscy wędrowni alchemicy byli pożądanymi gośćmi w Pradze. Zgłaszali się też prawie codziennie, a każdy zajmujące przedstawiający doświadczenie, szczerze obdarowany, opuszczał zamek.

Którzy sami się nie stawiali, tych, jak daleko granica cesarstwa sięgała, sprowadzano. Z zagranicznymi nieprzerwaną prowadzono korespondencją. Alchemicy też nie byli niewdzięcznymi dla swojego opiekuna. Zowiąc go niemieckim Hermes Trismegistos po rozstajnych drogach jego wiadomości i sławę rozgłaszali.

Rzemiosło jednak alchemika, jakkolwiek dla zręcznych i ostrożnych bardzo zyskowne, połączone było z wielu niebezpieczeństwami. Każdy mniemany adepta otoczony był zewsząd siłdami; czatowano na uwikłanie go, a potem torturami przymuszano do wyznania tajemnicy. Niejedno zamkowe więzienie w wiekach średnich odbijało jęki nieszczęśliwych alchemików. Nierzadko nawet karą, a raczej zemstą, odkrytego oszukaństwa był stos lub szubienica.*

Sędziwoj długo był bezpiecznym. Czy to dlatego, iż wcale nie ukrywał się, czy też, że często i nagle zmieniał miejsce pobytu, czy też - jako szlachcic - opiekę Korony polskiej używał za tarczę swego bezpieczeństwa. Zresztą też dobroczynnością, szcudrobliwością i odgłosem, który go wszędzie otaczał, czynił trudniejszym uwikłanie się w intrygi, a zatem i uwięzienie. Cesarz Rudolf zaprosił Sędziwoja do Pragi; na wezwanie skwapliwie pospieszył. Przyjęty okazał, poufałością cesarza zaszczycony, wobec całego dworu, w przytomności tylu alchemików, którzy dwór ten składali, a więc w przytomności zazdrosnych pilnie śledzących najmniejsze jego poruszenie, odbył kilka przemian merkuriusza, ołowiu i srebra na złoto. Ofiarował nawet cesarzowi trochę kamienia filozoficznego i ten własną ręką uszlachetniał metale. Cesarz w uniesieniu radości, iż niezbitcie przekonał się o istnieniu tej wielkiej sztuki, kazał w sali, w której odbywały się doświadczenia, umieścić portret Sędziwoja. Pod obrazem wmurowano tablicę marmurową ze złotym napisem, wierszu własnego układu Rudolfa: **

Faciat hoc quispiam alius,

*Quod fecit Sendivogius Polonus!****

Pomimo jednak zaszczyty, pochlebstwa, pomimo całą sławę, młody adepta nie pozostał długo w Pradze.

Za przykładem cesarza Rudolfa mnóstwo książąt trudniło się alchemią. Sława Sędziwoja wszędzie go już poprzedziła; wiedział, iż go wszędzie przyjmą z radością. Chciwy wrażeń i nowości, jak więzień świeżo na wolność wydobyty, jeździł po Europie; lecz nigdzie długo nie bawił, jakby go jakiś wewnętrzny niepokój, tajemna trwoga popędzała.

* Najłaskawszy z opiekunów alchemii, Rudolf II, nieraz jednak opierających się z wyjawieniem tajemnicy alchemików więzić i torturami męczyć kazał. Podobnyż los spotkał w powyższym przypisku [w obecnym wyd. zob. przyp. 47 na s. 154-5] wspomnianego Kelleya. Z początku obdarzony honorami, do wysokich podniesiony godności, gdy się okazywał nieczuły na względy i tajemnicy wydać nie chciał, wtrącony został do więzienia, skąd uciekając nogę złamał, wskutek czego umarł.

** Des Noyers, sekretarz królowej Marii Gonzagi, który nam najwięcej i najpewniejsze zostawił szczegóły o życiu Sędziwoja, powiada, iż za jego czasów, tj. roku 1650, ową tablicę marmurową w zamku praskim jeszcze widzieć można było.

*** Niech ktokolwiek zdziała to, co zrobił Sędziwoj Polak.

V. Sztudgard

**„Dionizy Zachariasz, piękny młodzieniec, bardzo prędko wynalazł kamień mądrości.
Wtedy nabrał ochoty zwiedzenia świata.”**
Mardocheus de Delle, 1603 r.

DZIEŃ PRZYJAZDU SĘDZIWOJA do Sztudgardu był jakby uroczystością obchodzącą całe miasto. Już się ściemniało, bramy zamykano, a jeszcze potoki ludu szły lub wracały z jednego przedmieścia, w którym spustoszony klasztor sławny alchemik zajął na swoje mieszkanie. Z daleka łuna od świateł, dźwięki muzyki i gwar zabawy mimowolnie wabił ciekawych. Na kupach gruzów z rozwalonego muru, który otaczał dziedziniec i smętarz klasztorny, paliły się beczki smoły; od miejsca, gdzie niegdyś była brama, do głównego wejścia rozpięty był wielki pąsowy jedwabny namiot, ziemia pod nim czerwonym suknem usłana, boki otwarte, otoczone pomarańczowymi, laurowymi i cyprysowymi drzewami w wazonach, a krwawe światło, przedzierające się przez te zbytkowe krzewy białym okryte kwiatem, ponuro oświecało niedalekie grobowce i mogiły smętarza. Oba okna obok drzwi wchodowych ustrojone były dywanami, kwiatami, festonami bogatych materii i mnóstwem lamp kolorowych; z pośrodku okien były wytryski wina i szumiąc, mieniając się w świetle, spadały w wystawione wielkie konchy wyzłacane. Dokoła chciwa tłuszcza tłoczyła się, rozbijała o kosztowny napój; nasyceni, jak na pobojuwisku, cokolwiek dalej pomiędzy grobami spoczywali na trawie.

W klasztorze, którego i pożar nie oszczędził, zamiast dachu tylko gdzieś sterczały opalone belki. Wielkie okna pozbawione szyb i ram zasłonięte były przejrystymi oponami w środkowych salach, gdzie się uczta odbywała; w dalszych skrzydłach gmachu, pustych, szerniałych, tylko księżyc smutnie świecił przez wszystkie otwory.

Przed dziedzińcem turkot zajeżdżających karoc, wołanie pachołków trzymających konie, okrzyki ludu, dzikie śpiewy pijanych, mieszały się w jeden hałas dziwnie z pierwszym przeznaczeniem i pozorem tego miejsca niezgodny.

- Chodźmy już, sąsiedzie, do domu - rzekł któryś z mieszczan bliżej stojących - niech te opoje tu na śmierć się zapiją, nic tu już nowego nie wypatrzymy, a chłód nocy zaczyna dokuczać.

- Zaczekajcie jeszcze - odrzekł pierwszy. - Wczoraj dopiero około północy on wyszedł na ganek. Mój czeladnik, Jakub, był przy tym i kiedy goście pili jego zdrowie, z ganku rzucał złote pieniądze węgierskie.

- Cisnął ich pewnie więcej jak garniec - dodała kobieta. - Jakub schwycił jedną sztukę, sama ją widziałam, a moja kuma, wdowa Marta, przysięgała się, że jej narzeczony pięć sztuk złowił.

- Ale też i guzów, szturchańców, niemało - dodał mieszczanin - całe oko miał sine.

- Niech go tam lichy z jego złotem - rzekł pierwszy - może jeszcze zakłete, rzuca jak psom, wartoż guzy obrywać!
- Zakłete! ba! ten, co widziałem, był z wizerunkiem Matki Boskiej; a zresztą, sąsiedzie, dukat piechotą nie chodzi; toby go można i poświęcić, a kułaki bierzesz, kułaki dajesz, to swoja rzecz.
- A jakże wy chcieliście! - zawołała do pierwszego rozgniewana kobieta - chcieliście, aby nie rzucał z góry, ale zeszedł na dół, wetknął wam w łapę pieniądz i jeszcze prosił: „Weźcie, panie Mateuszu, bardzo proszę, zrobicie mi łaskę!” On rzuca, bo mu się tak podoba, a wy nie bierzcie, kiedyście tacy bogaci. A ty, mężu, ani kroku! my będziemy czekać.
- Pierwszy sąsiad odsunął się, ale także nie odszedł.
- Czegóż się tak tłoczysz - zawołał któryś z masztalerzów. - Boże, zmiłuj się, już blisko północy, a oni gawronią się, jakby mieli czego...
- Ot, zwyczajnie, nie widzieli go w dzień, teraz chcą się przypatrzeć; ale co to ciekawego, taki człowiek jak i drudzy.
- O! widzicie ich, zaraz znać dworskiego sługę! Chcielibyście sami tylko rozszarpać to, co on dla mieszczan rozrzuca.
- Czy widzieliście go - przerwał inny - czy prawda, że on poganin. Tatarzyn?
- Bajki szczerze! prawy chrześcijanin, nie Tatar, ale Polak.
- Nie kijem go tylko pałką - dodała kobieta - toć Polacy przyrodni bracia Tatarów. Albo ja to nie wiem! Mój nieboszczyk pierwszy mąż, co to był zawerbowany do rajtarów, był w Polsce. Albo on to mało naopowiadał się o tym narodzie. Tam końskie mięso jedzą, chłopci mieszkają w chałupach ze słomy, miast wcale nie mają, tylko jeden zamek, gdzie król mieszka.
- Gdzież widzieliście tego alchemika?
- Wczoraj rano widziałem go na moście, ledwo mnie nie zadusili, kiedy wjeżdżał do miasta.
- Jak też wygląda, stary? czy tłusty? - zapytało kilka głosów.
- E! z miny wcale nieznaczno, że umie złoto robić. Naprzód, że jest młody.
- I taką sztukę posiada?
- Ba! albo to wiek co pomoże! Patrz na naszych siwych doktorów, co chodzą w opończach jako sowy; żaden tego nie zna, chociaż cały dymem przesiąkł, to dar Boski!
- Ten jest blady, nosi brodę, wąsy, a co najdziwniejsza, że ma głowę do wpół ogoloną.
- Ach! a mówiliście, że on nie Tatar! Alboście nie widzieli Tatarów, co w zamku za kratą łańcuchami przybici, co to ich cesarz rzymski podarował naszemu panu?
- Niech tam wszystkie biesy porwą Tatarów; jakże ten alchemik był ubrany?
- Bardzo zwyczajnie. Cały czarno, w dziwacznej sukni z rozprutymi rękawami, w futrzanym kołpaku; jechał na karym koniu.
- A złota, klejnotów?
- Wcale na sobie nie miał; to też to była najdziwniejsza rzecz. Szablę, nawet i puginał miał oprawne w zwyczajne żelazo. Jechał wolno i przypatrzyłem mu się dobrze; zdawał mi się nawet niewesoły.
- Ale za to koń jaki paradny! Sługiwałem ja po książęcych stajniach, ale takiego ogiera w życiu nie widziałem. Ogień z nozdrzy parską, skóra jak aksamit, a co za nóżka, łeb!
- Chociaż on się nie świecił, to służba jego, dwór cały lśnił się, konie nawet pokryte były złotem i klejnotami.
- A widzieliście też te dziwne garbate bestie i ludzi czarnych?
- A toć tu stoją z drugiej strony dziedzińca; podobno on ich ma podarować naszemu księciu...

*

Wielkie wschody wiodące na górę wysłane były kosztownymi kobiercami, z obu stron szpaler drzew i wonnych kwiatów zamorskich wiódł do sali balowej, którą jakby czarodziejską władzą urządzono wpośród rozwalin. Ściany powleczone były jedwabnymi obiciami, w pośrodku potężny stół w kształcie podkowy, przykryty złotogłowie, otaczał szereg biesiadników płci obojej. W pośrodku i po rogach sali fontanny wina i pachnących wódek rozpraszały po powietrzu upajającą rosę. Stół malowniczo ubrany zastawiony był najwykwintniejszymi potrawami, owocami, przysmakami z ostatnich krańców świata zebranymi. Pod talerzem każdego z biesiadników, na pamiątkę ofiarowany, leżał wielki złoty medal.* Paziowie odznaczający się pięknnością, strojni ze wschodnim przepychem, roznosili wyszukane wina i chłodniki. Światło rozchodzące się ze szklanych różnokolorowych latarni w tysiącnych odbite promionach od zwierściadeł, śród kwiatów, złota, kryształów i srebra, drżąc na liściach całego gaju drzew, wzdłuż ścian poustawianych, otaczało biesiadników, jaśniejących wspaniałymi strojami i pięknnością, atmosferą upajającą wszystkie zmysły; a jakby nie dość jeszcze było sztucznego światła, wielkie okno, wychodzące na balkon, przez pożar wyłamane, zostawiono otwarte i tamtędy księżyc szeroki wachlarz promion wpuszczał aż do środka sali.

Z jednej strony za zasłoną pasową złotem wyszywaną była ukryta muzyka i kilkudziesięciu śpiewaków; niewidzialni brzmieniem radości i wesela napełniali cały gmach, dodając truciźną muzyki do upojenia wszystkich zmysłów.

Na najniższym końcu stołu było nakrycie odznaczające się prostotą od innych. Miejsce to zajmował Sędziwoj. Podparty ręką, zamyślony, z zimnym szyderczym uśmiechem rzadko odpowiadał na pochlebne słówko piękności, na dowcipne odezwy jego dumę podsycające. Błady, z chorobliwym rumieńcem gorączki, z iskrzącymi oczyma, w prostej czarnej odzieży, wydawał się śród tego tłumu gości, jaśniejących całym przepychem ówczesnego stroju, jakby był złym duchem czyhającym na koniec zabawy.

Opodał od sali bankietowej w jednym z ubocznych pokoi słabo oświetlonych we framudze okiennej stało dwóch ludzi zajętych żwawą rozmową. Jeden z nich w podróżnym płaszczu, świeżo przybyły, był Rogosz; drugi, lekarz Bodenstein, przeciw zwyczajowi swojemu strojnemu ubrany, wyszedł z uczty, w której brał udział.

- Nie masz więc wątpliwości - rzekł przyjaciel Sędziwoja - że on posiada tę wielką tajemnicę, o której istnieniu tak długo wątpiłem.

- Przecież się z tym nie tai - odparł żywo Bodenstein. - Sam własnymi oczami patrzyłem jak odbywał przemianę ołowiu, srebra, cyny, miedzi, żelaza, merkuriusza, na jak najczystsze złoto. Dotykałem go się własnymi rękami; złotnicy wszystkie z nim próby odbywali.

- Mówisz, iż elektor przyjął go łaskawie?

- Prawie jak równego sobie. Z nim tylko rozmawiał, żartował, razem z nim jadł, posadziwszy go przy stole na pierwszym miejscu przed wszystkimi książętami po swojej prawej stronie. To jest rzecz niesłychana! - Pozwolił mu wstępu każdego czasu do siebie. Wszyscy dworzanie, a szczególnie alchemicy, nie posiadają się z zazdrości i gniewu.

- To niepojęte! - rzekł Rogosz zamyślając się, po chwili dodał - wiem, że jesteś człowiekiem roztropnym, ale czyś dobrze uważał wszystkie okoliczności, czy nie ma w tym jakiego podstępny?

- Wierzcie albo nie wierzcie - odparł urażony medyk - ale jeśli tu jest jakie oszukaństwo, wytłumacz mi, jakim sposobem oszukać można tylu pilnie przypatrujących się, z których każ-

dy się zna na rzeczy; kiedy ołów, tygiel, węgle, wszystkie narzędzia najtroskliwiej badane były, a w wielu doświadczeniach z jego proszkiem on nawet niczego się nie dotykał. Można kilka razy jednego człowieka oszukać, ale tyłu razem tak często oszukiwać - niepodobna.

- Zresztą powiedz, jakie bogactwa mogłyby wystarczyć na takie życie i skąd by je wziął? Dwór jego składa się więcej jak ze stu ludzi i dwa razy tyle koni.

- Biesiady takie, jak widzisz, trwają od zmierzchu do świtu, od rana do nocy. Ja włóczę się za nim od samej Pragi jak cień; śledzę każdy krok jego, czatuję, może mi się uda wybadać jego tajemnicę; patrzę więc na wszystko i widzę, iż na takie życie skarby cesarza rzymskiego by nie wystarczyły.

- Musisz się sam przy tym mieć nieźle - rzekł ironicznie Rogosz.

- Bynajmniej - odpowiedział z westchnieniem Bodenstein. - To jest marnotrawca, szaleniec, wariat, ale jednak wie o każdym groszu, który wydaje. Żaden lichwiarz pewno nie prowadzi tak drobiazgowych rachunków. Nikomu nie wierzy, targuje się aż do znudzenia, w zbytku swoim jest skąpy. Ten jego służący, kałmuk, wszystko urządza, jemu jednemu wierzy. Sędziwoj rzuca złoto, ale tylko tam, gdzie jemu się podoba. Prośbą nic u niego nie zyskasz, żadnemu proszącemu nie dał jeszcze ani szeląga, to jest szatan, co się z cudzej nędzy raduje.

- Byłem ja raz w krytycznym położeniu, zresztą nie mam się co przed tobą taić. W Pradze, w jednej z pierwszych karczem podpiłem sobie, a że wiedziano, iż przyjechałem z alchemikiem, o którym całe miasto gadało, rozumieli więc, że mam złota jak piasku. Nie zaprzeczałem temu, i kilka dni bawiliśmy się wybornie, kiedy jednak przyszło do zapłaty, mieliśmy wyjeżdżać, a tu ani grosza. Obdarto mnie ze wszystkiego, a ponieważ *omnia mea mecum porto*, zabrano mi i rękopism dzieła mojego, na którym sława moja i ostateczne nadzieje spoczywają. Żadnego nie widząc ratunku pokonywam wrodzoną dumę i udaję się w prośby do Sędziwoja żądając parę dukatów. Właśnie wtedy wydawał podobny bankiet, na którym połowa biesiadników dobrze mnie znała. Wyszedłszy do mnie do ogrodu i zobaczywszy mnie w nie bardzo przyzwoitym stroju białym, ponieważ wierzchnie suknie zatrzymano mi w karczmie, rzekł: - Dam ci sto razy tyle, ile żądasz, ale pod jednym warunkiem. - Pod jakim? - zapytałem z bojaźnią. - Oto teraz pójdiesz ze mną do gości i tam powiesz głośno te wyrazy; - „Mości Panowie! jestem Adam von Bodenstein, profesor z Bazylei, i przyszedłem tu tylko po to, aby wam oświadczyć, iż świętej pamięci. nauczyciel mój i ziomek, Theophrastus Aureolus Paracelsus Bombastus von Hohenheim, był pijanicą, głupcem i włóczęgą, a cała jego nauka niewarta trzech groszy.”

- Wiadomo wszystkim, co żyją, iż boski mistrz nasz Paracelsus nie miał większego ode mnie wielbiciela.

- Wyrzec więc te słowa było to wystawić się na śmiech oczewisty, ażem zmartwiał na takowe żądanie. Proszę! błagam! wstyd i zimno dokuczają mi, lecz nie i nie, jak się uparł, nic nie ustąpił.

- I cóż - zapytał Rogosz - wyprzysięgłeś się?

- Cóż miałem czynić? Poszedłem i w czasie ich uczyt śród grzmotu śmiechów wyplułem przekłete słowa, a natychmiast wyliczono mi paręset dukatów. Był to jedyny pieniądz, którym od niego otrzymałem.

- Kiedy do niego pierwszy raz przybyłem, żądając po dawnej znajomości jakiego zajęcia, sekretarza, pomocnika, laboranta lub lekarza, aby mieć pozór zostawiania przy nim i śledzenia go, dozwolił mi zostawać w swoim orszaku, ale szydlerczo oświadczył, iż nie jest w sta-

nie płacić mi; i że nawet żywić się sam będę musiał. Zgoła Sędziwoj dawniej tak nieśmiały, nie znający ludzi, zupełnie się zmienił, nie poznasz go. Jakaś w nim zimna powaga, szyderstwo, odpychająca wyższość, nie pozwalają nikomu zbliżyć się do niego.

- Czy zajmuje się jakimi sprawami - zapytał po chwili Rogosz - czy oprócz biesiad i zbytku wydaje na co innego pieniądze?

- Z początku jeszcze usiłował zajmować się czym chcesz, wszystkim; i chociaż wszystko powodziło mu się, we wszystkim okazywał nadzwyczajne zdolności, to jednak wnet porzucił, nic go trwale nie zajęło. Co do pieniędzy, wydaje, rozrzuca, jakby one wcale wartości nie miały. Najczęściej jednak wydaje na to, co by żadnemu uczciwemu i roztropnemu, jak my, człowiekowi przez myśl nie przeszło. Ale też to sprowadza mu same przykrości. Pod Bazyleą mieszkał ubogi jeden i sławny z poczciwości stary kowal mający jednego syna, młodego chłopaka. Kiedy Sędziwoj opuszczał Bazyleę, nie wiem, gdzie się spotkał z kowalem i kupił mu, Bóg wie z jakiej łaski, rozwaliny pałacu od wieków zburzone, na dole góry kazał przepysznie pałac wyporządzić, założył kuźnię, jakiej może w całych Niemczech nie było, nakupił mu koni, sprzętów, słowem, zrobił go najbogatszym mieszczaninem. Syna zaś wziął do siebie i bardzo tego chłopaka lubił. I cóż powiecie na to? Tylko co on wyjechał, kowal zaprzestał roboty, zaczął hulać, bankietować, na stare lata chciał koniecznie odmłodnieć, prawie oszalał. Pałac był, ale dochodów nie było; zaczął więc pieniądze fałszować. Złapali go na uczynku i powiesili w Bazylei.

- A syn jego? - przerwał Rogosz.

- Poczekajcie tylko, jakie było dziwactwo Sędziwoja. Chłopak ten miał lat może ośmnaście, to sam wiek do pustot i zabaw. Pośród takiego zbytku on go jak najskromniej, prawie skapo, trzymał, pieniędzy mu do rąk nie dawał, i tylko go uczyć kazał i samotnie godziny całe z nim na rozmowach trawił. Otóż nic dziwnego, że kowalczyk gorąco zapragnął pieniędzy. Jeszcze to było w Pradze, przechodzimy raz przez most, ciżba dworzan i ludu tłoczyła się, aby zobaczyć cudownego człowieka, gdy Sędziwoj ni z tego, ni z owego, zdejmując trzos z siebie, pokazuje, że pękaty od złota i klejnotów, i ciskając go w wodę odzywa się głośno, kto trzos ten dobędzie weźmie go sobie i drugie tyle dostanie nagrody.

- Znalazł się kto? - zapytał Rogosz.

- Nim Sędziwoj dokończył mówić, już wychowaniec jego najbliższy stojący rzucił się z mostu, a rzeka mocno była wezbrana.

- Wydobył trzos?

- Gdzież tam! wpadł w wodę jak kamień i nie pokazał się więcej. Ale jak tylko wskoczył, pierwszy raz widziałem, w oczach szalonego alchemika zabłyszczały dwie łzy. Długo patrzył na szumiejące nurty w milczeniu, aż gdy wreszcie nie było wątpliwości, że chłopak utonął, wtedy rzekł:

- Ha! lepiej, że zginął, tego jednego upodobałem i tym bym musiał gardzić.

- A kobiety? - zapytał Rogosz.

- O! i te niemało zjadły kamienia mędrców. Miał różne, wszystkich krajów, kolorów, wszystkich rodzajów piękności, ale żadnej dłużej jak tydzień nie kochał. Przepraszam! jedną Włoszkę woził ze sobą cały miesiąc, bo ta, powiadał, przekonała go, że i za złoto nie wszystko zrobić można. Nie masz wyobrażenia, jakie dziwaczne pomysły tej dziewczynie przychodziły do głowy. Nie przestawała ona na samych strojach i uwielbieniu głupich pasożytów, jak inne kobiety, ale coraz nowe wynajdowała rozrywki, przynajmniej w zbytku była dowcipną. Raz

jeden kazała przyrządzić fajerwerk, który krocie kosztował, i kazała go spalić w takim miejscu, między górami, daleko od wiosek, iż tylko ona i kochanek jej widzieli go, zresztą nikt. A ciągle miała jakąś sympatią do ognia. Koniecznie napierała się, aby jej w ogrodzie usypano Wezuwiusz. Tego już i kamień mędrców dokazać nie mógł. Sędziwoj opowiadając to nam śmiał się do rozpuku.

- Czy ma ją jeszcze przy sobie?

- Dostała ospy i zeszepona szkaradnie straciła całą wartość. Sędziwoj pocieszał ją jak mógł, zaręczał, iż i tak kochać jej nie przestanie; może by się nawet z nią ożenił, lecz niczego słuchać nie chciała, otruła się.

- Więc teraz serce jego nie zajęte?

- Kto ma tak pełne kieszenie - rzekł Bodenstein - to choćby miał serce jak rzymskie katakumby, jeszcze by nie pomieścił wszystkich piękności, co się cisną do niego. Ale on obojętny. Przyznam ci się, iż go wcale nie pojmuję, a nieraz przypatrzawszy się bliżej, podejrzewam, czy też nie zaprzedał duszy swojej czartu? - Bo słyszysz tę muzykę, tę wrzawę, wesele! - to tak ciągle, całe jego życie otacza jeden bankiet bez przerwy. Nie ma rozrywek jakich by, jak z rogu obfitości, nie sypano dokoła; sławę też ma tak wielką, jaką tylko zapragnąć można, co tylko człowiek żądać może do szczęścia na tej ziemi - ma to wszystko. A jednak chociaż wszyscy się bawią, on jeden smutny, siedzi pośród gości jakby dlatego tylko, iż się obawia sam pozostawać, jakby mu brakło czegoś. Ciągłe zamyślony, widocznie trapi go jakaś tajemna troska. Ja go nienawidzę z całej duszy i dlatego jedynie ten jego stan trochę mnie pociesza. Nieraz, kiedy bankiet trwa w najlepsze, wszyscy goście oddychają jedynie rozrywką, on dziko patrzy przed siebie, nieruchomy szklany wzrok utkwiał w przestrzeni jakby co widział przed sobą i nagle zrywa się, blednieje, włosy mu powstają, a wtedy wyraźnie dla zagłuszenia siebie lub odpędzenia jakiegoś widma staje się szaleńszy od wszystkich. Spełnia całe puchary, sypie żartami i wesołość jego porywa wszystkich, jakby cały bal pokąsała tarantula. Ale kto mu się wtedy dobrze przypatrzy, tego strach ogarnie!

- Może być miłość bez nadziei tak go dręczy? - zapytał Rogosz.

- Toćby przecie starał się uprzętnąć zawady, zobaczyć kochankę, a on o tym ani myśli. Prawda, iż szuka, jeździ, dowiaduje się wszędzie, ale nie o kochankę, nie o kobietę, ale szuka tego, jeśli pamiętacie, co to takie wzbudził zajęcie w Bazylei, ów sławny adept...

- Kosmopolita! - zawołał Rogosz. - A więc teraz dopiero otwierają mi się oczy! Jeszcze o tym nie wiesz; to Kosmopolita uwiózł córkę owej wdowy, u której mieszkał Sędziweo. Ja teraz dopiero wierzę, że Kosmopolita był prawdziwym adeptą; to on nauczył Sędziwoja tajemnicy, a ten teraz może trawiony miłością do Arminii, pomimo bogactw nie może znaleźć spokojności.

- Jeśli tak jest, dzięki ci, panie Rogoszu, i ja teraz rozumiem rzecz całą, a Kosmopolitę wysłędzę! Ja, głupi, zawistny, mniemałem dotąd, że Sędziwoj wydarł mi Arminią, że on zabrał rękopisma pozostałe po Tholdenie i z nich wyczytał tę wielką tajemnicę, a mnie przez to pozbawił i żony, i takiego posagu. Rozumiałem, że potem pozbył się Arminii i że jest sprawcą mej niedoli. Lecz kiedy tak, poczekaj, Kosmopolito! choćbyś był w środku ziemi potrafię cię wynaleźć. W tej chwili idę do Sędziwoja.

- Zaczekaj! jedno słowo, powiedz mu ubocznie, iż jestem tutaj i chcę z dawnym przyjacielem pomówić. Zyskiem, jaki stąd wypadnie, podzielimy się, bo wspólną jest własnością, działajmy tylko razem. Zobaczysz, że niedługi czas upłynie, a uda mi się Sędziwoja wtrącić w jakie intrygi, a potem do więzienia. Wtedy nie wykupi się pięćdziesięcio funtami złota.

*

Nad ranem już gwiazdy znikwały z nieba, brzask dzienny je zacierał, i światło lamp bledniało, kagańce przed domem gasły. Muzyka śpiąco powtarzała jednotonne zwrotki, a większa połowa gości drzymała w obszernych krzesłach. Znakomitsi już dawno opuścili zabawę; wielka sala podobna była do pobojuwiska, wszystko porozrzucane. W dalszych tylko komnatach wytrwalsi godownicy i piękności dwujznacznych obyczajów ostatnim wysileniem pokonywali znużenie. Przy jednym z bocznych stolików na puchowym wystaniu pysznej sofy Sędziwoj rozmawiał z Rogoszem, lecz nie tak już poufale jak niegdyś: stosunek się zmienił. A chociaż Sędziwoj prosił szyderczo o rady, przyjaciel jego nie był tyle śmiałym.

- Więc wkrótce wyjeżdżasz? - rzekł Rogosz.

- Może jutro, może dziś.

- Na długo?

- Albo ja wiem? Toć przecie całe szczęście bogatych, iż robią, co im się podoba, niczym nie związany ani przywiązany, dziś chcę tak, jutro inaczej może mi się zachce - co mnie to obchodzi.

- Znudzi ci się jednak takie życie, bo przyznaj, małżonka, stały dom, spokojne, ciche życie, mają także swoje powaby.

- Nie każdy równie jest szczęśliwym - jedna miłość za pieniądze kupić się nie da; nieprawdaż, kochany zastępcu przy mojej kochance?

- Tym bardziej powinienes się starać o prawdziwą miłość - rzekł Rogosz obojętnie.

- Szkoda - odparł Sędziwoj - żem wcześniej nie zasiągnął twej rady; aleby to było na próżno. Nie każdy może usuwać granice, jakie mu los naznaczył.

- Czyli - dodał Rogosz, pilnie wpatrując się w twarz Sędziwoja - nie każdy może być Kosmopolitą, chciałeś powiedzieć?

- Kosmopolitą! - zawołał zachmurzając się młodzieniec. - Skądże ci wpadło teraz jego nazwisko?

- Przypadkiem, przecież kiedyś byłeś jego wielkim zwolennikiem.

- Bo zasługiwał na to - rzekł Sędziwoj, a w całej jego postaci przybijało się jakieś wzruszenie, niepokój wewnętrzny.

- Nie widziałeś go od tego czasu? - zapytał Rogosz. Ale alchemik już nie słyszał; na próżno walczył chwilę z napadem słabości. Zbladł, otworzył szeroko usta chcąc mówić, oczy nieruchome wlepił przed sobą w powietrze, zerwał się z krzesła i aż do muru cofnął się wyciągnawszy ręce przed siebie, jakby odpychał niewidzialne jakieś widmo. Pot kroplami wystąpił mu na czoło i głuchym z piersi głosem zawołał:

- Precz ode mnie!...

A potem spuścił głowę i zamknął oczy. Po krótkiej chwili, jakby z wysileniem i zebraniem ostatnich sił, dziko się zaśmiał i poskoczył naprzód.

- Hej, muzyka! wina! zasłońcie okna! niechaj się dzień dla nas cofnie! szalejmy do nowej nocy. Najwytrwalszym tancerzom i tancerkom rozdzielę nagrody godne ich trudów.

I wychyliwszy potężny puchar cypryjskiego wina, gdy nowa muzyka z nową siłą elektryzującym zabrzmiała tańcem, uchwycił jedną z pięknych towarzyszek późnej zabawy i rzucił się w szalone kręgi tańca. Za jego hasłem całe towarzystwo z nowym życiem oddało się uciechom. Coraz nowe rozrywki bez przerwy po sobie postępowały. - Gdy goście znużeni spoczęli na chwilę dla ochłody, muzyka umilkła, a czarowne dwa chóry głosów zabrzmiały. Zasłona z jed-

nej strony uniosła się i kilkanaście tancerek różnego wieku i wzrostu, ledwo ziemi tykając, wbiegło. W lekkich półprzejrzystych indyjskich ubiorach, strojne w kwiaty i drogie kamienie, z jaskrawymi oczami i ponętym uśmiechem, w pełnych wdzięku obrotach i niewymuszonej zręczności nęciły wzrok do śledzenia każdego zmiany ich tańca.

Rogosz z pałającymi ustami chciwie patrzył na balet, gdy Sędziwoj z lekka dotknął go po ramieniu i rzekł:

- Co by powiedziała na twoją zabawę twoja żona, kochany przyjacielu?

- Adela! - odparł, jakby budząc się Rogosz - ona przywykła do zabaw, nie tyle by ją to zajęło, co Arminia.

- Arminia - mówił obojętnie Sędziwoj - to dziecko...

- Jednak ładne dziecko i warte tych piękności - rzekł z przyciskiem Rogosz.

- Przyznam ci się - odparł Sędziwoj - iż jakkolwiek dość podobnych towarów kupowałem, nie nauczyłem się jednak dotąd ich cenić. Zdrowie twojej żony!

- Zdrowie jej i Arminii - podnosząc kielich zawołał Rogosz.

- Jak widzę, dziś same dawne znajomości wracają ci do pamięci - przerwał Sędziwoj z uśmiechem.

- Rozumiałem, iż tym wspomnieniem zrobię ci przyjemność.

- O, dzięki ci, słodki przyjacielu! A więc i ja muszę ci się odplącić wdzięcznością, słuchaj mnie tylko pilnie.

- Przybyłeś do Sztudgardu umyślnie za mną. Bodenstein, któregoście wysłali, aby moje kroki śledził, zdał ci sprawę ze wszystkiego, co widział. Wpadacie na rozmaite domysły, ale zaręczam wam, żaden nie jest prawdziwym. Obiecałeś baronowi, iż staniesz na czele moźnej partii w Polsce, a oni rozumieją, że w Polsce na drodze złoto się rodzi, bo je nasi posłowie rozrzucają. Obiecałeś mu w imieniu dysydyntów znaczne sumy, jeżeli z zaciągowym żołdactwem pospieszycie nad granicę. Obiecałeś mu zręcznością swoją wielu panów niemieckich wciągnąć w jedną sieć, którą by baron kierował, a ty łowił. Tym sposobem zyskałeś Adelę za żonę. Tymczasem oszukaliście się wszyscy na sobie. Wszystkie nadsztukowania, wymysły, rwą się jedne za drugimi. Jesteś zgubiony, jeśli nie będziesz miał pieniędzy, wiele pieniędzy.

- Przybyłeś tutaj, aby ich ode mnie dostać. Gdyby się pora zdarzyła, już dawno Bodenstein wtrąciłby mnie do więzienia wplątawszy w jakie nieprawie zabiegi, a potem nakłoniliby moźnych do wyciśnięcia ze mnie tajemnicy torturami. Jednak wszystko wam się nie powodzi. Kochany przyjacielu, jesteś zanadto rozsądny, abyś się miał wypierać. Ja w nagrodę za twoją szczerłość wszystko zrobię, co zechcesz. Na początek dam ci tyle złota, ile sam zaważysz, ale pod jednym warunkiem.

- Pod jakim? - zapytał z cicha Rogosz, bledniejąc i czerwieniejąc się na przemiany; a z przygryzionych ust krew mu się sączyła.

- Sprzedaj mi Adelę.

- Zapominasz się! - zawołał wstając z sofy.

- Tylkoż się nie unos gniwem - zimno odrzekł Sędziwoj. - Pomówmy ze sobą, jak na rozsądnych ludzi przystoi. Pierwej od ciebie własny jej ojciec wystawił ją na sprzedaż Reudlinowi. Ja nie miałem wtedy za co kupić, tyś był zręczniejszy.

- To są żarty.

- Ze złotem nie ma żartów.

- Zresztą wybieraj. Żona zawadza ci teraz do działania; nie możesz nosić płaszczyka na obu ramionach. Naprzód więc, pozbywszy się jej, możesz uzyskać rozwód i potem się korzystnie ożenić. Po wtóre, mając pieniędzy wiele zechcesz, spełnisz twoje obietnice, staniesz na czele zbrojnej partii, a wtedy przyszłość Bóg wie, co zdziała. Z drugiej strony, jeśli na ten targ nie przystaniesz, pošlę twoje listy i układy tu zawierane do króla Zygmunta i o wszystkim uwiadomię kanclerza. Baronowi zaś pokażę listy, które pisujesz do katolików, aby się uniewinnić na przypadek przegranej; objawię cały twój plan zdradzania obu stron.

- To niepodobna! - wołał Rogosz. - Ja żadnych podobnych listów nie pisałem.

- Zapomniałeś, przyjacielu, że dla złota nie ma nic niepodobnego. Namyśl się prędko, bo już tego pokoju bez odpowiedzi nie opuścisz; odeszlę cię baronowi wraz z listami.

- Miałżebyś mnie uwięzić! - porywając się do szabli wyrzekł z zadziwieniem, lecz wnet ochłonął spostrzegłszy, że każdych drzwi pilnuje dobrze uzbrojony hajduk. Opór na nic by się nie przydał.

- Pięknie szanujesz prawo gościnności.

- To wszystko bajeczki - rzekł Sędziwoj ze śmiechem - tak mi sam niegdyś mówiłeś, dziś korzystam z twoich nauk.

Rogosz spoglądał po stronach, jakby szukał ratunku, aż wpadając na nowy wybieg, zapytał:

- Czy Adela na to zezwoli?

- Jeśli to ostatnia twoja obrona, to niewielka zręczność! A przecież Adela o tym wiedzieć nie potrzebuje, że została drugi raz sprzedaną. Albo ty, tak wymowny, wytłumaczysz jej, że to dla większego waszego dobra nastąpiło; wytłumaczysz jej, że teraz będzie ze mną szczęśliwszą jak z tobą - ona tak rozsądna, przystanie! Albo też, jak chcesz, możesz ją porzucić, ja znajdę, wesprę, pocieszę, dawną miłość przypomnę, a mówić tylko będę o przyjaźni i wdzięczności; dla tych słów kobiety mają wiele pociągu. Wdzięczność ku mnie będzie jej obowiązkiem, Adela zaś tak szanuje obowiązki! Przecież mnie tylko poświęciła dla obowiązku, sprzedała miłość, aby kupić męża. W dodatku do targu, wszystko, co jest w tym domu moją własnością; i ten balet, i te sprzęty, i tę muzykę daruję ci.

Rogosz namyślał się. Muzyka, wino i chciwość brały nad nim górę. Spojrzał dokoła, jakaś z dziewcząt, cudnej piękności z wzruszonym oddechem, iskrzącym wzrokiem, wzywała go do grona tańczących, właśnie kiedy Sędziwoj nakreślony naprędce kwitek podawał mu do podpisu, jak szatański cyrograf. Miał tylko podpisać, iż on, Wacław Rogosz, sprzedaje swą małżonkę Adelę von Wardstein Michałowi Sędziwojowi za pieniądze.

Rogosz powstając z sofy uchwycił białą dłoń podającej mu do tańca dziewczyny, a prawą ręką nakreślił na kwitku swoje nazwisko i zawołał prawie z radością.

- Niech się stanie!

Sędziwoj patrzył za odchodzącym z wyrazem pogardy, a zgrzytnąwszy zębami uderzył nogą w ziemię i ponuro rzekł do siebie:

- Na dźwięk tego przekłętego metalu ginie nawet granica podłości i hańby.

* Kilku z głośniejszych adeptów wśród swoich hucznych wędrowek, wydając uczyt istotnie pod talerzem każdego z gości kłaść kazali na pamiętkę złoty pieniądz – goście tym liczniej się zbierali.

VI. Uwięzienie

**„Jeżeli Anioł upadł i wyrokiem wiecznym
Skarany, jakże człowiek może być bezpiecznym?”**

Sąd ostateczny Yunga

W MIEŚCIE ENKHUYSEN NAD jeziorem Zuyder w Holandii mieszkał bogaty kupiec, właściciel wielu okrętów, nazwiskiem Jakub Hannsen.*

W czasie morskiej podróży jesiennej, w celu handlowym odbywanej, na Morzu Niemieckim napadła go burza i skołatane okręty ku brzegom Szkocji zagnała. Szczególnym tylko wypadkiem uratował się od rozbicia i wylądował pod siołem Seatown.

Cała okolica dzika, odległa, w górach leżące wioski, nie nastroczały sposobu ratunku, jeden tylko zamek Seton-House nad morzem, na nieprzystępnej skale zbudowany, był najbliższym mieszkalnym siedliskiem. Już Hannsen był pewnym, iż stanie się pastwą barbarzyńskiego prawa, którym podlegali rozbitkowie i - jeżeli nie więcej - utraci przynajmniej towary i okręta. Panem zamieszkującym zamek, na szczęście kupca, był Kosmopolita od miejsca tego mieszkania zwany w okolicy Setonem; ten z szlachetną ludzkością pospieszył na ratunek ludziom, przyjął ich w swoim zamku, okręty szybko naprawić kazał i Hannsena postawił w możności powrócenia do kraju, o czym ten ostatni już zupełnie wątpił. Ujmujące obejście się Kosmopolity, jego dobroć, napełniły wdzięcznością serce Holendra. Odjeżdżając zaklinał go, aby, jeśli kiedy na stały ląd przybędzie, nie omieszkał go odwiedzić w Holandii.

W parę miesięcy potem, kiedy już żegluga z przyczyny lodów dla wszystkich okrętów była zamknięta, Kosmopolita przybył do Enkhuisen i u zdziwionego i uradowanego Hannsena dni kilka zabawił.

Holender był jednym z rodzaju tych ludzi, którzy od młodości jedną ubitą postępując drogą, nie znając, co to jest namiętność, nigdy nie zboczyli; u których uczciwość stała się nałogiem. Uczucie obowiązku biernego jest u nich wyższym nad wszystko, dla obowiązku gotowi poświęcić majątek, szczęście, pomimo to jednak głuchymi są na wszelki głos serca, który nazywają chorobliwą czułością. Ten głośniejszy pocziwośći charakter Hannsena sprawił, iż odziedziczywszy znaczny majątek nadzwyczajnie go pomnożył, a co więcej, iż obok majątku obdarzony był powszechnym zaufaniem ziomeków. Pomimo to jednak kupiec, czcząc obowiązek jako swojego boga, nie uznawał innego. Niewiele on troszczył się, czy nad materią panuje jaka siła; nie badał nic, co za zakres jego zatrudnień wychodziło, a z wszelkich teorii wiary, miłości, nadziei, nie mających bezpośredniego zastosowania do dobrego bytu, śmiał się przed poufałymi. W rozmowie z Kosmopolitą, gdy był u niego, cały charakter i sposób myślenia rozwinął i gorąco powstawał na wszelkie urojenia, jak mówił, tych, którzy przyznają ludziom duszę i nieśmiertelność. Pocziwymi, mówił, powinniśmy być tutaj na ziemi, aby się

dobrze działało, a gdy śmierć podkreśli i zrobi bilans naszego żywota, ludzie sami zobaczą, jak kto był daleki bankructwa, nie potrzeba tu żadnej nieśmiertelności. Między innymi powstawał także na nauki kabalistyczne, na magię, astrologię i alchemię.

Kosmopolita przy odjeździe z domu kupca miał z nim tylko jedną rozmowę, w końcu której w jego oczach zamienił kawał ołowiu na złoto i oddał mu na pamiątkę. Po wyjeździe Kosmopolity, gdy cały wypadek rozgłosił się, przyjaciele i znajomi Hannsena, więcej jak nad przemianą metalu, dziwili się nad zmianą postępowania i życia kupca. Opowiadał, iż Kosmopolita tą jedną rozmową, której za żadne skarby świata powtórzyć by nie chciał, przekonał go, iż całe jego ubiegłe życie było jednym ciągłym pasmem bałwochwalstwa i niecnoty. Hannsen stał się odtąd milczącym, mistycznie pobożnym, powrócił do katolicyzmu, który porzucił, i oddalając się powoli od handlu oświadczył, iż gorliwie odprawi pokuty za dawniejsze zdania i czyny. Z nawrócenia swego nie robił żadnej tajemnicy i wszystkim o całym wypadku opowiadał.

Kosmopolita z Holandii udał się do Drezna. W owym czasie panował w Saksonii Chrystian II, elektor. Srogi charakter młodego księcia wiele jego czynów napiętnowanych podał historii. Ojciec jego, jak wielu innych panujących, wierzył w alchemię, z zapalem jej się poświęcał, znakomite wydając sumy na alchemików i doświadczenia alchemiczne. Syn śmiał się z namiętności ojca i razem z wstąpieniem jego na tron ogień w pracowniach zamkowych wygasł, a alchemicy wypędzeni i prześladowani zostali.

W takich stosunkach Sędziwoj przybył z Sztudgardu do Drezna, a w tymże samym czasie przyjechał i Hannsen, chcąc się jeszcze raz widzieć z Kosmopolitą. Bodenstein, ciągle włóczący się z Sędziwojem, a dla zamiarów swoich i poleceń Rogosza skrzętnie zawierając znajomości z cudzoziemcami, poznał Hannsena i dowiedział się od niego o pobycie Kosmopolity. Radość Bodensteina z tego zbiegu okoliczności była do nieopisania; wszystko spiknęło się na zgubę i poniżenie tych, ku którym piekielną pałał zawiścią. Zawiadomiony elektor przez Bodensteina wezwać kazał Hannsena i ten nie domyślając się, że działa na zgubę tego, którego najwyżej uwielbiał, wyznał wszystko. Wskutek tego Kosmopolita schwytywany został, lecz nie tylko nie zapierał się swej sztuki, ale ofiarował dać jej dowody w przytomności elektora. Po odbytych doświadczeniach elektor, widząc sam przemianę jakiegoś metalu na złoto, rozpalił się chciwością. Z początku pochlebstwami starano się wyłudzić tajemnicę, gdy to nie skutkowało, spodziewano się dostąpić okrucieństwem, czego chytrą dopiąć nie mogła.

Bodenstein, sprawca całej zdrady, obawiając się Sędziwoja zemsty, usunął się od niego, czując jakby i jego wtrącić w przepaść.

Arminia, żona Kosmopolity, nie była uwięzioną; nie pozwolono jej dzielić więzienia z mężem i Bodenstein radował się zawczasu, iż dawne jego marzenia jeszcze się spełnić mogą. Radość tę zachmurzyła tylko wiadomość, iż w dniu uwięzienia Kosmopolity Sędziwoj był w zamku u elektora i - jak wszędzie - nader łaskawie od niego przyjęty został.

* Hannsen, w roku 1601 zapędzony od burzy na brzegi Szkocji, doznał tam gościnnego przyjęcia od Setona zwanego Kosmopolitą. W następnym roku Seton odwiedził Hannsena w Enkhuysen.

VII. Ostatnie wezwanie

**„Duch sam sobie jest wszystkim, miejsca mu nie trzeba,
Sam sobie z piekła niebo, piekło robi z nieba.”**

Milona *Raj utracony*, Pieśń I

W CIEMNYM I OBSZERNYM podziemiu jednej z narożnych wież drezdeńskiego zaniku spoczywał na garści zbutwiałej słomy Kosmopolita. Dżban wody i kawał chleba, od kilku dni nie tknięte, leżały obok niego na wilgotnym kamieniu podłogi. Naprzeciw, wysoko, było małe okienko przedzielone dwoma żelaznymi sztabami, które na jasnym tle pogodnego nieba wydawały się jak czarny krzyż. Kilka gwiazd przesyłało drżące promiona obok tego znaku zbawienia do ponurego lochu. Już trzy dni po pierwszych torturach więzień spoczywał. Wszystko w mieście spało w głębokim milczeniu, do podziemia dolatywał tylko czasami odgłos warty.

Kosmopolita powstał, zbliżył się do okienka, patrzył długo w ubrylantowane gwiazdami niebo i utonął w myślach.

*

I dlaczego synowie światła nie okazują ci się? - Dlaczego współwyznawcy wielkiego bractwa głuchymi są na twoje wezwanie? - Kabalisto, czy czary twoje już są bezsilne? - Bledniejesz, serce twoje drży. Nie takim byłeś niegdyś, kiedy duchy światłości posłuszne były twoim rozkazom! Nie zioła to, nie czary, nie słowa tajemnicze, ale dusza rozkazuje dzieciom eteru, a dusza twoja ustąpiła swego berła miłości - miłości ziemskiej, której córką jest śmierć.

- O młody Chaldejczyku, pomimo niezliczonych wieków twego życia równie młody jak w owych czasach, kiedy nieczuły na piękność, nieczuły na rozkosze, słuchałeś na odwiecznej wieży ognia harmonią gwiazd nauczającą cię ostatnich tajemnic zwyciężających śmierć, a teraz boisz się śmierci? Nauka więc twoja jest kołem, która cię przywodzi do punktu, z któregoś wyszedł.

- Mistrze nie słuchają już twego głosu! - Synowie światła gwieździstego nie odwiedzają duszy, w której namiętności émią wzrok najczystszej myśli.

- Lecz jest jeszcze sposób! - Wahasz się?

*

Więzień odstał od okna w głąb więzienia i z wolna wyrzekł:

- Na potężne zaklęcie nieśmiertelnej sztuki, synowie światła, wyzywam was! - Zrzekam się władzy! - Po raz ostatni chcę widzieć was! - Choćbym upadł jak strącony anioł, wy, coście mnie tyle wieków wiedli wśród państw ciemności, nie możecie opuścić. - Na tej ziemi syn prochu, jednak nieśmiertelny, składam mą potęgę; w jej imię po raz ostatni wyzywam was, ozywajcie się!

Śród brzmienia oddalonych dźwięków w harmonijnych tonach, jakich ludzkie nie słyszało ucho, olbrzymie promiona rażącego blasku błysły w ciemnym lochu. Wszystko, co ziemskie, spłynęło sprzed oczu na falach światłości. Ściany więzienia cofnęły się w przestrzeń nieskończoną. A śród oceanu eteru wyskakiwały pojedynczo z zakątków ziemi postacie mędrców. Siedmdziesiąt i kilku ich tylko było.

- Com przepowiedział - ozwał się jeden głos - stało się; widzący, upadłeś!

- Tu obok ciebie, jednak tobie niewidzialny, spoczywa **wróg rodu** i czyha na swoją ofiarę, jeden krok cię od niego oddziela. Teraz już nie znasz siebie. Sam stanąłeś na granicy dwóch światów! Dzień ślubu twojego był dniem śmierci twojej chwały i siły!

- Gdybyś był niegdyś odłożył czas ostatniej inicjacji do najwyższych tajemnic, aż do pory, w której wiek późniejszy ostudzi serce, byłbyś uniknął upadku! Teraz z wieku w wiek żałować będziesz zuchwałej dumy, która cię natchnęła do prośby o zachowanie piękności i uczuć młodzieńczych z straszliwą wielkością nieśmiertelności!

- Nie będę żałować - rzekł mędrzec.

- Uniesienia radości, tęsknota smutku, które moim istnieniem kołysały, więcej warte niż tysiące lat życia mistrzów naszych. Nie kochając nic i niczego nienawidząc życie ich upływa jako jeden letarg ciągły.

- Lecz my spełniamy cel żywota - odparł głos - żyjąc badaniem prawdy i czcąc jej, każde posunięcie myśli napełnia rozkoszą nie znaną ludziom zwyczajnym, nieprzeliczone pasmo naszego życia. A twój cel, gdzież on jest teraz? Na co ci się cała mądrość przydała, kiedy nie mogłeś zbadać serca jednej prostej dziewczyny?

- Tak! - rzekł mędrzec. - Od pięciu tysięcy lat badam cuda stworzenia, a nie mogłem odkryć ani połowy tych, jakie zawiera jedno proste serce człowieka.

- Nie mogłeś jej natchnąć miłością, dla której gotów byś się zrzec klejnotu twego istnienia - nieśmiertelności!

- Mogłem ją natchnąć uczuciem podobnym do miłości - rzekł widzący - bo i cóż trudnego dla silnej woli, aby wszystkie jej myśli otoczyć jednym kołem, za którym by nic oprócz mnie i tylko mnie widziała? - Najprostszy z uczniów naszych zdołałby rzucić ten urok na duszę kobiety; lecz byłaby to miłość jakiej ja żądam? - Ja gardziłbym takim przywiązaniem. Chciałem, aby ona sama, całym ogniem czystej namiętności duszy przywiązała się do mnie, bo nie niewolnika, lecz równą sobie chciałem mieć kochankę.

- Zwyczajnych ludzi harmonia serc - rzekł Jeden z mistrzów - przed przybyciem ich na świat, jak dwa tony jednego akordu, już są dla siebie przeznaczone, lecz gdzież znajdziesz śmiertelną córkę prochu, która by odpowiedziała na twoje westchnienia! I oto teraz podziwiał twoje własne dzieło; chciałeś ją wybawić z ciężącego przekleństwa i sam zwałiłeś je na swoją głowę, chciałeś ją wyrwać z niebezpieczeństwa, a oto teraz opuszczoną los chwycił w żelazne szpony i wystawił na wszystkie napaści złośliwych... I nie możesz ani przewidywać, ani jej ratować... Nie bluźnij przeciw twej mądrości, bo przecie odwieczne jej prawa tajnymi ci nie były. Potęga mądrości ginie tam, gdzie się wmiejsza uczucie lub namiętność, zimna myśl traci władzę w przywiązaniu i wchodzeniu w zwyczajne ziemskie stosunki; i ty podpadłeś teraz prześladowaniom, które dawniej ze śmiechem uchylić umiałeś. A zapomniałeś, że zdradliwa miłość kobiety zwyczajnego nawet człowieka natchnie wyższym dążeniem, biedny! będzie mniemał, iż na anielskich skrzydłach do nieba uleci.

- A jeśli zawierzy jej spojrzeniu, musi potem samotny wznosić się w sfery, za którymi wzdycha, bo kochanka jego przykuta do ziemi - wyszydzi ogień, który wzniciła, albo go łzami swoimi zagasi!
- Lecz orzeł nie powinien naśladować krzątań się jaskółek ani miłosnych gruchań turkawki.
- Przypatrz się nieuchronnemu przekleństwu, które w ślad idzie za połączeniem się wzniosłej istoty ze zwyczajnym stworzeniem. Twojej natury ona nie pozna, poświęcenie będzie uważać za złe. Bo istota na najniższym szczeblu duchowym stojąca, w tym, który szczytu sięga, widzieć będzie czarownika lub szatana. I, biedny tytanie, czy masz jeszcze łzy?
- Nie na łzy, lecz na całą krew moją, synowie światła, zaklinam was! Nie dla mnie, lecz dla niej wskażcie ratunek, szczęście! - Żadna ofiara nie będzie mi trudną; powróćcie ją światu, obrońcie od zrad, które by ją w przepaść pociągnąć mogły.
- Bojaźń jest więzem łączącym człowieka z najgrubszą częścią ziemi, jego mieszkaniem, i przeszkadza mu się wnieść. Lecz ty czy nie zrozumiałeś, że kochać jest toż samo, co obawiać się? - Nie widzisz, że władza, którą się chlubisz, panowania nad wrogiem, już jest daleką od ciebie? Już on wpływa, usiłuje cię strachem napełnić, zwieść cię i wyszydzić!
- A teraz dwie są tylko drogi! Możesz zachować warunki odwiecznego twego bytu. Opuść miłość, rozłącz się z kochanką, niech los jej spełni się sam przez się. Uwolnij się z wszystkich więzów, które wzrok twój ćmią, od bojaźni, nadziei, żalu i z czystą myślą rzuć się w nasze objęcia!
- Albo jeżeli chcesz kilka chwil jej życia uszczęśliwić, wtedy pozbawiony władzy, jako zwyczajny człowiek, spełnij swój los. Tą pokutą oczyszczony prędzej przebędziesz drogę; i na chwilę odzyskasz władzę, ale zobaczymy się dopiero tam, gdzie już nigdy niepokoje ziemskiej dumy nie dochodzą...
- Lecz, aby się tam dostać, poznaj...
- Śmierć! - dokończył Chaldeczyk opuściwszy głowę, a promieniści synowie światła z nową harmonią na falach jasności rozplynęli się w eterze.

VIII. Tortury

„Jałowiec i cedr namaszczone olejem wolne są od robactwa i spróchnienia: podobnież dusza raz ożywiona Boskim tchnieniem nie podpada żadnemu tego świata zepsuciu.”

Pliniusz, ks. XVI, r. 40

WIĘZIENIE KOSMOPOLITY mocno było strzeżone; wszystkie pogłoski chodzące o nim nakazywały ostrożność. Przedsionek więzienia, będący razem kurdygardą, zapełniało czterdziestu żołnierzy z kapralem, umyślnie do pilnowania więźnia przeznaczonych.

Późno już było w nocy, na kominie trzeszczący palił się ogień, mały dobosz raz po raz starym rapierem w nim grzebał. Przed ogniem na wielkim krześle wygodnie, grzejąc się, siedział otyły wachmistrz z wyciągniętymi nogami, podciągając co chwila opadające cholewy obszernych butów ówczesnej mody.

Przy stole słabo oświetlonym od kagańca, na łańcuchu ze sklepienia zwieszono, porozpięriani wojacy grali w kości, inni patrzyli na grających lub zabawiali się rozmową, a wszystkim krążące kufle długi czas skracały. Ogorzałe twarze, potężne wąsy i brody, odbłysek płomienia odbity od żelaznych pancerzy i naramienników, stosowny tworzyły obraz do ich rozmów jaskrawych, przekleństwami kraszonych. A rozmowy wszystkie obracały się ciągle i wracały do jednego głównego przedmiotu, do więźnia, którego strzegli. Nie było zbrodni i czarów, których by mu nie przypisywano, a rozognione wyobraźnie trunkiem i tajemniczością otaczającą więźnia najdziwaczniejszym wierzyły powieściom. Opowiadania i kufle w najlepsze krążyły, gdy na kurytarzu zewnątrz dał się słyszeć odgłos zbliżających się ludzi. Otworzono podwoje, błysnęły pochodnie i całe wnętrze kurdygardy krwawym światłem olśniły; za pachółkami, niosącymi pochodnie postępowali panowie radni, sędziowie w togach i czarnych biretach, a w końcu kat w czerwonym płaszczu, z błyszczącym mieczem i oprawcami.

Cicho się zrobiło wśród żołnierzy, rozstąpili się na strony, a orszak postępował w milczeniu, jak szereg duchów udręczenia. Widok tych zimnych nieruchomych twarzy, posepnych ubiorów, a posepniejszych spojrzeń, uderzyły wojaków i ci, co z zimną krwią mordowali na polu bitwy, z dreszczem bojaźni patrzyli na sędziów; tak przerażającą była wtedy myśl wszelkiego sądowego badania. W głębi kurytarza łańcuchy, kłódki i drzwi żelazne zabrzęczały, otworzono więzienie, i odgłos kroków całego orszaku zginął w echu ciemnych sklepień lochu. Drzwi zatrzaśnięto i przez chwilę trwało milczenie pomiędzy strażą; gasnącego ognia na kominie i bledniejącego kagańca żaden nie poprawiał.

W pierwszym sklepie, czyli izbie sądowych badań, nikt się nie znajdował. Żadne okno nie oświecało tego przybytku jęków i męczarni. W głębi, między dwoma grubymi murowanymi filarami, stał stół pokryty czarnym suknem, na nim narzędzia do pisania, papiery, zwoje par-

gaminów, dzwonek, klepsydra i Chrystus na wielkim krzyżu; i tortury bowiem, w owych wiekach pobożności, odbywały się w imieniu Zbawiciela! - Na środku sklepu umieszczona była długa ława z dębowego bala, z obu końców opatrzona śrubami i rzemieniami do krępowania i rozciągania winowajcy. Czasami tak rozciągniętemu przez blaszany lej wlewano w usta znaczną ilość zimnej wody, co nadzwyczajnie miało sprawiać boleści.

Dalej na podłodze oparte były ciężkie dyby do zamykania nóg i prażenia ich powolnym ogniem węgla z podstawionej fajerki. Od sklepienia spuszczone były na bloku łańcuch żelazny z obrączkami na wielkie palce u rąk, za które męczonemu wieszano i smagano rozmaitego rodzaju biczami. Zresztą, aby opisać kształty i użytek wszelkich kleszczy, śrub, pasów, ławek i innych dziwnych narzędzi tortur, trzeba by zapytać się średniowiecznego kata (którego nauka była daleko trudniejszą jak dziś) o nazwiska i użytek wszystkiego, o stopień bólu, jaki działa. Procesa, wypadki, zeznania, wymuszone przez tortury nazwiska osób, to go wszystko nie zajmowało; dla niego ofiara jedna czy druga, wszystko było jedno. Lecz za to dobrze pamiętał, czy cierpiący cienkie i delikatne miał członki kobiece, czy muskularne i męskie nogi i ramiona; za którym obróceniem śruby wydał pierwszy jęk, za jaką torturą trzeba mu było nakładać na usta tak zwaną technicznie drewnianą gruszkę, aby zapobiec zbyt wrażliwemu. Ukazałby krwawe ślady i opisał, jakim sposobem ze złamanych lub rozgniecionych stawów krew trysnęła; a może wreszcie i westchnieniem wyliczyłby tych, którzy w czasie badania ducha wyzionęli. Wtedy dopiero można by dokładnie zrozumieć mechanizm tak zwanych rękawiczek, czyli śrub na ręce, butów, czyli śrub na nogi, lin do spowijania człowieka, drabek ze szpikowanym zajęcem, meklemberskich instrumentów, bamberskich narzędzi, manhecińskich kozłów, siarkowanych nici, lineburskich krzesel, obroży na szyję, pomorskich bandaży i wszystkich przyborów z kleszczami do owej okropnej hiszpańskiej ogniowej tortury, których sam widok zimnym dreszczem przejmował, gdy przy tercji, ukazywano obwinionemu narzędzia i tłumaczono ich użytek wzywając ostatecznie, aby się przyznał do winy.

Sędziowie zajęli siedzenia za stołem, pochodnie zatknięto w żelazne świeczniki przy słupach przybite; na stole zapalono lampy.

Jeden z radnych i pachołcy otworzyli wąskie drzwi właściwego więzienia i weszli do lochu. Przez okienko u góry księżyc rzucał ukośnie bladą wiązkę promion na kamienie, zresztą było ciemno.

Potrząśnięta pochodnia sypnęła gradem iskier i żywszym zajaśniała blaskiem. W głębi spoczywał więzień na słomie z rękoma założonymi na piersiach, oczyma zamkniętymi.

Przybliżyli się i radny rzekł:

- Setonie! po raz ostatni sąd zeszedł do twojego więzienia, w imię prawa, wstań i udaj się za mną!

- Chrystus tylko w imię swoje pozbawionym sił wstawać rozkazywał - rzekł więzień. Radny skinął, dwóch pomagaczy ujęli leżącego i zarzuciwszy mu na ramiona szeroki jego płaszcz wywiedli do pierwszej izby i posadzili w wielkim krześle przed stołem i sędziami.

Prezdujący przewrócił klepsydrę, brząknął w dzwonek i pisarz czytać począł.

- Setonie! oskarżony jesteś o czarodziejstwo, przepowiadanie nieszczęść kraju, wywoływanie umarłych, niepokojenie dusz chrześcijańskich, rzucanie na nie uroku, o związki ze złymi duchami i robienie za ich pomocą złota i lekarstwa na wszystkie choroby, zgoła o *crimina maleficia, falsi et perduellionis*.

Zeznania świadków są złożone. Prawo nie potępiając cię ostatecznie dozwala jeszcze obrony. Przed tym wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, na świętej Ewangelii, wyprzysięgnij się błędów, wyjaw swoje nieczne praktyki, a szczególnie robotę złota. Tak chce mieć prawo i wola J.X.M. Elektora, miłościwie nam panującego, jako słusznie jest. A łaski spodziewaj się tylko oczyszczeni sumienie.

- Sumienie! - rzekł Kosmopolita - jest to kwiat, który się rozwija dla jasnych promion słońca i głosu przekonania, a zamyka na gwałt i burzę, sumienie Bogu tylko zdaje rachunek!

- Trwasz więc w uporze? - zapytał prezydujący. - Pamiętaj, iż upór tylko ci śmierć haniebną przyspieszyć może, gdy wyznaniem zbawisz siebie, zyskasz łaskę i chwałę. Pierwsze godności mogą cię jeszcze oczekiwać.

- Kto pracuje dla prawdy - rzekł zapytany - ten nie dba o chwałę, a gardzi łaską.

- Po trzeci więc raz zapytuję cię, czy nie wyjawisz zbrodni?

- Zaiste - odparł Kosmopolita - nawet nie wiem, o co mnie oskarżono.

- Przystąpić do badań - odezwał się sędzia. - Jeszcze raz przeczytać ważniejsze zeznania świadków. - Pisarz rozwinął arkusz i czytać począł.

- Aleksandrze Setonie, zwykle zwany Kosmopolitą, to jest obywatelem świata całego, czyli nie mającym ojczyzny, więc tułaczem, a zatem podlegającym wszystkim prawom, świadczą przeciw tobie *ad primum*: iż wielokrotnie robiłeś złoto z podłych metali, zmieniając je za pomocą pewnego czerwonego proszku, zwanego *lapis philosophorum*, co bez pomocy złego ducha dzieć się nie mogło. Mianowicie Jakub Hannsen, poważany niegdyś i bogaty kupiec holenderski, za sprawami handlowymi przybył do Drezna, w poufalej rozmowie z Adamem Bodenstein, lekarzem i profesorem Akademii w Bazylei, przyznał się, iż rzeczony Kosmopolita w domu jego z ołowiu robił czyste złoto. Rozmowę tę słysząc świadkowie i rzeczony Bodenstein zaprzysięgli, dodając nawet, iż poczciwy niegdyś i poważny kupiec, Jakub Hannsen, oczarowany przez ciebie został.

- Wspomniony znakomity lekarz Bodenstein, uczeń i ziomek wielkiego Paracelsa, znając cię w Bazylei miał sposobność poznać wiele twych bezbożnych praktyk, i teraz wiernie służąc nam, został delatorem twoim, aby złe nie rozpościerało się dalej po świecie.

- Jako *corpus delicti* oto jest złożony ów kawałek złota zamienionego z ołowiu, na którym własną ręką wyryłeś: „przeistoczenie w złoto, dnia 28 grudnia 1605 r. o godzinie czwartej po południu.” *

Dzwonek brzęknął, pisarz zamilkł, sędzia zapytał się:

- Setonie, poznajesz to złoto, czy ty je robiłeś?

- Za pomocą Najwyższego okazałem tajemną siłę natury, aby przekonać niewierzącego; tak jest, ja to złoto przemieniłem.

- Zapisać zeznanie - rzekł sędzia. Pisarz dalej czytać począł.

- Rok temu minął, kiedy doktor Zwinger z Bazylei płynąc na statku poznał się z jakimś człowiekiem, który się sam nazywał Kosmopolitą. W czasie podróży rozmawiając z nim zaprzeczał możliwości robienia złota. Kosmopolita, skoro tylko przybyli do Bazylei, odwiedził doktora Zwinger, przypomniał mu rozmowę i zaprosił go do któregoś złotnika; tu przy wielu świadkach nie dowierzających i pilnie wszystkiemu przypatrujących się zamienił kawał cyny na złoto. Ze złota tego u tegoż złotnika wybić kazał trzy medale, z których tu jeden złożony nam został.

Sędzia wyjął z małego jedwabnego woreczka złoty medal **, na którym był następujący napis:

O tu A et ? Vitae

Spes es

Post mortem ? revificatio

O unicus Amor Dei

In trinitate

Miserere Mei

In Aeternitate.

Per fit

Lapis Philosophorum.

- i okazując go oskarżonemu zapytał:

- Czy poznajesz ten medal?

- Poznają i nie zaprzeczam - odrzekł więzień. Pisarz znowu czytać począł.

- Piotr Schwerbauch, poczciwy mieszczanin miasta Drezna i właściciel gospody Pod Zielonym Lisem, zeznaje, co następuje: Dnia 15 stycznia 1606 r. zajechał do niego drogą od północy podróżny jakiś człowiek, nazywający się Kosmopolitą, i na dolnym piętrze zajął kilka komnat od podwórza. Ludzie uważali, iż wprowadził ze sobą obcą istotę okrytą zasłoną i od tego czasu nikt jej nie widział. Mieszkanie zawsze i ciągle szczelnie było zamknięte. W nocy często czerwone światło, śpiewy, muzyka, arfy, przy tym jakieś dziwne głosy słyszeć się dały, z czego wszystkiego o nienaturalnym porządku rzeczy w mieszkaniu wnosić można było. Doktor Bodenstein, przychodzący kilka razy do szynkowni naprzeciw będącej, ostrzegał ludzi, aby się mieli na baczności przed czarnoksiężnikiem, o którym wiele opowiadał. Razu jednego, w czasie nieobecności Kosmopolity dwóch czeladników kowalskich postanowiło się wieczorem dostać do jego pomieszkania, przekonać się o czarodziejstwie i wreszcie złowić samego Kosmopolitę. Gorliwy Bodenstein urządził wszystko arcyroztropnie i z wielu bawiącymi oczekiwał skutku w karczmie.

- Późno już było i drzwi główne były zawarte. Czeladnicy wyszli, aby spełnić swój zamiar. Gdy jednak więcej jak godzina minęła, i ci nie powracali, sam gospodarz, doktor i kilku obcych, ze światłem w rękę udali się na kurytarz wiodący do mieszkania Kosmopolity; lecz jakież było ich zadziwienie, gdy obu czeladników znaleźli przed drzwiami leżących bez przytomności. Długo ich trzeźwiono, zaledwo nad ranem przyszli do siebie. Opowiadali, iż za dotknięciem się drzwi, tajemna jakaś siła powaliła ich o ziemię. Doktor Bodenstein, znający się na rzeczy, oświadczył, iż obaj czeladnicy siłą nieczystego ducha o niemoc przyprawieni zostali. Jeden z nich nawet kilka dni był nieprzytomnym sobie. Kosmopolita nad ranem dopiero wrócił do domu i przez całą noc się w nim nie znajdował; prawny to więc dowód, iż mieszkania jego szatan strzeże. Te i tym podobne wydarzenia, jako też i krążące wieści, sprawiły, iż ludzie od szynkowni Pod Zielonym Lisem zaczęli się oddalać, to spowodowało poczciwego gospodarza Schwerbaucha, iż usiłował pozbyć się tajemniczego gościa, lecz na próżno. Ile razy wspominał mu o wyprowadzeniu się, Kosmopolita zmuszał gospodarza do milczenia, darząc go obficie złotymi pieniędzmi, co z wielkim zadziwieniem Schwerbaucha kilka razy miało miejsce.

- Setonie! - zapytał sędzia - czy zaprzeczasz tym okropnym zeznaniom i co rzekniesz na obronę?

- Wszystko powiedziałem - rzekł więzień - wiecie sami, w czym jest prawda.

- Pominąwszy twoje zbrodnie, niezłomnym słowem przyrzekamy ci łaskę i przebaczenie, pod warunkiem, abyś wyjawiał tajemnicę robienia złota i przyrządzania proszku czerwonego...

- Nierozsądni! - rzekł brzęącym głosem Kosmopolita, prostując się i powstając z siedzenia, a oczy jego nowym zajaśniały ogniem - żądacie tego, co nie jest w sile człowieka! Żądacie, aby na wasze prawne paragrafy zakłęcie, wysoka palma schyliła swój wierzchołek, abyście bez pracy z jej korony zerwali owoc; tego ani ja, ani wielki mistrz nauczyć was nie zdoła. Bo i któż by chciał niebieskie tajemnice bezkarnie rzucać w brudne błoto ziemi!

- Setonie - rzekł znowu sędzia - wspomnij na *Malleus maleficarum* ***, straszliwa kara czeka fałszerzy i czarowników!

Obwiniony po chwili milczenia z najwyższą niechęcią odezwał się:

- Słowa! czcze słowa, chociażbym je objawił, czegoż was nauczą! Nędzny przepis, formuła do łamania myśli, paraliżowania cierpliwości, gdy jej ducha nie pojmiecie! A wtedy dmuchaj na węgle, praż całe lata w tyglach, a zamiast ożywczego blasku kamienia mędrców tylko popiół i pot własny, i wściekłość omylonej nadziei zbierać będziesz! - O, prawda! święta prawda, że człowiek silną wiarą w odwieczną przyczynę związany z wyższą, boską naturą do większych jeszcze zdolny cudów. I nie za pomocą złych duchów, ale za pomocą Boga, którego bałwochwalcy nie znając znieważają wyzwaniem jego imienia! Modlitwa i głębokie, pobożne wejrzenie w dzieła Twórcy, stanowią człowieka namiestnikiem tego Boga na ziemi. **** Ale nie kilka wyrazów bez myśli, plugawymi ustami wyrzeczonych, stanowią modlitwę! Bo szklanny wzrok w modlitwie, a nawet szuka zysku i zapłaty, naczynia egoizmu, są posłańcami szatana! - A jeżeli kto chce siłą żywego słowa, zwycięską i twórczą władzą panować nad tworam, niechaj rani togi, birety, niech zdepcze własną pychę, oczyści się z brudnych żądź chciwości, która kała jego serce; niech zwalczy własnych szatanów, którzy w duszy jego założyli swoją stolicę, a potem... A potem pod sklepieniem Wielkiego Boga jedno spojrzenie na wschodzące słońce, jeden widok porządku gwiazd, więcej go nauczy niż cała magia, z czystością duszy wyczyta sam te tajemnice, których tu żadne męczarnie nie wymogą ze mnie.

Prezydujący w czasie tej mowy zbledniał i nie mógł wytrzymać wzroku alchemika, skinął na kata, przewrócono klepsydrę i dano znak do tortur.

Kat zbliżył się do stołu i zapytał o coś sędziego z cicha.

- Nie oszczędzać - odparł sędzia - to ostatni sposób, dziś ostatnia tortura, niech skona, inaczej nie wytłumaczemy uporu. A wreszcie - dodał głośniejszym głosem odwracając się do radnych - słyszeliście, iż kazał się modlić do gwiazd i słońca, i deptać oznaki naszych dostojeństw, a tak jawnie okazał, że jest czarownikiem i bałwochwalcą.

Pachołcy ujęli znowu Kosmopolitę, rozciągnęli go na wznak na ławie tortur, twarde rzemienie skrepowywały pięście i stopy obwinionego, pokręcane śruby skrzypnęły, ciało jego jak struna wyciągnięte zostało. Już krew zza paznokci sączyła się kroplami, a jeszcze żaden jęk, najmniejszy głos nie zdradził bólu męczzonego. Sędzia rozpoczął pytania, lecz obwiniony najgłębsze zachował milczenie. Dano znak i coraz mocniej rozciągać członki jego zaczęto. Trzask stawów tylko i wyprężenie się rzemieni było słychać, a oddech jego cichy, spokojny, oczy zamknięte, na twarzy żadnego śladu cierpienia.

Raptownie oblano go zimną wodą dla zwiększenia drażliwości i cicho tylko dało się słyszeć westchnienie, pot kroplami okrył mu czoło. Na powtarzane zapytania przytłumionym głosem w nieznanym począł mówić języku. Strach przeszedł przytomnych.

Kat obwinął ciało więźnia szerokim, jak skóra jeżowa kolcami nabitym, pasem i ścisnął sprzączki pasa razem z pomocnikami, opierając nogi o ławę tortur. Twarz więźnia, dotąd bla-

da, zamieniła się; krwią nabiegłe żyły wystąpiły na czoło, oczy otworzył konwulsyjnie, szeroko, i głosem jak rozbitego dzwonu wolno począł mówić:

- Męczennicy prawdy, w jej święte unię wyzywam was, wspierajcie mnie!

- Jakubie Molay! przez krzywoprzysięstwo i płomień, co pożarł szpik kości twych, natchnij mnie!

- Hussie, zdradzony! przez męki i nie ugaszoną twą zemstę, wesprzej mnie!

- Hieronimie Pragski! wolnym smażony ogniem, za miłość braci, wyzywam cię!

- Galileuszu! potęgo rozumna, przez szyderstwo klątwy tej wspieraj mnie!

- Torkwacie Tassie! za ukazanie piękności ducha ukarany więzieniem i obłąkaniem, wzmocnij mnie!

- Kolumbie! za nowy świat darowany staremu, okuty w kajdany i zapomniany, wyzywam cię! Głos jego coraz słabnął, zamienił się wreszcie znowu w nieznanym języku ciche mruczenie, jakby entuzjasta zakończył cichą modlitwę.

Na koniec zamilkł zupełnie i wszyscy mniemali, że już skonał. Z klepsydry też wysypał się wszystek piasek, to jest upłynęła godzina, a dobroczynne prawo nie dozwalało dłużej nad godzinę torturować.

Kat z pomagaczami zdjął obwinionego z tortur i nacieraniem przywracano rozciągniętym i pokaleczonym członkom naturalny ich kształt. Stary oprawca z zadziwieniem zawołał:

- On żyje! Dwadzieścia lat już tu pełnię służbę i nie dziesięciu ani dwudziestu ludzi przeszło przez moje ręce, a żaden jeszcze z tej ławy po takim traktowaniu nie zeszedł żywy! To chyba nie ludzka dusza w tym człowieku!...

Męczony zaczął głęboko oddychać, obejrzał się, jak człowiek ze snu przebudzony, poruszał rękami i nogami, jakby ich doświadczał; odrzucił wstrząśnieniem głowy długie zwoje włosów spadających mu na oczy. Sędziowie wstali chcąc się oddalić, wtedy i on powstał; postąpił pewnym krokiem ku nim i głośno, spokojnym, rozkazującym tonem zawołał do prezydującego:

- Stójcie! Jeszcze nie koniec!

Sędziowie spojrzeli się, wzrok jego przykuł ich do miejsca, usiedli.

Kat nawet i siepacze nie śmieli czy nie mogli się poruszyć.

Pochodnie rozpalone w żelaznych świecznikach dziwnym, nienaturalnym blaskiem oświecały posępne twarze sądzących. Zmarszczki na ich czołach wydawały się jakby kreski wyrokami śmierci znaczone, z oczu ich patrzył jeden tylko wyraz: potępienie.

A wierzyć byś musiał, iż postaci podobnych, w czarne togi owiniętych, oddychających tylko powietrzem więzień, przy słońcu niepodobna by było znaleźć, ich widok każdego by mógł przerazić, a teraz na nich widomie strach wycisnął odrażające swoje piętno. Pomieszanie odbiło się wyraźnie, gdy Kosmopolita, blady, lecz pełen szlachetnej powagi i uderzającej tym kontrastem piękności, przystąpił i rzekł:

- Mojemu życiu tortury miały koniec położyć, chociażbym wydał tajemnicę! I wy mieliście ją dla siebie tylko zachować, a tym podwójnym podejściem chcieliście uniknąć kary. Lecz bądźcie spokojni! Nie do mnie należy kara, która was nie minie.

- Powiedzcie tylko teraz, co by było, gdyby wszystkie żądze niegodnych spełniały się na ziemi? Co by było, gdybym dla spełnienia tych żądz, sam podał im w ręce wszechmocne złoto i nadludzką potęgę?

- Połowa świata wymordowałaby drugą połowę, aby rozpostrzeć na gruzach panowanie złych. Ale tak nie jest, nie każdy może rozkazywać, bo do rozkazywania trzeba mieć serce czyste!

Skazując na palącą się pochodnię rzekł dalej:

- Patrzcie; jedno słowo: zgaśnij! I oto płomień posłuszny uleci!

Sędziowie przerażeni cofnęli się i powstali z siedzeń, bo w istocie, razem ze słowami Kosmopolity pochodnia zbladła, płomień jej oderwał się od rozżarzonych knotów i znikł w powietrzu, a za chwilę i dym sączący się wąskim strumieniem ustał. Więzień znowu się odezwał:

- Ale tej władzy nie nauczy żadna recepta ani wymogą tortury! Dzięki chciwości, przez te męczarnie odzyskałem to, com był bliski utracenia.

- A teraz idźcie i powiedzcie temu, który was przysłał, że gdyby serce moje równie było skalaniane żądzą, żaden z was już by światła słońca nie oglądał; bo łatwiej jest zgasić duch ożywiający człowieka, jak rozkazywać tej pochodni. Ale wola prawdziwego mędrca jest niepodległa, jak Bóg, co ją stworzył!

Słuchający nie przyszedli jeszcze do siebie z podziwienia i przestachu; Kosmopolita wszedł do swojego ciemnego więzienia. A w owej chwili podobny był raczej do wspaniałomyślnego przebaczonego winnym jak do obwinionego więźnia.

* Na zlocie tym był napis zrobiony śpilką: „15 marca 1602, godzina 4 po południu.”

Wnuk lekarza van der Linden, przyjaciela Hannsena, Johann Antonius van der Linden, żyjący około 50 lat po tym wypadku, opowiadał całą historię przemiany i razem ów kawałek złota okazywał Morhofowi, na którego powieści polega większa część wiadomości o życiu Kosmopolity. *D. G. Morbofii de transmutatione metallorum epistola ad Langelottum*. p. 148 sq.

** W roku 1704 przyszedł do złotnika Jerzego Stolle w Lipsku jakiś cudzoziemiec i po niedługiej rozmowie o złotnictwie, o emaliach i innych produktach sztuki, okazał mu doświadczenie; doświadczeniem tym była zamiana ołowiu na złoto. Z owego złota przyniesionymi dwoma stemplami wybić kazał kilka medali z przytoczonym w tekście napisem. Jeden z nich dostał się do gabinetu medali Augusta II, króla polskiego, drugi znajdował się w Gota w zbiorze numizmatów.

*** W roku 1484 bulla papieża Innocentego VIII urzędownie wprowadziła do Niemiec procesa przeciwko czarownicom i czarodziejom. Roku 1489 ogłoszono kodeks karny i sposób postępowania prawnego w procesach wytaczanych czarownikom, pod tytułem *Malleus maleficarum (Młot na czarownice)*, do kodeksu tego w kilkaset jeszcze lat później w tych barbarzyńskich sprawach odwoływano się.

**** Nie od rzeczy tutaj może będzie cokolwiek bliższego powiedzieć o magii, nauce niegdyś zupełnie systematycznej, wypływającej i stokrotnie splątanej z filozofią neoplatońską i mitami Wschodu.

Maja, odwieczna matka wszechrzeczy i miłości, w pięknych mitach pierwotnej poezji była zarazem boginią złudzenia i fałszu. W tym źródłowym pochodzeniu pokrewne było znaczenie nauki magii. Ojcem magizmu, wedle zdania Heraklita, był ów ojciec walki i pierwopoczątek wszechrzeczy, kiedy się walka zapaliła między światłem a cieniem. Walczącymi, podług nauk wschodnich, byli Ormuzd i Ahriman.

Z tej walki wyszedł cały szereg skończonych istot, cały świat zmysłowy, ale zawsze naprzeciw światła stawał cień. Ormuzd utworzył 24 błogosławiących Izędów - Ahriman 24 szkodliwych Dewsów. Są to dnie i nocy: one ciągle walczą i sam czas powstaje z tej walki. Nic uszło przed okiem głębokich badaczy starożytności, jak wiele zależy od wpływu czasu. Zwierzęta dzikie w pewnych się tylko porach łączą i płodzą. Ze zmianą czasu ich parzenia się z wolna się zmienia ich natura; tym sposobem może z wilka powstał pies lub tp.

I to było początkiem uważania wpływu gwiazd. Jedną gałęzią astrologii.

Człowiek, twierdzili wyznawcy magizmu, z pomocą i w ścisłym związku z swoim wyższym i boskim początkiem, w sobie i zewnątrz siebie, zdolny jest do wyższej działalności, która go może zrobić panem swej własnej i zewnętrznej natury. Uzbrojeniem takiego mędrca jest jedynie modlitwa. Modlitwą i siłą żywego słowa może mędrzec wpływać na zebrane regiony wyższej i niższej natury z rozwiązującą i zmuszającą siłą; bez tego uzbrojenia, którego prawdziwy mędrzec nigdy nie zrzuca, nic nie zdoła; z nim - pomaga ojcowskiemu państwu pokonywać ciemność i stać się ratującym i błogosławionym obrońcą czasów i ludów. - W tym to duchu późniejsi esejcyzy pozdrawiali gwiazdę dzienną; w tym duchu Pitagoras był magiem. Jeżeli więc wszystkie rzeczy doczesne zostają pod wpływem tych błogosławiących Izędów i szkodliwych Dewsów, utrzymujących i niszczących siły przyrody, pod wpływem czasu i gwiazd, więc człowiek potrzebuje tylko sam opanować swoje demony i siły, aby za ich pomocą wpływ wywierał na rzeczy pod ich władzą stojące. W tym znaczeniu nauka o demonach, których człowiek używać może, od najdawniejszych czasów z magią była w związku.

Dziwna rzecz, jak ludzie mogli czasami o ich bytności wątpić! Od ziarnka piasku aż do skał granitowych, od drobnej, ledwo okiem dojrzanej, pleśni aż do niebotycznych palm, od żyjątko z kropli wody, które ją uważa za ocean, aż do człowieka, nigdzie, w całej naturze nic ma przerwy. Wszystko mądrym, odwiecznym wiąże się łańcuchem, a miałaby przestrzeń bez końca za ziemią do gwiazd być martwa - nie zaludniona żadnym życiem?

Miałaby ten łańcuch urywać się na człowieku i do Bóstwa żadnego nie mieć pośrednika?

Nie zaiste! Najmniejszego punktu w całym wszechświecie nie ma pustego, który by nic miał swojego mieszkańca. Cała przestrzeń jest zaludniona, lecz dobroczynny, przewidujący odwieczny porządek (tak twierdzili magowie) zmysły nasze w ten

sposób urządził, iż zarówno jak woda zdaje nam się czysta, chociaż w niej miliony pływa potworów, tak w powietrzu nie widzimy postaci, które na nas wywierają wpływ, a których przytomności ani widoku, ani nasz wzrok, ani słaba natura znieść by nie zdołały. Doświadczeni tylko silną naturą i wolą widzą i panują nad mieszkańcami przestrzeni.

Ponieważ w starożytnej nauce magizmu wszystko zasadza się na walce przyjaznych i przeciwnych sobie sił, najważniejszą więc dla prawdziwego maga jest rzeczą poznanie owych wzajemnych skłonności i odrazy: praw miłości i nienawiści. Tak każdy ton pobudza do brzmienia tylko oktawy i pokrewne mu tony, tak każde działanie natury wskutek powszechnego tego prawa wywołuje pomocnicze powinowate sobie lub nieprzyjazne siły.

Za pomocą tych więc praw skłonności i odrazy działa mędrzec na całą wewnętrzną i zewnętrzną naturę. Pierwiastkowi dlatego magowie byli lekarzami. Sztukę zdobycia wiecznej młodości uważali jedynie za najwyższą znajomość sztuki lekarskiej; według nich była to tylko walka ze śmiercią i przedłużanie życia do nieskończoności.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, iż dokładna znajomość własności ciała pozwala nieraz wpływać nawet na wolę człowieka. Dym z nasienia cykuty pobudza najskromniejszego człowieka do gwałtownej kłótni, podobnie jak dziędzierzawa do miłości zmysłowej itp. Dlatego to samo życie mędrca nie jest obojętne. Post, wyrzeczenie się wielu rzeczy są mu koniecznymi.

Nic się nie dzieje cudami, mówią magowie; cuda nie są w ręku ludzkich, i Bóg dla jednego człowieka odwiecznego swego porządku nie odmieni, ale wszystkie cuda są Boskim zrozumieniem natury, wcieleniem się do porządku wszechświata, zwalczaniem mocy przeciwnych i własnej natury.

Z tej samej nauki zarazem wypływało proroctwo. Spoglądanie w przyszłość i zakrytą przeszłość zawisło od owych wyższych działających sił, których działanie tworzyło byt i los tegoż świata, a poznanie ich było jasnowiedzeniem.

Tak więc ostatecznie prawdziwy mędrzec obznajmiony z owym działaniem sił przyrody, które jakby harmonijne tony wszystkie struny pokrewne we wnętrzu otaczającej natury porusza, staje się władcą i panem nadludzkiej przyrody i jak Orfeusz czarodziejską melodią, tak on siłą żywego słowa wszystko do swej służby zagnał.

IX. Uczeń i Mistrz

**„Piękność i prawda! te nie zewnątrz ciebie,
tam głupiec ich szuka; one w tobie są samym,
ty wiecznie z siebie je snujesz.”**

Schiller

**„A Piotr rzeki do niego: Pieniądze twe niech z tobą będą na zginienie: żeś mniemał,
iżby dar Boży miał być za pieniądze nabywany.”**

Dzieje Apostol., r. VIII, w. 20

TEJ SAMEJ JESZCZE NOCY NAD ranem rozmarzeni trunkiem żołnierze, obficie dostarczanym przez sądowego pisarza, rozstąpili się przed Sędziwojem, któremu piśmienny rozkaz elektora o każdej porze dozwalał przystępu do więzienia.

Niewielki przeciąg czasu, a jakaż ogromna zmiana w jego jestestwie! wzburzonej jego duszy, gdy przestępował próg więzienia, zdawało się, że idzie na rusztowanie, obojętny czy ułaskawionym będzie.

Drzwi za sobą zamknął, postawił lampę na stole, spojrział dokoła, i widok nowy narzędzi tortur ze śladami krwi, jakby jęki do tego przybytku niedoli przyłgnęły, nie zrobiły na nim wrażenia.

Wtem samo więzienie otworzyło się i Kosmopolita stanął na progu.

Taż sama w nim majestatyczna powaga, niezachwiana spokojność, pogoda oblicza, niezmienniony, jakby go wczoraj ostatni raz widział: a wtedy, gdy wspomniał, ile na nim czas ten wywarł wpływu, boleśnie westchnął, i wszystkie zgryzoty zamienione w wyrzut zwalić chciał na mędrca - ale niewzruszoność jego zamykała mu usta.

Po chwili dopiero milczenia zdołał się do niego odezwać.

- W takimże to miejscu spodziewałem się oglądać cię, mistrzu! Naznaczony czas próby już dla mnie upłynął. Kamień mędrców z grobu Tholdena roztrwoiłem; nic mi go już nie zostało! - Przez cały ten straszliwie wlokący się przeciąg czasu szukałem cię wszędzie i na próżno. Co mnie się nie udało, zdrada i zemsta tego dokazały; Bodenstein wynalazł cię, aby wtrącić do więzienia. Dla dostania się tutaj sprzedałem ostatnią moją własność, dom w Krakowie; musiałem unżyć własną pychę, i dotąd uchodząc za adepta musiałem wyznać elektorowi, iż jestem przywłaszczycielem; że ty ofiarowałeś mi ten zgubny dar; musiałem spodlić się podstępem, obiecując wyłudzić z ciebie tę tajemnicę. Pod tym tylko pozorem otworzono mi drzwi tego lochu. Warta upojona, wszystko przygotowane, Arminia czeka cię, mistrzu! za wszystkie udęczenia, któreś na duszę moją zwalił, przyszedłem, aby cię uwolnić!

- I przyszedłeś, aby w końcu żądać nagrody?

- W tej chwili nie pytam o nagrodę, nie żądam nic, tylko mi powróć własność moją - pokój duszy, który mi wydarłeś! Wróc mnie do ciemnego nieznanego stanu, z któregoś mnie wyciągnął, powróć wiarę w miłość ludzkości, dawne moje istnienie!
- Czy przed wymówieniem tych słów wspomniałeś na przestrogi dawane ci w celu odciągnięcia od zawodu, w który lekkomyślnie rzucić się chciałeś?
- Teraz - rzekł Sędziwoj - pamiętam tylko, czym byłem, a czym się stałem. Pamiętam, iż ty wtrąciłeś mnie w przepaść, nie opuszczę cię, dopóki mnie nie wyzwolisz! Przeklęte! niech będzie przeklęte złoto, którym władałem, ono mi życie w jedną ciągłą torturę zmieniło! Bo ta straszliwa postać, na której wspomnienie krew w moich żyłach krzepnie, jest jego okropnym stróżem.
- Żaden język niezdolny wypowiedzieć przestachu i męczarni, które mi sprawia ukazywanie się tego ducha **wroga rodu** ludzkiego.
- W szalonej rozpuście, w którą się rzucałem, aby uniknąć jego prześladowań, w ucztach bachanalskich albo w letargu zwierzęcego istnienia, potwór nie ukazywał mi się. Jego podszept, głos, boleśniej od ostrza sztyletu przenikający, zdradziecka mowa, zachęcająca do najokropniejszych zbrodni w sposób kuszący, niepodobny do powtórzenia, w czasie tego zmysłowego życia nie dawały mi się słyszeć.
- Lecz za każdą razą, kiedy umysł do wyższych skierowałem przedmiotów, kiedy sumienie wyrzucało mi niegodne moje życie, kiedy wspomnienia młodzieńcze budziły szlachetną dumę, jeżeli czytając przykłady cnoty, mądrości, poświęcenia, serce moje żywiej uderzyło, wtedy jakby czarodziejska laska wywoływała widziadło! - Gdy jedna myśl szlachetna odosobniła mnie na chwilę od samolubnego tłumu, gdy sam chcę się od niego oderwać, wtedy straszny, nieopisany wróg staje przede mną widomy! - W dzień zaśłania mi światło słońca, w nocy czarniejszy jest od ciemności. Olbrzymie jego sploty ciasnymi kręgi otaczają miejsce, w którym stoję; bliski straszego końca oddech zamiera mi w piersi, serce bić przestaje, wtedy czuję, iż jestem od całej ludzkości odosobniony, a w tej okropnej samotności, przykuta zabójczym wzrokiem wroga, dusza moja upada.
- A tak, bojąc się myśli własnych, brnąłem coraz dalej, nie wiedząc czym dzień śmiertelnie długi zapełnić, czym noc straszliwą odegnać.
- Dawniej, gdy boleść nieznaną słabe serce przygniotła, gdy żądze niepewne całym czuciem miotały, wtedy dusza w wyrazy rozplywała się ze łzami i myśli krociami, jak pajak, sam z siebie snułem, otoczony mamideł siatkami, wisiałem w przestrzeni samotny, żalony, ale spokojny i nie bez nadziei.
- Sam w sercu tysiączne rozmowy ze sobą powiodłem i ludno mi było tak w duszy, i boleść tak wzmocnić zdołałem, iż w kaskadach dobroczynnych łez spływała. Słabe serce nabrzmiało tęsknotą, wezbrało, wylało, a ulga rozkoszna, nadzieja, wstąpiła do niego, uspiła znarowione dziecko, i na łzawych promionach wprost z oczu, z aniołem mym stróżem do nieba się wzniosłem!...
- Ale dziś - ach jakże odmiennie! Stróż anioł mnie opuścił, źródła łez już wyschły, i serce czczy, znudzone, i dusza ociężała, a myśli to jak pleśń przyrosły, jak szron na krzewach przy-marzły, ogień uczuć już wygasł, roztopić ich nie zdołał.
- Nudno tylko i tęskno! niechęć i wzgarda, do wszystkiego żelaznymi mnie skrępowały łańcuchy.
- A jednakże całą siłę przywoływałem i chciałem robić dobrze i tylko dobrze. Ale wszystko, czego się dotknął, nie powodziło się. Najszlachetniejsze zamiary wieńczyły skutki nikczemne.

- Brzydząc się moim złotem, jak ofiarą szatana, do której przylega przekleństwo, szukałem w świecie rzeczy, której by kupić nie można - i nie znalazłem! - Przyjaźń! Miłość! Sława! wszystko było towarem, czczą nazwą bez wartości.

- Tylko jeden pokój duszy coraz był dalszy ode mnie; żadne złoto opłacić go nie może.

- Gdy pod wpływem strasznego wroga nie znane niegdyś żądze, o których nie marzyłem, budziły mnie do działania, wtedy biegłem w świat, szukając coraz nowych wrażeń. Chciałem od razu wyczerpnąć całe doświadczenie życia i powaby wszystkiego, zaledwom się dotknął, znikwały; znikwały razem z trudnością dostania ich.

- I za każdą razą myślałem tylko, gdzie się podziały dawne marzenia, dawne młodzieńcze ułudy; czyż więc jedynie dla nieśmiertelnych, dla tych, dla których czas stoi nieruchomy, jest stworzone szczęście.

- Adela! O! szalona myśli! którą odkupiłem za wagę złota, znudziła mnie we trzy dni! Ów niegdyś anioł stał się zwyczajną kobietą! Piękność jej nawet, ubóstwiana niegdyś, zdała mi się wypłóviałym listkiem róży, którego barwy domyślać się trzeba; aby ją z oczu usunąć, darowałem na powrót mężowi, ten przyjął ją, jakby nową małżonkę z nowym posagiem.

- Zgoła, skromność obdarzona pieniędzmi stawała się chciwością, cnota zbrodnią, niewinność bezwstydem, a każdy krok mój napiętnowany był jednym bolesnym wspomnieniem zatartej ułudy.

- I włóczę się z tymi myślami, które - jak przekleństwo Kaima - pędzą mnie po świecie. Błąkałem się po całej ziemi, aby uciec od mego tyrana i własnych myśli. Jak Atlas pod ciężarem świata, jęczę pod brzemieniem każdej godziny.

- Słowa twoje, mistrzu, które chciałem sobie na pociechę przypominać, stawały się szyderstwem dla mego doświadczenia życia.

- Bo i gdzież jest ta piękność, ta harmonia świata, o której mi tyle prawiełeś? - Chyba w martwej naturze, bo ja tak długo wśród ludzi ich szukałem, a tylko spotykałem nikczemność. Śród ludzi, z których jeden uważa drugiego albo za łotra, albo za głupca, a zaręczając o swej przyjaźni, chce ukraść zaufanie, aby je na swą korzyść obrócić; bo ludzie nie szukają sposobności służenia bliźnim, ale pozoru niesłużenia im; i większa ich część dlatego jest pocziwą, że nie ma sposobności zostania występłą - moje złoto dawało im tylko tę sposobność.

- Powiesz mi może, że występni stanowią wyjątek na świecie - więc spojrzysz na cnotliwych, czymże oni się różnią od siebie? Nie szczęściem lub niedołą, ale tylko różnymi stopniami nieszczęścia.

- Rozkosze ducha i serca, to złudzenie; a zmysłowe rozkosze tłumi zgryzota i bojaźń, a każda, bez wyjątku, rozkosz powiększa tylko niepokój.

- Po cóż więc żyć, kiedy to, co siły ducha naszego podnosi, wyczerpuje i skraca życie, a to, co tłumi ducha, to życie nasze zamienia na nudny, nieznośnie długi letarg.

- A jak w panorama lub zwodniczym *fatamorgana* z daleka cudowne ludzłą obrazy, ale biada temu, co się ich dotknąć poważy - uściśnie martwe malowidło lub mgłę, za dotknięciem każdy urok znika.

- Powiesz mi może, że moje żądania są niesforne? Więc pokaż mi człowieka, który by rad ze swego stanu zadowolonym był z życia. Ukaż mi takiego, który by nie oczekiwał życia, aż dopóki się ono nie skończy.

- O, mędrze! życie wśród tego świata pięknego, gdzie szpitale, domy wariatów i więzienia potrzebniejsze są od kościołów! Gdzie leczenie ułomności ciała i duszy żywi mnóstwo ludzi.

- Szaleńszy jeszcze, kto w nauce i księgach szuka pokoju duszy; bezdenność nauki rozpaczą go napełni, a księgi pisane albo ucieczce od nudów, albo tylko na to, aby były pomnikami ludzkiej niedoli.

- Bo szczęścia nie ma na świecie.

- Przeklęty ten, co pierwszy, jak szatan, na szyderstwo rzucił ludziom tę nazwę bez rzeczy, aby szalejąc szukali jej w pocie czoła i udręczeniu.

- I młodość moja niknie, siły gasną, a rozpacz coraz się powiększa.

- Przerazająca myśli! - Umysł, nie ujęta, niewidzialna cząstka bóstwa zamieszkująca nas, dusza, zawisłe są od zdrowia, od ciała! Więzy gliny krępują nieśmiertelność! - Ja teraz poznaję, że nie śmierć jest ciągłym odradzaniem się, lecz życie jest ciągłą śmiercią - jej ołowiane berło panuje naturze.

- Mistrzu! jeśli już wrócić mi dawną niewinność nie w twoich jest siłach, to wskaż dalszą drogę! - Wskaż, jak dostać się do ostatnich szczebli potęgi, jak uwolnić się od władzy czarnego ducha, bo zostać w miejscu, które zajmuję, już jest niepodobna! - Chociażby najstraszliwszą była droga; ja ją przebędę, bo chcę zginąć! - Kto raz ujrzał wzrok **wroga**, tego nic nie ulęknie, kto po takich męczarniach nie splamił się samobójstwem, ten może pójść dalej! - Już dosyć jestem przygotowany, czuję to, przebyłem lata próby; lodowe tchnienie świata zmroziło we mnie przywiązanie do niego do ostatniej iskierki.

- Zimna myśli, ty teraz panuj nade mną! - Ty nie natchniesz szczęścia, ale i nieszczęście cię nie dojdzie; ty śmiech i łzy na szali rozważysz, każde uderzenie pulsu zrachujesz. Myśli! ty jedna przewidzisz, czego serce nie śmie przeczuwać. Mistrzu! teraz zdolny jestem stać się martwym, myślącym posągiem, a to jest przecie mądrość, którąś mi wskazywał.

Kosmopolita, który dotąd z lekkim uśmiechem litości, nieporuszony, słuchał Sędziwoja, na gorączkowy jego zapal szyderczym prawie głosem wyrzekł:

- Nędzna ofiaro własnych zmysłów, próżne twoje wołania! Musisz spełnić aż do dna kielich gorzkiego doświadczenia, przekonać się, dokąd może zaprowadzić nauka i potęga bez wiary.

- Także to słuchałeś moich napomnień; także to pierwsze skazówki zaprowadziły cię w burzliwe sceny zmysłowego życia.

- I tymże to sposobem, usiłując zdobyć koronę nauki, miałeś nadzieję usunąć na zawsze sprzed oczu swoich przerażającego ducha? - Przewrotne i fałszywe zdania, któreś teraz objawił, mająż być mniemaniem mędrca chcącego się wznieść do słuchania i rozumienia muzyki sfer niebieskich?

- Już teraz **wróg rodu** tak nad tobą rozpostarł panowanie, iż władza jego przewyższa moją. W tej chwili widzę jego ogniste źrenice utkwione w tobie, jego śmiertelny całun nad tobą zwieszony.

- Piękność i dobroć łączą się wszędzie w naturze i tworzą prawdę - a tylko prawda jest naturą, nie fałszem, które głosiłeś. Bez tej harmonii nic nie istnieje i istnieć nie może; a czyż nie wiesz, że piękność duszy jest wiara? Wiara, która jest tym dla serca, czym ideał piękności dla artysty. Jedna wiara zdolna nas natchnąć spokojną ufnością w siebie samych, ufnością w naszą przyszłość. A ty, niewolniku chwilowego popędu, chciałeś być bez wiary dobrym i cnotliwym. Ty wszystko widziałeś zeszpecone własną niewiadomością.

- Człowiek jest zarozumiały w stosunku swej ciemnoty. Naturalnym jego dążeniem jest egoizm. W kolebce wiadomości swoich rozumie, że cała ziemia stworzoną została jedynie, aby on raczył jej królować. Długie wieki głosił, że te światy niezliczone, jaśniejące w przestrzeni, były tylko pochodniami zapalonymi przez Opatrzność jedynie, aby zrobić ludziom noc przyjemniejszą. Ty jesteś podobnym w chęciach do tych ludzi.

- Nieszczęsny Tantalus, rozumiesz, iż na głos zapalanej żądz posłuszna natura poda ci do ssania swe piersi, byś jej pokarmem nasycił namiętności i w jad go przerobił.

- Oczyść naprzód swoją duszę i stań niepokalany, a wtedy zdołasz zostać spokojnym; potrafisz wywołać wielkiego ducha świata i on ci objawi prawa wiecznej konieczności. Wtedy potrafisz zwalczyć wroga i panować nad nim mądrością.

- Ale do tego trzeba odwagi, a w całym twoim jestestwie panuje bojaźń.

- Bojaźń! - zawołał Sędziwoj, prostując się i dumnie rzucając okiem.

- Tak jest! bojaźń. Niegdyś panowała nad tobą bojaźń takich ludzi, jak Rogosz, opinii; dziś bojaźń świata, bojaźń myśli własnych, bojaźń tego, że nie ma Boga w świecie, bojaźń przesądów, zgoła bojaźń, której nie znają dusze wielkie.

- Słusznie, zgodnie z najwyższą mądrością przedwieczny porządek ukrył się na wieki przed ludźmi bez poświęcenia i bez wiary, aż mądrość, którą zowiesz bez czucia, zdobędzie wieńiec miłości, dopóki za jej pomocą nie wróci do stanu pierwotnego, w którym człowiek sam wszystko rozumiał.

- Wyrzekasz na twoje podróże, na to daremne zmienianie miejsca; chociażbyś ziemię całą opłynął, jeśliś duszy własnej nie poznał, tak ci będzie, jakbyś kraju swego nigdy nie opuścił. Śmierć nawet nie uratuje twój żywota.

- To, co zowiesz nieszczęściem, jest matką wszystkiego, co dobre i piękne, a rozkosz tego grobem. A szczęście, jakiegoś ty szukał, wychowuje ludzi do rozpacz.

- Kto chce używać tylko świata i życia, ten nie badać je, lecz w prostocie serca z wdzięcznością ma się nimi cieszyć, jakimi są; ale nie, jak dziecko, co psuje cacka, aby doszło poruszającej przyczyny, płacze potem, iż po zjrzeniu wewnątrz zabawki naprawić nie umie.

- Nauka ma inne, wznioślejsze rozkosze. Kto dla niej żyje, nie może żyć zarazem dla cacek. W niej jest prawdziwe szczęście, a prawdziwe szczęście jest ostatnim stopniem **bytu**, i ty chciałeś go poznać nie przeszedłszy progu pierwszego stopnia.

- Dotąd już mogłeś poznać, co cię czeka na progu nauki. Widziałeś oko w oko najpierwszego nieprzyjaciela grożącego tym, którymi zmysły rządzą.

- Nieszczęśliwy! cała nasza mądrość nie zda się na nic człowiekowi chcącemu dostąpić naszych tajemnic, aby je niegodnymi zespeczył zastosowaniami. Wieluż to mniemanych mędrców zginęło w podobnych usiłowaniach. Wieluż ich chlubiło się wynalazkiem kamienia mędrców, a zginęli w nędzy; inni wystawiali swój eliksir nieśmiertelności, a pomarli zgrzybiałi, niedołężni, przed czasem! Według podań waszych, większa część tych czarodziejów stała się ofiarą szatana; lecz szatan ten w nich samych miał swoje siedlisko: były to ich niegodne namiętności.

I ty pożądliwie ścigasz to, za czym oni się ubiegali; miłość twoja nawet, to uczucie, które uszlachetnia ludzi najbardziej znikczemionych, u ciebie jest samolubną żądzą, która przemyśla o zdradzie w pierwszym uniesieniu rozkoszy.

- Sława nie zadowalniała cię. O! wierzę! bo sława, która wieki przetrwa, jest nagrodą cnoty i geniuszu, a przynajmniej mocy duszy, a ty przeczuwałeś, że kupiony rozgłos zniknie, jak to złoto, któreś rzucał, rozchwieje się prędzej niż twoje życie. - I ty chcesz wejść do bractwa naszego. Wzdychasz za gwiazdami jaśniejącymi na niebie chaldejskim.

- Biada ci nieposłuszny! - Widziałeś raz świat niewidzialny i po długich już usiłowaniach, twardej pokucie, będziesz mógł odzyskać spokojność i przyjemności tego życia, które dla zuchwałej dumy porzuciłeś. Wiedz jednak dla pociechy swojej, iż każdy, kto raz oddychał

powietrzem widzialnych duchów, obdarzony jest energicznymi zdolnościami niepodobnymi do zniszczenia. Z moralną niezachwianą odwagą możesz dojść do najwyższych stopni, jakie obierzesz na świecie.

- Ale większej jeszcze trzeba odwagi, mocy duszy i czystości, aby przebyć lata pokuty - a wtedy, kiedy zerwiesz wszystkie ogniwa łączące cię z ziemią, z rodziną, nauką, ze sławą nawet, kiedy przewlókłszy nudne i długie pasmo życia, zgrzybiały na progu grobu miałbyś dość siły, aby bez żalu z pokorą wyznać, iż całe to długie życie było pasmem błędów?

- Miałbyś wtedy dość odwagi spełnić toast nieśmiertelności i nie obawiać się żyć wieki?

X. Eliksir

**„My jesteśmy materią, z której marzenia powstają,
a nasze małe życie kończy się snem.”**

Burza Szekspira

RAZEM Z UWIĘZIENIEM Kosmopolity, co nastąpiło na ulicy z niespodzianej zasadzki, przezorny Bodenstein naszedł z siepaczkami jego mieszkanie i przetrząsnął je z największą pilnością; lecz nie znalazł ani kamienia mędrców, ani eliksiru życia, ani rękopismów, ksiąg, ani nawet pieniędzy, zgoła nic, co by podejrzenia i nadzieję jego powiększać mogło. Arminia błagała go ze łzami, Bodenstein obiecywał wszystko, ale kładł warunki. Sam ubrany wykwiłtynie, oblany pachnidłami, nadęto i sztywnie w niezwyklej sobie sferze rozwijał niezgrabne zabiegi w celu zajęcia serca swego pięknego jeńca.

Ale Arminia, mimo bojaźń, nie mogła przewyciężyć się i zbyt jawnie okazywała mu najgłębszą wzdargę. Bodenstein uważał, iż unika dotknięcia się każdego przedmiotu, który on miał w ręku. A i on nie mógł ukryć niezgrabnego wahania się między zemstą a obudzonymi żądzami ku Arminii.

Zwlekał tylko czekając, co się stanie z Kosmopolitą; chociaż pewnym był, iż uwolnionym nie będzie, to wspomnienie Sędziwoja tajemnym go strachem napełniło.

Sędziwoj przed wieczorem tej samej nocy, w której miał spełnić długo tajone zamiary, najął w odległej uliczce, blisko bramy miasta, mały, niepozorny domek. Przygotował wszystko do podróży i kiedy Bodenstein bawił się przy wyborzym winie, Arminia przebrana przeprowadzoną została do nowego mieszkania. Sam Sędziwoj udał się do więzienia Kosmopolity, aby go także wyzwolić i ucieczką ratować. Janowi zaś polecił czuwanie nad opuszczoną.

Kosmopolita przed uwięzieniem swoim ukrył pod jednym z kwadratowych kamieni kurytarza swojego mieszkania niewielką szkatułkę; w ostatnim przypadku - mówił Arminii - w szkatułce tej znajdzie dalsze sposoby ratowania się. Jan miał szkatułkę przenieść do nowego mieszkania, Arminia pozostała sama.

Uliczka, na której był domek, odludna, rzadko jaki przechodzień nią się sunął. Za każdą razą odgłos stąpania po bruku wśród ciszy wzmacniał bicie jej serca i w ciągłej trwodze utrzymywał umysł. Wreszcie, po nieprzeliczenie długim czasie, słyszy szybki krok biegnącego człowieka i Jan zadyszany wpadł do pokoju.

Stawiając szkatułkę na stoliku opowiadał, iż jacyś ludzie śledzili z daleka jego kroki, i kiedy po długim myleniu, wykręcaniu drogi, rozumiał, iż zniknął im z oczu, teraz wchodząc do domu o kilkadziesiąt kroków ujrzał ich za sobą. Drzwi zapaął z postanowieniem bronienia się do ostatniej kropli krwi. Po długim jednak czasie, kiedy wszystko dokoła było cicho i w ser-

cach oczekujących obawa tylko o Kosmopolitę i Sędziwoja wzrastała, Jan musiał wyjść na ulicę, aby się dowiedzieć w zamku o więźniu.

W kilka chwil po jego oddaleniu się, Arminia niespokojna do najwyższego stopnia, usłyszała wrzawę, hałas napaści i bitwy, a wnet Bodenstein otworzył drzwi z trzaskiem i stanął na środku jej pokoju.

Zapłomienione winem lica, oczy iskrzące, język nieposłuszny, chód chwiejący się, ubiór i włosy w nieładzie, a przy tym na całej odrażającej twarzy wyraz złośliwy i zwierzęcy tworzyły z niego w tej chwili godnego posłańca szatana. Arminia spojrzała, krzyknęła i twarz rękami zasłoniła. Bodenstein zasuważąc za sobą ciężkie rygle drzwi, jękającym się mówił głosem:

- To niegodnie, panno Tholden! bo dla mnie, miły ptaszku, ty zawsze jesteś panną Tholden. Tyś moja narzeczona; pamiętasz w Bazylei? - przyrzekłaś mi dać swoją rękę za uzdrowienie twej konającej matki! - A potem oszukaliście mnie! - Nieprawdaż, kochanko, że zapomnisz o tym twoim niby mężu, przeklętym czarnoksiężniku? - Ha! ha! Spodziewaliście się, że wam się uda zręcznie uniknąć pułapki. Ale nie tak łatwo podejść Adama von Bodenstein! Oho! nie tak łatwo takich się ludzi oszukuje.

- Ja też to siedzę sobie spokojnie i bawię się w gospodzie Pod Zielonym Lisem, a ci tu wymknęli się cichaczem, jak prawdziwe lisy! Szczęście, że wyszedłem przypadkiem i dostrzegłem tego tatarę - wiesz, tego służącego u wariata alchemika z piekielnym nazwiskiem! Tak, kochanko! spostrzegłem, że unosi coś z gospody. O! bo ja, chociaż tak! - rozumiesz mnie, chociaż trochę piję, jednak dobry mam wzrok. Ja w tej chwili lecę do twego mieszkania, a tu otwarte drzwiczki i klatka pusta, ptaszek uleciał! - Dalejże więc, zawołałem moich kamratów, dwóch pacholków od miejskiego oprawcy; dzielne chłopaki, i dalej w ślady za jegomościem. Zwijął się jak kot przed chartami, ale i ja nie w ciemność bity; złapałem go i tam na rogu związany leży na bruku, kamraci moi pilnują go.

- Ale cóż to, milczysz, płaczesz? Nie bój się, kochaneczko, nikt tu nie przyjdzie. Czy ci moje odwiedziny niemiłe? Arminio! ja ciebie tak kocham! Bodaj mnie wszyscy szatani porwali, ja ciebie tak kocham, jak mojego Paracelsa... Nie załamuj dłoni!

Mówiąc to klękał przed swoją ofiarą, ale żona Kosmopolity, uciekając w kąt pokoju błagającym głosem z rozdzierającą boleścią rzekła:

- Panie Bodenstein, ulituj się nad słabą kobietą! Jeżeli miałeś co drogiego w życiu! rodziców, brata, przyjaciela - jeśliś cokolwiek na świecie kochał prawdziwie, w to imię zaklinam cię, uwolnij mnie, ja w tej chwili czuję, jakby mi głos jakiś szeptał: „Bóg cię ukarze! wyjdź!” - Chcesz skarbów? - patrz, oto w tej szkatułce jest ich więcej niżbyś mógł marzyć o tym - weź je, a uwolnij mnie.

I padła w szerokie krzesło, nieruchoma, oczy zamknęła, a wszystkie cierpienia całego życia w jedną iskrę się zmieniły i uderzyły jej serce w tej chwili.

Bodenstein podniósł się z głupowatym uśmiechem, poszedł do stołu, otworzył szkatułkę leżącym na niej kluczykiem i zamilkł z podziwienia.

Szkatułka pełna była złotych puszek znacznej wielkości, napełnionych czerwonym, szklistym proszkiem. Na wierzchu leżała niewielka flaszka kryształowa pełna karmazynowego przezroczystego płynu.

- Ha! - zawołał osłupiały - kamień mędrców i eliksir nieśmiertelności.

I wszystkie cuda przywiązane do tych dwóch nazwisk z krainy nadziemskiej stanęły mu przed oczami. A na jego twarzy błysnął wyraz lubieżnej, nieopisanej chciwości i żądź zwierzęcych.

Jak szalony poskoczył ku Arminii i wołał:

- Czy ty wiesz, co tu jest w tej szkatułce? Za to cały świat można kupić! Z tego można tyle zrobić złota, iż przez całe życie policzyć go nie zdołasz! Przecież i ja jestem alchemikiem!

- O! Sędziwoju! Kosmopolito! Teraz na mnie kolej! Pokażę, że i mnie natura nie macocha! Ludzie! Teraz wszystko złe, com od was doznał przez całe życie, z lichwą wam oddam! - Każde słowo pogardy, coście mnie nimi tak obficie darzyli, teraz w wasze gardła wtłoczę na powrót! - Czy ja śpię? - Czy marzę? - Ale nie! dotykam się tego kamienia cudownego! Tak, to on jest! - Fraszka niebo! gdzież jest większa rozkosz, jak żyć wiecznie, nie pracować, nie czołgać się, niczego się nie obawiać i deptać tych, co byli wyższymi ode mnie! - Biada wam! Ja, król ludzi, teraz gardzę ziemią, ale po karkach waszych stapać będę! Cudowna! Boska Arminio! ty będziesz moją żoną! Tym eliksirem będziemy odmładzali się - ale nie! ty będziesz moją kochanką, nie bój się, ja nie chcę cię na całe życie do siebie przykuwać - używajmy życia. Teraz jesteś pewno wdową. Dzisiejszej nocy, może nawet w tej chwili, twój mąż na torturach miał wyzionąć ducha. - Zobaczysz, jak my będziemy żyli rozkosznie.

I w końcu tych słów wpół objął jej giętką kibić; Arminia czuła już zapach wina z jego ust spienionych, którymi chciał wycisnąć pocałunek na jej śnieżnym łonie, uchyliła się, zwinęła i wymykając z jego objęć chwyciła za rękę jego własnego sztyletu i błysnęła mu przed oczy stalowym ostrzem. A odstąpiwszy o parę kroków zbladła i zaśmiała się szalenie.

- Teraz zbliż się, mój narzeczony! Mówię ci w oczy, iż gardzę, brzydzę się tobą! - Ha! nie śmiesz przystąpić! Zdrada z odwagą nie chodzą w parze! Nie obawiaj się, będę miała dość siły nagrodzić cię.

Bodenstein zmięszął się tak niespodzianym zwrotem, ale wino coraz więcej nad nim brało górę, rozważa odstępowała go. Nie bacząc na to, jak każdy nikczemnik, ze przeciwnikiem jego słabsza istota, zgrzytnął zębami i rzucił się ku Arminii chcąc jej wyrwać wzniesiony sztylet, ale poruszenie jego było niezręczne, Arminia uderzyła go żelazem, i chociaż cios słaby, krew trysnęła z ramienia napastnika na jej suknię. Widok krwi ostudził zapał, cofnęła się przerażona i z głębokim jękiem upadła zemdlona.

- Ha! jadowita osa! - ryczał Bodenstein przełknięty pilnie przypatrując się ranie. - Niech mię czarci porwią, nie myślałem, że gotowa uderzyć! Poczekaj.

Rana nie była szkodliwą. Jak mógł, na prędcę zatamował obwiązaniem sączącą się krew i na nowo zapalony żądzą i zemstą zbliżył się do zemdlonej.

Oczy miała zamknięte, długie włosy jak aksamitne wstęgi na śmiertelnej bladości szyję i białą suknię spływały, a na skrwawionym łonie trzymała rękę, z której ledwo wypadł sztylet.

I obraz ten uderzył go w inszy sposób, niż się spodziewał. Niewinna kobieta wydała mu się groźnym aniołem mścicielem znieważonej niewinności.

Jego własna krew już rozlana przejęta go trwogą. Może pierwszy raz w życiu zabrzmiały mu jej słowa wyrzeczone niedawno:

- Bóg cię ukarze!

I chociaż rzucił się na trzymającą sztylet, teraz zemdlonej obawiał się dotknąć. Cisza panująca dokoła, skutek wina, gwałtownego wzruszenia, a może po części i rany sprawiły, iż na chwilę siły go opuszczać zaczęły. Oczy mgłą mu zaszyły, kolana uginały się, szum w uszach się odezwał.

Chwycił się ręką za stół i zbierając ostatnie siły odetkał flaszkę z eliksirem i chciwie pociągnął zawarty w niej napój. Lecz zaledwo połknął, zaledwo zdążył flaszkę postawić na stole upadł na wznak jak piorunem rażony - nieżywy.

Dla nieprzysposobionych poprzednim, przygotowawczym życiem, eliksir był nagłą trucizną. Noc się już skończyła, na niebie szeroki czerwony pas nad ziemią poprzedzający ranek zajaśniał, gdy Kosmopolita i Sędziwoj wyszli z więzienia.

Na załomie ulicy niedaleko od domu, w którym odbyła się poprzednia scena, leżał skrępowany Jan; pilnowało go dwóch towarzyszków Bodensteina, zapłaconych od niego pijanych włóczągów, którzy na teraz długim czuwaniem znużeni na ziemi mocnym snem pokrzepiali się. Uwolnienie Jana, wybicie drzwi mieszkania i wyzwolenie Arminii, która sama do siebie z głębokiego omdlenia przychodzić zaczynała, szybko po sobie nastąpiły.

Nim dzień zajaśniał już prześladowani daleko byli za bramami Drezna.

XI. Zniknięcie

**„To jest los człowieka; dziś bujnie strzela listkami nadziei,
jutro dokoła niego suchymi liśćmi zimny wiatr powiewa.”**

Szekspir, *Makbet*

NAZAJUTRZ PO TYCH wypadkach lud tłoczył się do drzwi przed kurdygardą; każdy chciał zobaczyć więzienie alchemika, który pilnowany przez czterdziestu ludzi i kaprala, za pomocą żywego diabła, umknąć zdołał. Jedni ze szczegółami opowiadali, jak pod wpływem zaklęcia, pogrążeni w bezwładności widzieli wylatujące na nietoperzych skrzydłach potwory, a krzyknąć ani przeszkodzić nie mogli, inni zaręczali, że już dniem pierwszej słyszeli dzikie głosy i okropne pogrożki w więzieniu i wyraźnie spostrzegli osoby wychodzące przez drzwi zamknięte.

Jednakże czarownik żadnego śladu nie pozostawił.

Domysły krążyły, iż uciekł na księżyc albo do Polski, albo do Wysp Świętego Brandana. Kto o tym mógł wiedzieć.

Bodenstein znaleziony został umarły na ulicy niedaleko bram miasta. Oprócz lekkiej rany w rękę nad łokciem, która niepodobna, aby była przyczyną jego śmierci, miał na piersiach wielkie czerwone plamy; były to znaki zjawiającej się wtedy w Saksonii morowej zarazy. Dziwiono się, iż właśnie Bodenstein, który głosił, iż posiada niezawodne lekarstwo przeciwko morowej zarazie i które bardzo drogo sprzedawał, jako tajemnicę od Paracelsa przekazaną, iż właśnie on padł jedną z pierwszych ofiar tej straszliwej choroby. *

* Adam Bodenstein, jakkolwiek chętnie się, iż posiada nabyty od Paracelsa sekret przeciwko morowej zarazie, istotnie umarł na nią jedną z pierwszych jej ofiar.

CZEŚĆ III.

WIEK POKUTY

**„O jakże jesteś biednym i samotnym!
Zdołaszże wyciągnąć rękę w nocne niebo i podać ją
tym,
którzy na wieki ulecieli? — potrafiszże zapomnieć
tych, którzy o tobie zapomnieli? — Czyś jeszcze nie
dosyć jest smutnym?”**

Jean Paul

I. Poświęcenie się

**„Wiele rzeczy dotąd ciemnych i niezrozumiałych
stają mi się jasnymi i widocznymi.”**

Słowa Szyllera przy zgonie

W JEDNEJ Z ULIC KRAKOWSKICH wzniesionych na wysokim brzegu nad Wisłą, w niewielkim domu równie jak całe miasto pogrążonym w nocnej ciszy, znajdował się Kosmopolita pod wystawą na ławie drewnianej oparty o ścianę.

Wyniesiony nad szmer i zabiegi otaczających go spraw ludzi, niepostrzeżony punkt śród czasu, marzył, samotny mędrzec, którego promienista młodość niezmienną swoją świeżością była symbolem spokojnego, odwiecznego ideału. Wszystko, co umysł i odwaga mogą nastęrczyć, na próżno wyzywał, aby oderwać Jedno życie od poziomego istnienia i wnieść je do siebie.

I oto szukał raz jeszcze pomocy i rady u tych tajemnych istot, pośredników między niebem a ziemią *, które już nie obcowały z jego umysłem od czasu, jak poddał się zwyczajnym pracom ciężącym na ludzkości.

Lecz z wolna w sercu jego budziły się obce, niezależne od jego woli głosy; czuł, iż duchy w myśli jego z nim rozmawiają; bo kto raz je widział, tego nie tak rychło na wieki opuszczają. - Ty wiesz! - rzekł Chaldeczyk, piękniejszy niż kiedykolwiek i jakby już był uczestnikiem wieczystej chwały - ty wiesz, iż ludzie przed śmiercią rozumieją wiele rzeczy, które im dotąd były zakryte. W tej godzinie, w której poświęcenie się siebie samego dla innej istoty kończy mój tyłowieczny zawód, poznaję drobiazgowość życia w porównaniu z wielkością śmierci.

- Lecz mamże ośmielić się wyznać ci, boski pocieszycielu, nawet w twej przytomności, uczucia, które mnie natchnęły, boleścią mnie przejmują. Pozostawić po sobie w tym świecie złośliwym bez opieki, bez podpory, tych, dla których umieram; moją żonę! moich uczniów.

Zamyślił się chwilę, a głos wewnętrzny zabrzmiał mu wyraźnie:

- Nierozważny! czyż mądrość twoja uczyniła cię do tyle próżnym, abyś miał zapomnieć, o ile podpora twoja jest słabą dla tych, których kochasz, w porównaniu z potężną opieką Ojca Wszechrzeczy? - W więzieniu, na rusztowaniu! podziwiał tego, który - czulszy od ciebie w swej miłości - jest mądrym i bez końca silnym w prowadzeniu i obronie swoich dzieci.

Kosmopolita opuścił głowę, a kiedy ją podniósł, ostatni cień tęsknoty znikł z jego czoła.

Jasne, nadzmysłowe widzenia rozchwiały się w jego duszy, lecz pozostawiły ślady świetnego swego pobytu, a dokoła niego powietrze jakby drżało z rozkoszy. Bo dusze całkowicie oderwane od ziemi odwiedza anioł wiary; samotność, przestrzeń, przesiąkają jego blaskiem, on nawet ciemny grób ozdabia świętym, promienistym kołem.

I stanął na wysokim ganku wznoszącym się nad spokojnym miastem.

Pod cichymi dachami niejednen sen klóciły niespokojne żądze, w niejednym sercu burza hu-
czała dzikimi tony lub gwałtowne namiętności czyhały na zbudzenie się ludzi, a wszystko,
co się jego oczom przedstawiało, było pełne ciszy i spokoju, jakby pod błogosławieństwem
letnich promion księżycy i dusza jego, uniesiona poza ciasne granice człowiekowi przerna-
czone, oglądała tylko spokojne, pełne błogości cuda stworzenia. Stał samotny, myślący; chciał
jeszcze posłać ostatnie pożegnanie cudownemu swemu życiu.

Przebiegając wzrokiem niezmiernie obszary przestrzeni podziwiał subtelne kształty, z któ-
rymi tak często podzielał rozkoszne harmonie radości. Przechodziły, płynęły tłumem, szere-
gami, skupione, to znów rozpierzchują się wirowym tańcem, zataczały czarowne kręgi i koła
śród gwiazdzistej ciszy. Żyjące światłem, napowietrzne istoty rozwijały niezliczoną piękność
kształtów i barw niepodobnych do wyobrażenia.

Człowiek zwyczajny, który nigdy nie widział synów eteru, nie wystawi sobie anioła w innej,
jak ludzkiej, postaci; niedołączna jego fantazja odbija mu tylko to, co gruby, dotykany świat
wystawia, ale niebieskie, wyższe piękności są dla niego niepojęte, rozkosz ich widzenia znaną
jest tylko wcielonym.

W uniesieniu mędrca cały wewnętrzny świat przedstawił się oczom jego. W głębi dolin zie-
lonych oglądał lekkie tańce ulotnych duchów; we wnętrzościach gór zobaczył istoty oddy-
chające zatrutym powietrzem wulkanów, które uciekają przed jasnością nieba. Na każdym
listku w niezliczonych lasach, w każdej kropli niezmiernych oceanów ujrzał osobny świat
bogato zamieszkały.

Daleko, w nieskończonej odległości błękitnego nieba, widział, jak mglisty chaos zamieniał
się w kometa, a kometa opuszczający środkowy ogień ożywczy rozpoczynał swój dzień dzie-
sięcioletni. I wszędzie widział tchnienie Twórcy rozpościerające życie.

Rozproszeni po całej ziemi, niewielcy liczbą, lecz potężni duchem spółtowarzysze jego,
wyznawcy wielkiego bractwa, pracowali samotnie. Śród ruin Rzymu, między katakumba-
mi Memfis, w pośrodku kupieckich Niemiec lub w niedołącznych Indiach niepostrzeżeni,
nieznani członkowie jednej myślowej rodziny, obojętni na otaczające ich sprawy, zajmo-
wali się nauką. Będą żyli i pracowali dopóki świat trwać będzie, nie troszcząc się o dobre
albo złe wypadki ich nauki; mechaniczni działacze najwyższej woli, wszystkie rodzaje sprę-
żyn używającej do swoich zamiarów. Będą żyli jako arcywzory wiedzy, która chce tylko
poznać i umieć, a nie pyta się, czy jej nauka posłuży dla dobra ludzkości, czy machina
cywilizacji obrotem swoim nie roztrąca wszystkiego, co się jej kołom nastreczy. - Bywaj
zdrowe, piękne moje i łagodne życie! - wyrzekł cicho, zamyślony. - Bo dla mnie tyś za-
wsze pięknym i łagodnym się okazywało. Dla tych, którzy młodość swoją bez przerwy w ja-
snym potoku natury odmładzają, rozkosze twoje są niewyczerpane; dla tych proste uczucie
istnienia własnego jest rozkoszą! - Bywajcie zdrowe, światła niebieskie, i wy, ludy prze-
strzeni! - Nie ma ani jednego atomu w promionach słońca, jednego źdźbła trawy śród gór
ani kamyka na brzegu morza, ani ziarna pyłu miotanego w pustyni, które by nie dostarczy-
ło moim myślom pierwiastku do badania przyczyn życia, przyczyn wszystkiego tego, co
jest piękne, wzniosłe i nieśmiertelne! Dla innych jedna okolica, jedno miasto, jedno ogni-
sko jest ojczyzną - jam był prawdziwym Kosmopolitą, bo moją ojczyzną było wszystko to,
czego tylko myśl doścignąć zdoła!

Zatrzymał się, a oczy jego i serce szukały ukochanej istoty. Niedaleko niego, murem tylko
przedzielona, spoczywała we śnie trwożliwym. Widział, iż serce jej nawet we śnie dla jego

ucznię było. Czuł, co cierpi serce kobiety do miłości stworzone, kiedy on tyle dla niej poświęcał, i dusza jego rzekła do jej śpiącej duszy:

- Przebacz mi, jeżeli chęć moja wzniesienia cię do tak szczytnych przeznaczeń była zuchwałą. Był to sen i już zniknął! - Nad brzegiem grobu widzę nareszcie, jakie jest prawdziwe wcielenie prawego i mądrego, prawdziwa brama wieczności, za tą bramą będę cię oczekiwał, ukochana, gdzie i twoje rozjaśnione serce wystarczy obszerniejszej miłości...

W swych celach samotnych, w pracowniach, schronieniach, zajęci nauką, zdrżeli nagle wszyscy jego towarzysze. Uczuli, iż duch nieobecnego ich przyjaciela odezwał się do nich:

- Bywajcie zdrowi na zawsze na tej ziemi! Znowu jeden z waszych braci was opuszcza. Stary wiek wasz przeżyje wszystkich młodość, a dzień ostateczny zastanie was jeszcze myślących na naszych grobach. Z wolnej woli zstępuję do krainy cieniów, lecz nowe słońca świecą mi już z głębi grobu.

- Idę tam, gdzie dusza tej, dla której poświęcam to ciało z gliny, a później i wy, mieszkać ze mną będziecie. Poznaję wreszcie rzeczywistą inicjację, prawdziwe zwycięstwo. Bracia! porzućcie eliksir, złóżcie brzemię wieków! Odwieczny duch wspiera i broni wszędzie dusze utworzone jego Boskim tchnieniem!... A mędrcy pomyśleli w sobie:

- I my, żyjąc sercem, dawno byśmy, znudzeni, świat opuścili, ale umrzeć nie możemy, dopóki żyjemy myślą, bo nauka jest nieśmiertelną.

* Jedną z godniejszych wspomnień odnowień teorii o duchach niewidzialnych jest bez wątpienia zawarta w romansie Abbe Villarsa, pod tytułem: *Comte de Gabalis, ou entretiens sur les sciences secretes*.

Villars urodził się r. 1640 - w podróży do Paryża r. 1675 zastrzelony został. Tajemniczy jego zgon, jakoby zemsta za wyśmiewanie zasad kabalistyki lub objawianie tajemnic, sprawił wiele trwogi i podziwu.

„Ta niezmiernie przestrzeń - mówi hrabia Gabalis w romansie - pomiędzy ziemią a niebem ma daleko szlachetniejszych mieszkańców od ptaków i owadów; to rozległe morze ma innych gości oprócz wielorybów i psów morskich; głębokości ziemi nie tylko są dla kretów przeznaczone, a żywioł ognia nie na to jest stworzony, aby pozostał nieużyteczny i pusty.”

„Nauczysz się teraz - mówi znowu - panować nad całą naturą; Bóg jeden będzie twoim panem, mędrcy będą tylko twymi równymi. Istoty najpotężniejszego rozumu ubiegać się będą o służenie ci; demony nie odważą się razem na jednym miejscu z tobą przebywać, na dźwięk twojego głosu wpadną w otchłań, a duchy wszystkich czterech żywiołów będą się spółubiegać o szczęście służenia twoim rozkazom. Wielbię cię, o wielki Boże! iż ukoronowałeś człowieka tak ogromną chwałą i uczyniłeś go nieograniczonym monarchą wszystkich dzieł Twej ręki.”

Rozumie cię samo przez się, iż aby tego dostąpić trzeba wypełnić pewne warunki, które całą tę naukę o duchach, wrózkach, rusalkach etc. jeszcze bardziej czynią poetyczną i zajmującą.

II. Śmierć

„Gotujcie się do Sądu: ostatnia dobiega godzina.”

Sąd ostateczny Yunga

WSCHODZĄCE SŁOŃCE klejnotami tęczowego światła zasypało niebo i przez otwarte okno razem z tchnieniem świeżego poranku różowym blaskiem otoczyło Kosmopolitę na wysokim łożu zasłanym kobiercem.

Wspaniałej bledniejącej twarzy, jakby z niej wołno ogień życia ustępował, żaden rys się nie zmieniał, nic zewnątrz bliskiego jego końca nie zwiastowało.

Obok łoża w głowach siedziała smutna Arminia i łzy po licach jej pomykały; w nogach stał Sędziwoj i trwożliwym wzrokiem wpatrywał się w leżącego.

- Ty nie umrzesz, nie opuścisz nas - mówiła z cicha Arminia - dotąd nie byłeś słaby, tak nagle, ja nie pojmuję; przecież sam umierających leczyłeś... - i płacz nie pozwolił jej mówić dalej.

Kosmopolita uśmiechnął się łagodnie i słabiejącą ręką biorąc ją za dłoń drugą rękę podał Sędziwojowi i rzekł:

- Wspominajcie mnie czasem, gdy ofiara się spełni i już między wami nie będę, starajcie się, aby próżną nie była...

Lecz Sędziwoj coraz więcej pomieszany zawołał:

- Jeżeli istotnie śmierć twoja tak bliska, więc cała twoja sztuka była udaniem! Więc chlubiłeś się potęgą, której nie posiadasz? Cała cudowność, którąś żył otoczony, i eliksir są złudzeniem, bo inaczej czyżbyś umierał? Dlaczegoż chcesz unieść do grobu tajemnicę? - Teraz czas, możesz mi ją powierzyć; bogaty doświadczeniem, przysięgam, nie wyjawię jej nikomu, a na złe użyć już nie potrafię! - Przecież zgon twój zada wyraźne kłamstwo twojemu życiu! Widzę, iż tajemnica robienia złota jest prostą receptą i jeżeli nie chcesz skonać obarczony przekleństwem, wysłuchaj mnie i wyjaw sposób robienia kamienia mędrców.

Ale Kosmopolita odwrócił się ku swej żonie i rzekł:

- Ty wiesz, ukochana, że bogactwa nie są szczęściem; tych, którzy je za cel swego żywota kładą, zrzucają z tronu wysokiej godności człowieka zamieniając ich na zwierzęta.

- Pamiętaj, Arminio, nie kupuj uczuć, bo prawdziwe uczucia są bez ceny. Doświadczaj i walcz, a chociaż tu nieszczęśliwa, tam uzyskasz palmę.

- Ty zaś słaby i niewierny uczniu mój - rzekł do Sędziwoja, pokazując mu na ręku blizny po torturach zostawione - patrz, czy przyszłoby do tego, gdybym kiedykolwiek miał wyjawić tajemnicę. *

- Oczyszczyć duszę z rdzy egoizmu w jednym prawdziwym uczuciu, a zrozumiesz rozkosz poświęcenia się dla drugich...

- Ja zostawiam ci skarb, a to będzie wspomnienie zgonu mojego, wspomnienie to uwolni cię od prześladowcy wroga...

Na to imię drzenie przebiegło ciało Sędziwoja; umierający wziął znowu za rękę swoją żonę i ucznia i wpatrywał im się w oczy. A wtedy czuł, jakby po promionach z jego źrenic idących jakiś błogi pokój po jego duszy się rozlewał, obce myśli i czucia, jakaś nowa siła i życie w niego wstępowały, i choć nie bez trwogi, magnetyczny, rozkoszny, czuł pociąg do tego wzroku. Lecz wtem słońce tylko co weszło gęste chmury okryły, zaciemniło się w pokoju, czarowny uśmiech umilił usta leżącego, i gdy zbliżył się do jego twarzy, boleść serce młodzieńca ścisnęła - dusza mędrca już opuściła ziemskie swoje mieszkanie.

* Są to istotnie słowa Kosmopolity, skoro Sędziwoj nalegał na niego o wydanie tajemnicy.

III. Zwierzenie się

„...wierzę, że wasze uroki
Zdolne są gwiazdy ściągać, tamować potoki.”
Propercjusz, *Elegia I*

OD CZASU ŚMIERCI Kosmopolity Sędziwoj pozostawał w stanie odrętwienia, obojętności na wszystko, jakby po długiej i niebezpiecznej chorobie przychodził do siebie i oglądał się wokoło. Minęło parę miesięcy czasu, zwykle tak wolno i uciążliwie czołgającego się, a jeszcze jego kolce czuć mu się nie dawały. Rozmyślając o dziwnych wypadkach kilku lat ubiegłych swego życia, o zgonie mędrca, z którym los go w tak niezwykły sposób związał, uwolniony był od napaści i zjawiania się dręczącego widziadła. Rozmyślenia te nie dozwalały mu zajmować się swoją przyszłością.

Jednym także z głównych przedmiotów jego marzeń była Arminia. Miłość i stosunek Kosmopolity do niej był dla niego niepojęty. Nieporządna, gorączkowa jego wyobraźnia na próżno szukała nadziemskich jakichś przymiotów w żonie mistrza. Wyszuszone jego uczucie nie domyślało się nawet, iż prostota serca, czystość myśli są skarbami, z których miłość, jak słońce z łona ziemi, rozwija świat cudów. Wspomnienie więc mistrza, wyraz jego konającego wzroku, były ogniwem łączącym go z Arminią. Nie zastanawiał się już nad tym, że rozmowa z nią, jej towarzystwo, stało się powoli dla niego nieodzownym i było jedynym.

Arminia mieszkała ze starą przyjetą służącą, samotna, bez znajomych, bez przyjaciół, i unikała ich.

Smutek nadał całej jej postawie powagę i czarującą piękność, jakiej w niej dotąd nie spostrzegano. Chociaż rysy zostały te same, rozwinęły się, nabrały wyrazu i nowy duch ożywiający je podwyższył do niepoznania ich piękność. Najpierwsza i najrzadsza z ozdób kobiety, czoło jej, wysokie i równe, jaśniało wzniosłą i szlachetną otwartością. Oczy ciemnobłękitne, posłuszne każdemu uderzeniu serca, tak pięknie odbijające od czarnych włosów, zachwyciły. Oprócz tego w każdym poruszeniu jej, w mowie, w głosie nawet, panowała jedna zgodna harmonijna całość, zmuszająca najobojętniejszego do podziwienia tej piękności, której sztuka nie ćmiła. Jednego wieczoru po zachodzie słońca, w owej miłej porze, kiedy dzień się już kończy, a noc jeszcze nie zacznie, w tej przechodowej chwili, tak podobnej do terażniejszego stanu duszy Sędziwoja, w łagodnym zmroku, który serca nasze usposabia do otwarcia się, jak kwiaty niektórych roślin wieczornych do wydawania zapachu z zamkniętych w dzień koron kwiatowych, Sędziwoj siedział z Arminią pod wystawą domu, w którym umarł Kosmopolita.

Długi czas w milczeniu wpatrywali się w cudny obraz roztoczony przed nimi. Tajemnicze wieczności hieroglify gwiazdami na niebie znaczone jasno się iskrzyły, a na Wiśle czerwone ognie, jak drugie gwiazdy ziemi, igrały odbite w wodzie, nad której falami unosiły się smut-

ne okrzyki retmanów i dalekie śpiewy flisów, jakby starą rzekę Wandy do snu kołysały. Cichnął gwar miasta i dzwony nieszporne milknęły, wszystko uroczystą harmonijną modlitwą ciszy wprost biło do serca patrzących.

Myśli Arminii bujały daleko od ziemi i wracając nawet do niej z wyższych zstępowały obrazów.

Wskazując na niebo z cicha rzekła do Sędziwoja:

- Jak się nazywa ta gwiazda z łagodnym, drżącym połyskiem, jeśli mnie przeczucie nie myli, jest to gwiazda miłości?

- Nie odgadłaś, jest to Jowisz opiekuńczy, planeta potęgi i mądrości.

- A gdzież ta, którą wspomniałam?

- Jak ten już zajdzie, nad ranem tamta wschodzi, jedną tylko chwilę jasno świeci, bo wkrótce słońce gasi jej promiona.

- Rozumiałam - dodała Arminia - że ich światło łączy się razem; że wspólne w jednej konstelacji dwie najpiękniejsze opiekunki ludzkich władz są siostrami.

- Tak! jeżeli dzień z nocą są dziećmi jednej matki, to i miłość z mądrością są rodzeństwem.

- Czyliżby nigdy razem nie miały się łączyć?

- Tylko w Bogu spólnę ich źródło, człowiek jedną wybierać musi, jeśli czystą chce osiąść. Gdy od kolebki goni za uczuciami, wtedy nie pojmuje mądrości, a gdy dalej tę wyższą ściga, już przy południu życia uschnie w jego sercu wątły kwiat miłości, choć do zmroku ledwo krok jeden w niezmierzonej nauce postąpił...

- Więc na cóż żyć tak niepewno - odrzekła Arminia - na co wahać się ciągle między dwoma biegunami? Takiego życia nie mógł nam Stwórca przeznaczyć.

- A choćby i nie przeznaczył - dodał po chwili Sędziwoj - czy wierzysz, że jest sposób odgadnięcia własnego przeznaczenia? Jak te gwiazdy, rozdzielone miriadami innych słońc, nie spotykają swych promion ze sobą, tak znajdź ludzi, aby dwie krople wśród oceanu spłynęły się razem. Przecież takie było połączenie wasze z Kosmopolitą. Arminio, czy byłaś szczęśliwą?

- On czuł to - rzekła smętnie - nie byliśmy dla siebie przeznaczeni. Przysięgam, że oddam rękę temu, kto mą matkę uzdrowi, a chociaż Kosmopolita nie wiedział o przysiędze, zdawało mi się, iż powinnam jej dopełnić. Lecz mamże ci wyznać, może to grzechem jest, ale zdawało mi się, iż przywiązanie tak powinno być nieprzymuszone, wolne, aby było szczere, że ta sama przysięga przeszkadzała mi kochać, jakbym chciała z całej duszy mojego męża. Szanowałam go, ubóstwiałam, bom nie widziała nikogo z kim by można porównać tego anielskiego człowieka. Charakter jego ciągle jednostajny, pogodny jak dzień bez chmury, widoczna wyższość w każdym słowie bijąca, ta piękność nawet, bez porównania, wzbudziły we mnie uwielbienie bez granic; biedna! brałam to za miłość. A jednak bywały chwile, w których obawiałam go się. Jakkolwiek wieści, które o nim chodziły, nic w oczach moich nie usprawiedliwiała, jednak czasami, kiedy siedział nad brzegiem morza i patrzył się w nieścignioną ciemnej wody powierzchnią lub kiedy widział zachodzące słońce albo jakikolwiek wielki widok natury, wtedy zamyślał się, oczy jego wyraźnie się rozpały, źrenice jego rzucały promiona, jakby dwie gorejące iskry. Zdawało mi się iż rozmawia z jakimiś niewidzialnymi dla mnie istotami, że w innym żyje świecie, i wtedy trwoga mnie przejmowała. On wszystko wiedział, nim usta otworzyłam już myśl moją zgadywał. Domyślałam się z boleścią, iż nawet ukrywa przede mną, że mu najskrytsze moje myśli nie są tajemnymi. I ja wobec jego, jak wobec mojego ducha-dręczyciela, ukrywałam łzy uśmiechu; nie chciałam jemu przykrości robić,

a bałam się, aby którakolwiek myśl moja nie obrażała go, i starałam się myśli odganiać - chociaż wiedziałam, iż to na nic nie posłuży. On spostrzegł te męki i zaczął mnie często unikać i zostawiać samotną.

- A wtedy twój obraz przychodził mi do pamięci, lubiłam marzyć o tobie, bo od czasu, jak pierwszy raz cię zobaczyłam, kochałam cię jak brata. Po matce mojej, zawsze pierwsze twoje nazwisko mimowolnie w modlitwach moich wspominałam. I ja nie wiem dlaczego to, nawet później wyrzucałam sobie, że ciebie więcej kocham sercem, jak męża, i wspomnienie twoje chciałam odegnąć, ale na próżno. Wiesz, że oczy można zamknąć, aby nie widziały, oddech wstrzymać, ale któż potrafi bicie serca zwolnić albo przyspieszyć? Kochać kogo prawdziwie jest to tak łagodne, pełne poświęcenia uczucie, iż niepodobna, aby kiedykolwiek było grzechem.

- W czasie tych moich walk z twoim obrazem spostrzegłam, iż mąż mój czy się wyrzeka swej nauki, czy niespodzianie utracą swą tajemną władzę, lecz coraz był niespokojniejszy. Wzrok jego bardziej ludzkiej nabierał barwy, skłonności, chęci, wszystko stawało się podobne do moich. Wtedy twój obraz zaczynał się sam w moim sercu zacierać i ja poczynałam wierzyć i cieszyć się, że jego ukocham, a o tobie zapomnę; to znów żal mi było ciebie! O! ja wiele wycierpiałam! - Kiedy mniej zaczynałam cierpieć, jego uwięziono; wtedy - z żalu i obawy o mego dobroczyńcę - nawet biedne serce czasu nie miało niepokoić i krwawić się w sobie.

- Niestety! - rzekł Sędziwoj - walki ze światem niewidzialnym stokroć są okropniejsze od tych, które ciebie, biedną, trapiły, i nie tylko tak doskonałych, jak mąż twój, są udziałem. Szczęśliwa! nie znasz walki z duchami, które myśl ośwładną! Serce zbyt wielkie zaludnia [ją] mary, a wtedy zdaje ci się, iż w duszy własnej jest okno tajemne, przez które, jak do kopalni skarbów niewidzialnego świata, spuścić się można.

- I czyż tu mało jest skarbów pod niebem - wtrąciła Arminia wznosząc oczy do gwiazd. - Patrz, jak uroczy jest ten świat widomy, czyż cię sam jego widok nie potrafi zbawić od udurzeń mar zmroku?

- Jest uroczy - odrzekł Sędziwoj - dla tych, którzy czują piękności tych barw i kształtów. Ale gdzie ty ciało, tam ja szkielet widzę, gdzie ty podziwiasz życie, tam mnie śmierć przeraża, a ta stracona ułuda każe mi szukać innej, wznioślejszej potęgi, wdzięków ducha niepodległego śmierci.

- Nie myśl - zawołała Arminia - lecz serce darzy chwilami, które za wieki starczą. Myśl egoisty sama sobie wystarczy zimna, nie dba o szczęście, dba tylko o martwą prawdę. Miłość ma także swój świat niewidzialny, który się objawia kochającym, ale nie zabija trwogą. Spojrzanie miłości, to gwiazdy albo kwiaty, które zdają się patrzeć na ciebie oczyma ukochanego; jej głos słyszysz w każdym dźwięku przyjemnym. Na każdym miejscu, ze wszystkiego, na czym wzrok nasz spocznie, ze wszystkiego, co ucha naszego doleci, odzywają się jej słowa i spojrzenia. Ona jest, jak zorzą cudowną, która wszystko różowym oblewa światłem. Jej pieczęć wyciśnięta jest na całej naturze. I ty porzuć myśli, a żyj sercem na chwilę; ja nauki nienawidzę, bo jej nie pojmuję, ale ty ocenisz każde drgnienie serca i zrozumiesz je, a zdobędziesz to, za czym tak długo na próżno goniłeś - pokój duszy i szczęście.

Sędziwoj, ogrzany zapalem, sam czuł przysporzone bicie swego puls. Postać pięknej jego przyjaciółki otoczona bladym gwiazd światłem, które w jej oczach drgało, jak w swych siostrach na ziemi, wydała mu się nadludzkiej piękności.

Wydało mu się, jakby magnetyczny wpływ, jaki na niego umierający mistrz jego wywarł, wzmacniał się teraz, przedłużał i wolę jego szanować mu kazał. A od tak dawna pierwszy raz rozkosznie wzruszony odzyskał uwielbienie dla natury ludzkiej i ukląkł przy nogach Arminii.

IV. Krawarz

**„Szczęśliwy! Kto w ścian wiejskich usiadłszy zaciszy,
Gwaru publicznych niezgód w swym domu nie słyszy.”**

Ziemiaństwo Delilla, Pieśń I

ROK JEDEN MINAŁ OD ŚMIERCI Kosmopolity i Sędziwoj wdowę jego pojął za żonę. Zgiełk miasta, głuszący wszelkie szersze uniesienia, a może tajemna obawa, aby sposobności zdarzające się w Krakowie nie obudziły uspioonej namiętności Sędziwoja, skłaniały Arminią do wybrania cichszego, bliższego natury schronienia. Wkrótce więc przenieśli się do nabytej włości na granicy Szląska, w pięknym położeniu, do dziś dnia istniejącej pod nazwiskiem Krawarza.*

Widoki otaczające ich samotne wiejskie mieszkanie oprawne w łańcuchy wyniosłych gór, tak zgodne z tą spokojnością, w której tonęli, jakby były jej symbolem, cały ten nowy świat domowego życia, nie zdołały ani zapełnić czczości jego myśli, ani przytłumić wspomnień młodości. Nie mógł się przyzwyczaić uważać ich za stan trwały, lecz oczekiwał ciągle. Przez ten rok od śmierci mistrza serce jego jeszcze chwilami było zajęte; Arminia była zupełnie szczęśliwą i odbłask jej radości oświecał jego myśli i czucia. Jeżeli czasem tęsknota odezwała się w duszy alchemika, wnet poskromił ją, mniemając, że połączywszy się ślubem z Arminią zupełnie wrócić zdoła do świata zwyczajnego. Po zaślubieniu jej jednak niepokój jego częściej i dłużej powracał i on sam nie śmiał badać go. W kilku chwilach małżeństwa wyczerpał i ostudził cały zapas zebranych uczuć.

Niewinne i coraz nowe zajęcia Arminii z początku dziwiły go i mile zajmowały, lecz z postępem czasu sama drobiazgowość podobnych dla przywykłej do wyższych dążeń głowy stawała się ciężarem, gdy żadnego echa w sercu nie budziły. On cały ten świat prostoty rozbierając myślą wyczerpnął i osuszył w kilku chwilach.

Gdy Arminia pokazywała mu jaki piękny kwiat świeżo w ich ogrodzie rozwinięty, gdy prowadziła go słuchać prostych mów wieśniaczych, alchemik już udawał zajęcie, a najobjętniejsze na pozór słowo budziło niespodzianie jego marzenia. Jeszcze starał się udawać spokojny pozór, walczył ze sobą, jakby przeczuwał, iż myśli jego i dla Arminii staną się katuszą i wnet zaćmią chwilową pogodę jej nieba.

Dla zapełnienia długiego czasu i przepędzenia go zaczął pisać. Dawne wyobrażenia, doświadczenia, pojęcia, z którymi wzrósł i tyle przemian doznał, obfitej dostarczyły mu treści.

Wikłał je w jedno tajemnicze wysłowienie, do którego przywykł ciągłym rozczytywaniem pism alchemików i kabalistów, i w ten sposób tworzył rozprawy bez widomego wyraźnego celu, gdzie jawniejsze prawdy odziane w poetycką formę, pomieszane z domysłami, marzeniami i zagadkami, do których by i sam autor nie znalazł nieraz klucza, tworzyły w owych czasach uwielbiane i powszechnie czytane pisma alchemiczne i kabalistyczne.

Tym sposobem po kilkuletniej przerwie znajome już wszędzie imię Sędziwoja zjawiało się znowu i w tysiącnych drukowane egzemplarzach cały świat obiegiło. Wszyscy byli pewni, iż w pismach człowieka, który tak niewątpliwie dał dowody swej sztuki, tkwi skazówka do odkrycia wielkiej tajemnicy. Dzieło jego zyskało niesłychane powodzenie. Tłumaczone na wszystkie języki, w niezliczonych wydaniach było w ręku nie tylko alchemików, lecz wszystkich mających chęć zyskania łatwych bogactw. **

Cichy Krawarz stał się od tego czasu biegunową gwiazdą zwabiającą tłumy wielbicieli polskiego adepty.

Ciekawi spodziewali się, iż w jego rozmowie znajdą klucz odgadnienia jego pism tajemniczych. Arminia, upojona szczęściem swego męża, rozumiała, iż to jest ostatni wieniec jego tryumfów i na tym poprzestanie. Cieszyła się jak dziecko z jego sławy, gdy tymczasem ta zgubna sława, podsycana od próżności, zaczęła budzić z całą mocą starą namiętność w duszy Sędziwoja. On poznał czczość tego rozgłosu i czuł, że lata pokuty ciążyą na nim.

Wkrótce żona jego została matką. Pokładała ufność nadzieję, że to czarowne nazwisko „ojciec” stanie się dla niego na wieki kotwicą przywiązującą go do świata rzeczywistego; a to samo właśnie przeciwny wywarło skutek i popchnęło go silniej naprzeciw przeznaczenia. To, z czym dotąd jeszcze jakkolwiek walczył, począł teraz cenić jako cnotę i obowiązek. Wspomniawszy na nowo narodzonego chciał go zostawić dziedzicem swej sławy i przekazać mu wielką tajemnicę; a jeśli by jemu dojsze jej miało być wzbronionym, chciał go przynajmniej przygotować, aby wychowany od kolebki dla nauki sam doszedł tam, dokąd on na próżno dojsze silił się.

- Nowa dusza zjawia się dla świata - mówił w sobie alchemik patrząc na małe niemowlę. - Jeżeli ludzi spokojnych, otoczonych powabami życia, wszystkie nerwy wzruszone rozkosznie na widok nowo narodzonego dziecięcia, jeżeli zdaje im się, jakoby z nim wracali się do pierwotnej niewinności, jeżeli czują, iż dziecię własne obdarza ich anielskim posłannictwem prowadzenia tego młodego życia od kolebki w świat ku wiecznemu pobytowi, jakież musi być radosne uniesienie tego, komu urodzi się dziedzic skarbów, które stokroć powiększają się z nim podzielone.

- Nie jestże to półboski zawód, samo kierowanie tak pięknego życia do szerszego i głębszego potoku ku Edenowi, gdzie wzięło początek.

Lecz wszystkie te najczystsze, najrozkoszniejsze uczucia, podsycaly tylko w duszy jego płomień ciągle tlejący, który - jak ogień lampy wieczystej - nigdy nie gaśnie.

* Karwarz, Krawarz, Grawarna, miasteczko tegoż imienia w Szląsku, które Sędziwoj miał otrzymać od pewnego hrabiego w Marchii za wynagrodzenie, iż go hrabia napadł w podróży i więzieniem chciał wymusić od niego tajemnice kamienia mędrców. Sędziwojowi udało się zemknąć i skargę zanieść do cesarza, który tym sposobem doznane krzywdy wynagrodzić mu podobno rozkazał.

** Pozostało nam kilka dzieł alchemicznej treści po Sędziwoju. Zwykle nie podpisywał na nich swego nazwiska wprost, lecz oznaczał je według ówczesnego zwyczaju jakimkolwiek anagramatem, np. „Divi Leshii genus amo”, co znaczy przełożywszy litery: Michael Sendivogius - itp.

Dzieła jego są następujące:

1. *Tractatus de sulphure* - przedrukowane w Musaeum Hermeticum; Albinei Bibliotheca Chemica, I. Mangeti - *Bibliotheca chemica curiosa*, oprócz tego kilka razy osobno wydane.
2. *Dialogus Mercurii, Alchymistae et Naturae*, także kilkanaście razy drukowane.
3. *Aenigma philosophicum*. - Oprócz tego pozostało po nim 55 listów w Mangeti *Bibl[iotheca] chem[ica]* wydrukowane pod tytułem: *Epistolae apographae batenus inedite*.

Niesłusznie przypisywano mu rozprawę:

De sale philosophorum i Lucerna salis philosophorum.

V. Trzy lata później

„Proszę was, stąpajcie cicho aby nawet ślepy kret
kroków waszych nie słyszał.”

Burza Szekspir

NIEPODOBNA NA KILKU ćwiartkach papieru skreślić to, co przez długie dnie i dłuższe czasem godziny w duszy człowieka jak w kalejdoskopie się zmienia. Z postępem lat, pory wieku postępują po sobie, jak w naturze pod niebem, dnie pogodne przedzielają burze wewnętrzne, bo gdzież jest ten, kto by ciągle jednostajnie miał światłe niebo myślowe? Czas tylko jeden, nieubłagany, nieodmienny, jednostajnie postępuje.

W dziwacznej jednak sprzeczności, jaką często umysł ludzki przedstawia, najniestalszy, najmniejszą w życiu człowieka, nieraz jednej myśli, która go owładnęła, wierny do grobu z uporem się trzyma. W Sędziwoju, którego uczucia niegdyś jak ruchome piaski za lada wiatrem się zmieniały, pozostała jedna tylko namiętność nauki, jakby ogniem wszelkich innych uczuć żywiona.

Jeszcze nie minęło trzy lata od ślubu jego z Arminią, a zerwał już wszystkie pęta przymusu. We dnie krótkie chwile poświęcał spoczynkowi, resztę czasu i noc całą przepędzał w pracowni alchemicznej. Żona jego podobnież bezsennie czas trawiła w oknach domu, wlepione trzymając oczy w złowrogie światło migające w pracowni, a spokojność jej ulatała jak dym i iskry z komina sypiące się.

Sędziwoj, głuchy na otaczający go świat, nie spostrzegał niknącego zdrowia i głębokich śladów łez na twarzy żony.

Towarzystwo jego składali czasem wędrowni alchemicy, licznie go odwiedzający, i przed tymi taił się ze swoimi doświadczeniami i niewiadomością.

Zresztą, wierny Jan zastępował go we wszystkim, co się tyczyło materialnej strony jego życia. Przywiązany sługa, instynktowo odgadujący chęci pana, stał się jakby ręką lub innym, bezpośrednio z wolą alchemika związanym, niemyślącym narzędziem.

Czego szalony zbytek, marnotrawstwo, ledwo dawniej w kilku latach dokazało, to teraz doświadczenia w jednej chwili pożerały.

Nieprzeliczone bogactwa, jakie Kosmopolita zostawił Arminii, zawarte w zapasie kamienia mędrców, Sędziwoj trwonił na doświadczenia, siłąc się chemicznie rozebrać i dojść składu tego cudownego proszku. Każda okruszyna kamienia mędrców była dla niego skarbem, lecz tylko o tyle, o ile rozumiał, iż mu się uda ją rozebrać. Coraz mnożąc, wynajdując nowe doświadczenia i próby, łudził się namiętną nadzieją, jak gracz owładnięty szalem, który w czasie [gry] gotów duszę stawić na kartę i nie wierzy, iż może ją przegrać.

Sknerstwo nieopisane ujęło go w swe szpony. Targował się uporczywie z żoną, ze służącym, gdy szło o poświęcenie na nieodbite potrzeby życia trochę złota, które w ogniu i kwasach

chemicznych pełną ręką niweczył. Żona Sędziwoja nie dbała o złoto, nie dbała o nędzę, ale tylko dla siebie, bo gdy wspomniała los czekający ich syna, wtedy była bliską rozpacz.

W czasie jesieni, w rocznicę urodzin dziecięcia, Arminia postanowiła, pomimo tyle razy powtarzanego odzywiania się, silnie uderzyć umysł męża i jeszcze raz zaklinać go o powrót do świata, powrót do miłości. Niepamiętna, iż sama doświadczyła, że uczuciom nie można rozkazywać, gdy raz uleca, nikt ich nie zdoła wrócić do pierwszej mocy.

Z niecierpliwością oczekiwała początku dnia wyglądając co chwila rychło zgaśnie krwawy płomień świecący w laboratorium. Mąż jej trzecią noc już tam przepędzał nie powracając do domu. Zorza zwiastowała wschód słońca, ptaki radośnie się odzywały, natura cała wesoło budziła się, tylko w duszy Arminii smutek na ten widok powiększał się. Nie mogąc wytrzymać udręczenia, wzięwszy dziecię na ręce udała się do pracowni.

Przestępując próg nienawistnej komnaty, w której z kłębamii dymu szczęście jej ulatywało, myślała, iż idzie po wyrok śmierci, tuliła do łona syna, jakby uścisk matki mógł go ochronić od zguby.

Otworzyła drzwi, cichość panująca wewnątrz przeraziła ją.

Mąż jej, schylony przy stole nad księgami, przypatrywał się naprzeciw lampy naczyniu szklannemu dziwaczego kształtu, napełnionemu płynem ciemnego koloru. Sługa, przy ogniu pieca chemicznego także zamyślony, nie spostrzegł wejścia żony swego pana.

Arminia lekko dotknęła się ramienia Sędziwoja, ale ten nie unosząc głowy mówił do siebie przytłumionym głosem:

- Dwieście jeden dni i nocy tak uciążliwej pracy dziś kończy się! Wielki Walentynie, twój geniusz ożywia alkahest. Jutrzenka wszechwładnego słońca wschodzi nad tajemną tynkturą - dzisiejszy dzień powinien oświecić wskreszenie potęgi Trysmegista!

- Mężu mój! - odezwała się z trwogą Arminia.

- Nic nie opuściłem - mówił dalej alchemik. - W pełni księżyca Diana opiekowała się zapłodnieniem, fermentacja w łonie nocy do światła jasnym strzeliła promieniem - teraz, opiekuńcze duchy, wspierajcie wielkie dzieło.

- Mężu - rzekła głośniejszym głosem jego żona wstrząsając go z rozpaczą za rękę. Sędziwoj podniósł głowę, jakby się budził ze snu ciężkiego, i osłupiałe oczy utkwili w pustej przestrzeni. Arminia trzymała naprzeciw niemu uśmiechające się dziecię, które wyciągało drobne rączki do błyszczących metalowych naczyń.

- Mężu! czy mnie nie spostrzegasz! Nie widzisz syna twojego, dziś rocznica jego urodzin!
- wołała konwulsyjnie przerywanym głosem.

- Jeżeli kiedykolwiek tliła w tobie isierka miłości, obudź się, wyrwij z tych sideł szatańskich! zejdz z tej drogi, która pod tobą się usuwa. - Patrz, jak przepaść bliska! - Nie mnie! nie mnie, ale syna swojego ratuj! - Zaklinam cię! Dzieci są świętymi tej ziemi, ich pośrednictwo dochodzi do nieba. Bóg przebaczy ci, tylko nie gub tego, któremu dałeś życie! - Dla mnie bądź ty czarownikiem, bądź szatanem, nie ulękne się, ale niech tylko mnie jednej grozi niebezpieczeństwo.

- Miłość moja dla ciebie jest najświętszą częścią mojej duszy; ja nie chcę nic wiedzieć, nic umieć, tylko kochać ciebie! - To samo nie pozwoli mi już upatrywać w tobie najmniejszej wady. Ale co by powiedział Bóg, co byś sam przy zgonie powiedział, gdybym dla miłości twojej poświęciła syna, któremu dusza matki jest jedyną tarczą.

- Widzisz, jak on się patrzy, widzisz te jego oczy; one ciągle tak otwarte, on nigdy nie śpi, czy już i jego czary otoczyły? - Okrutny! czy już i jego przeznaczyłeś na pastwę twojej przera-

żającej nauki! - Ja słaba, niedołęzna, zginę, i cóż się z nim stanie? - Na kolanach błagam cię, nie przyprowadzaj mnie do rozpacz, nie odejmuj mi rozumu.

Wzrok Sędziwoja nabierał coraz dzikszego wyrazu, wyciągając rękę na głowę dziecięcia, rzekł z okropnym lodowatym wyrazem:

- Gorączkę ślepych przesądów słaboduszni biorą za prawy obowiązek - dla nich gotowi poświęcić chwałę i potęgę bez granic, aby się czołgać w prochu ziemi. Nie taki los części duszy mojej w wychowaniu.

- Stroma po bezdrożach ścieżka zarosła cierniami - na nagim skał zimnych grzbiecie, wśród obłoków świątynia, której on będzie kapłanem. Jej progu pilnuje straszliwy wróg - ja wroga zwalczyłem - ja mu zawady uprzątę! - Dziś!...

- A więc niech będzie przeklęta godzina, w której pierwszy raz ten piekielny szal myśl twoją zapalił. Lepiej zamorduj to niewinne dziecię, jak co byś je miał wychować, aby potem zwalić na niego cały ciężar obłąkania i nędzy! Wspomnij okropny zgon ojca mojego!...

I posuwała syna ku mężowi; dziecię słabą dłonią schwyciło za szklane naczynie z płynem; flaszka spadła i roztrzaskała się o podłogę.

Dźwięk szkła dokazał więcej niż łzy matki i uśmiech dziecięcia. Sędziwoj ocknął się z uniesienia.

- Jezus Maria - zawołał Jan przybiegając od ognia i chwytając dziecię na ręce. - W tej flaszcze był rozpuszczony ostatni szczątek kamienia mędrców; dwieście dni pracy, wszystko zgubione! Sędziwoj porwał Arminią i wskazując palcem w ciemny kąt pokoju przytłumionym głosem rzekł:

- Zawołałaś go, oto jest.

W ciemnym rogu komnaty zawieszony był portret Tholdena, ten, który w Bazylei w jego pracowni się znajdował. Teraz światło węgla z komina rzucało na niego dziwny blask, zdawało się, że ożył i szyderczym uśmiechem iskrzącymi oczyma spogląda na swą córkę.

- On wszędzie sprowadza przekleństwo - mówił Sędziwoj.

Arminia zakryła rękami przed tym wzrokiem obrazu swoje blade, kroplami potu okryte, czoło i upadła nie wydawszy ani jednego głosu.

Biedne dziecię, niewinny sprawca tej sceny, zostało sierotą.

VI. Piętnaście lat później

**„Gdyby mnie wszystkie wyrocznie za najmędrszego ogłosiły,
może być, iż sławę czulego człowieka zamieniłbym
na utratę całej mej mądrości.”**
Lessing (w jednym z listów)

ROK ZA ROKIEM MIJAŁ, A W duszy Sędziwoja żadna nie nastawała zmiana, jakby dla niego czas się zastanowił.

Zajęty swoimi badaniami wszystkie im myśli poświęcał i tylko wspomnienie Arminii zachmu-
rzało go czasami. Gdy przypadek jaki wywołał w nim to wspomnienie, wtedy siadał w mil-
czeniu, i przepędzał, nieruchomy, godzin kilka, a na jego czole widać było, jak wewnątrz
budzi się z letargu uczucie i po duszy nurtuje. Lecz chwile te coraz rzadsze, coraz krótsze,
zacierają się, aby nie wracać.

Syn jego na opiece Boskiej wyrósł, wbrew wszelkim marzeniom ojca, na prawdziwe dziecko
natury. - Niespokojny, dziki, od niemowlęcia kierował się uporczywie własnymi chęciami;
żaden przymus ani zachęta, żadna droga przekonania przekonać uporu nie mogły. Nie był
stworzony do nauki. Dziecko, a już samotność tyle miała dla niego pociągu, iż przechadzki
śród gór najmiłszą były jego rozrywką. Małomówny, ponury, zwykłe zabawy jego wieku nie-
cierpliwiły go.

Gdy wyrósł na szesnastoletniego chłopca, za towarzyszków obrał wyłącznie skały i drzewa i z
łukiem w ręku, kołczanem na plecach, uczył się niebezpiecznego myślistwa od starych górali.
Wystawiony na wszelkie niepogody trawił po dni kilka za domem. Nauki, które mu od
kolebki wystawiano jako jedyne szczęście, jedyną wielkość na ziemi, lekceważył, nie pojmo-
wał ich użyteczności, a nienawidził przymusu będącego pierwszym warunkiem ich nabycia.
Aby prowadzić i kierować takiego wychowanka, trzeba było zająć się nim wyłącznie; stać się
powiernikiem jego marzeń. Sędziwoj nie zdołał już nagiąć się do dziecięcej myśli, a zajętego
czasu alchemią nie potrafił poświęcać wychowaniu. Widząc niezręczne swoje usiłowania bez-
silnymi, zniechęcony, rzucił wodze żądź dziecka na los Opatrzności, a sam bez przeszkody
tonął w swych niezgruntowanych badaniach.

Rozumiał co dzień, iż wieczór ujrzy odkrycie kamienia mędrców i że to odkrycie uderzy
umysł jego syna, a ukazując mu tak widocznie wielkość sztuki, jeszcze życiu jego nada silny
i nowy kierunek.

Pomimo całą obojętność, w głębi serca alchemika tlał właściwy namiętnej duszy ogień przy-
wiązania do swego potomka.

Właśnie od śmierci Arminii upłynęło lat piętnaście; rocznicę tę smutną dobrze pamiętał Jan
i cichą łzą ją uświęcił, strzegł się jednak bardzo, aby panu swemu nie dać jej przypomnieć;

nie wiedział biedny, że Sędziwoj całą noc bezsennością przepędził, głęboką boleścią uświęcając tak dotkliwy cios dla niego.

Cały dzień był niepokojny, przed zachodem słońca gęsta mgła opadła z gór w doliny i uprzedziła zmrok. Za nadejściem nocy wichur porwał się i wyjął przeraźliwie wśród skał przodkowa burzy w szalonym tańcu. Zdawało się, że posady skał drgają od wstrząśnienia powietrza. Północ była bliska i burza dochodziła szczytu swej gwałtowności. W zawartej pracowni alchemicznej płomień lampy migotał, a dęcia miecha na węgle przed szumem burzy nie było słychać. Jan raz po raz zbliżał się do drzwi, przysłuchiwał; widna była niespokojność, co nim miotła. Sędziwoj zapalił drugą lampę i patrząc na zegar rzekł do sługi:

- Za godzinę, gdy walka nocy ze dniem stanie na niebie w punkcie przechylenia, pod opieką Oriona, trzeba rozpocząć nowe dzieło. Wstaw ten wielki tygiel ołówkowy, obłóż węglami i u góry na kracie rozpal płomień, aby ciąg wiatru jak błyskawice unosił dymy w komin. Tu niech będą gotowe te dwa recypiensy. W ogniu te rudy kobaltu i arseniku pomieszane z siarką wyzioną z siebie zjadliwą parę. Dla naszej ochrony oczyść z pyłu te dwie maski, przez nie śmiało możemy patrzeć. Pomocnik, świadomy sposobów postępowania, spełniając rozkazy mówił:

- Dawno już te larwy szklane spoczywały w pokoju, dlatego na nich tak grubo pyłu i sadzy. Zdaje mi się, żeśmy ich nie używali od...

Tu nagle zastanowił się i umilkł, chciał powiedzieć: - od śmierci pani.

Jednak Sędziwoj przypomniał sobie i zachmurzył czoło wkładając na twarz dętą szklaną maskę, której obwód obłożony gębką napuszczoną olejem, szczelnie przystając do twarzy, oczyszczał zatrute powietrze.

Tygiel napełniony rudą wkrótce zaczął syczeć i gęste obłoki zjadliwych dymów truciznowych kłębiącym się strumieniem ulatywały w górę.

Alchemik raz po raz zaglądał do otwartej księgi leżącej na stole, radził się jej i nowe przyrzucił materiały do ognistego tygla mieszając szklistą masę żelaznym prętem.

Wydobyli wreszcie tygiel z żaru i Sędziwoj wrzucił do niego pełną łyżkę jakiegoś złotawego proszku, gdy nagle wichur zakręcił się nad dachem pracowni tak silnie, iż węgle z komina sypnęły iskrami na środek komnaty, a biały, gryzący dym buchając jak kaskada z tygla wypełnił całą pracownię.

Jan posunął się ku drzwiom chcąc je uchylić, gdy te same z trzaskiem otwarły się i syn alchemika wpadł na środek, przesiąkły deszczem, czerwony od znużenia, z wyrazem nadzwyczajnego przestachu. W rękę trzymał złamany łuk, głowę miał obnażoną i nie zważając na dym wypełniający pracownię zapytał się przerywanym dla znużonego oddechu głosem:

- Ojczy, czy wołałeś mnie? I wskazał ręką na otwarte drzwi pracowni w głębi ciemnego kurytarza, lecz nie zdołał więcej przemówić, bo - odetchnąwszy głęboko parę razy - schwycił się za piersi, a później zatykając ręką usta chciał wyjść z tej zabójczej atmosfery, ale już do drzwi dopaść nie mógł, zakręcił się, potoczył, ukląkł i upadł na progu.

To niespodziane zjawienie się syna Sędziwoja tak przeraziło go, iż przez chwilę nie mógł przyjść do przytomności, nie wiedział, co począć; chwila ta wystarczyła do ogarnięcia go wyziewami. Pierwszy Jan, ochłonąwszy z trwogi, porwał młodzieńca na ramiona i wyniósł na świeże powietrze, ale już przemówić nie mógł. Wskazywał ręką na las w górach, to znów na pracownię, przyciskał dłonie do piersi i skazywał w górę ze łzami w oczach, ale znaczenia tego trudno było odgadnąć. Owładnięty zabójczą parą w kilka dni umarł na ręku Jana.

Sędziwoj przez kilka miesięcy nie zaglądał do swej pracowni.

VII. Sługa

**„Opuszczony od wszystkich, blady, zwiesił głowę na piersi,
w której boleść wewnętrzna zajęła nowe siedlisko.”**

Matissou

ZGON SYNA ZDAWAŁ SIĘ NA pozór mocniejszy wpływ wywierać na duszę alchemika, jak niegdyś śmierć żony. Boleść jego cofnęła się wewnątrz, żadną skargą jej nie zdradził. Jeszcze więcej milczący, ponury, całkowicie oderwał się od życia zwyczajnego, a żył jedynie wśród swoich ksiąg i doświadczeń.

W początku zawichrzone, pełne bezowocnych wysileń i czczej sławy, w końcu ciche panowanie Zygmunta Wazy skończyło się. Ulubiony od narodu syn jego Władysław, pan dwóch tytułarnych koron, wstąpił na tron i umarł żałowany; wreszcie brata jego, złowrogięgo proroka, zaczęły się rządy.

W Niemczech ciągle walki religijnych pierwiastków wplątanych za główne sprężyny politycznych rewolucji ukończyły się pokojem westfalskim.

Reformacja już trwale nowe dzieje rozpoczęła w Europie; odbicie jej, głośnie z początku, jak dalekie echo rozchwiało się na równinach Polski, a wszelkie przewidywania nie odgadły wpływu tej wulkanicznej zmiany. Czas ulatywał na niezliczonych skrzydłach wypadków, żywioły myślowe roily się i na nowe wyrabiały pierwiastki, we wszystkim wyrastały nowe owoce. Ze starych rycerskich postaci kawałami opadały resztki zardzewiałych zbroi i niewidziane dotąd figury ukazywały się. Już można było widzieć, dokąd pędzi potok tej nowej epoki, który tamowany do dziś jeszcze się nie zmienił, choć bliższy swego morza. Lecz odgłos tych kolei świata przez cały ten przeciąg nie dochodził samotnego alchemika.

Głuchym był, nie widzącym, co go otaczało, zmiany całego świata były mu obojętne, bo nauka jego pozostała niezmienną.

Prosta postać jego pochylila się, głowa dumnie wzniesiona opuszczona, włosy zbieleły i tylko w spojrzeniu taż sama niespokojność, tenże ogień.

Od dawna już wyczerpał wszystkie swoje zasoby. Mała włość Krawarz obciążona była długami przechodzącymi dziesięć razy jej wartość. Sprzęty domowe, gospodarskie, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało sprzedane. Kilka dzieł, które wydał, i kilka rękopismów przyniosło znaczny dochód, lecz nic nie mogło wystarczyć na opędzenie kosztów doświadczeń.

Im dalej w wiek tym utrzymanie życia i zaspokojenie nieodbitych potrzeb stawało się trudniejszym. Od dawna już starzec nie pytał się i nie mógłby odgadnąć skąd Jan, opatrujący wydatki, dostarcza znacznych sum na zakupywanie materiałów do doświadczeń. Ani razu nie przeszło przez myśl Sędziwojowi zapytać się swojego sługi i powiernika, z jakiego źródła pochodzi złoto, którym karmił pracownią.

Jan dosyć często w czasie niedostatku udawał się do Krakowa i powracał z pieniędzmi. Sędziwoj nie dziękował mu, ale wzrok posępny na widok wszechwładnego metalu zaiskrzył się, zmarszczone czoło na chwilę się rozjaśniło, a sługa, tyle lat patrzący w twarz swego pana jak w opiekuńczą gwiazdę, bez słów każde jego wzruszenie, każdą chęć rozumiał, i to więcej od wszystkiego zachęcało go do podwajania tajemnych starań.

Jan wierzył, iż pan jego kiedyś posiadał tajemnicę robienia złota i że wypadkiem jakimś niezbadanym zagubił sekret; teraz z każdym dniem rozumiał, przysiągłby na to, iż go na nowo odkryje.

Raz powrócił z podróży do Krakowa później, dłużej jak zwykle się bawiąc, i smutny nie witał zwykłym uśmiechem swego pana; nie złożył na stole ani kupionych materiałów, ani worka z pieniędzmi, lecz w kącie pokoju, milczący, zawstydzony, zakrywszy oczy rękami siedział jak posąg.

Sędziwoj nie pojął wyrazu zgryzoty na twarzy sługi. Według zwyczaju zaczął czytać z kartki wypisany szereg i porządek nowych prac, które odbyć tej nocy zamysłał.

Dawniej Jan tu i owdzie dodawał uwagi na znak, iż rozumie swojego pana; i dumny był z tego, nieraz jednym wyrazem lub okrzykiem radości podziwiał każde niezwykle doświadczenie; teraz alchemik skończył czytanie, a służący nie miał dość odwagi, aby mu wyznać, iż nie przywiózł ze sobą ani jednego grosza pragskiego.

Jeszcze było kilka godzin do wieczoru, zwykłej pory rozpoczynania doświadczeń, i Sędziwoj poszedł pod wystawę domu używać świeżego powietrza i łagodnych promion słońca, a Jan czekał, czy Opatrzność nie zesle mu ratunku.

W prostocie swego ducha miał nadzieję cudu.

Wtem po kamienistej drodze od Krakowa zajechał przed dom konno jeździec i zsiadając witał Sędziwoja.

Jan uchylił drzwi i zbladł na widok gościa.

Był to starzec późnego już wieku, lecz dość jeszcze żwawy. Włosy wysoko podgolone okrywał starej mody marmurkowym kołpakiem; wąsy i brodę dokoła twarzy krótko miał podstrzyżone, które, jakkolwiek ubielone wiekiem, przebijały rudym kolorem. Po twarzy w ciągłym ruchu będącej, zmarszczkami pokrytej, po wzroku niespokojnym, ustach złośliwym uśmiechem do góry wzniesionych, można było jeszcze poznać chytryść i dumę, które tym człowiekiem miotały. Pomimo wiek podeszły był w ciągłym ruchu i pochylonym ciałem ustawicznie się kłaniał.

Podróżny jego ubiór składający się z żupana i delii był dwóch kolorów, więcej obznajmiony od Sędziwoja z otaczającym go światem poznałby od razu na tym dworaku barwę służącego na dworze pana krakowskiego, którym naówczas był Mikołaj Wolski.

Gość zbliżając się do alchemika po zwykłym powitaniu rzekł:

- Zapewne nie poznajesz mnie? To już lat tyle, jak nie widzieliśmy się; i ciebie już starość sronem osypała, i ja, kiedyśmy się znali, nie byłem tak pochylony.

Ten znajomy dźwięk głosu niespodzianie uderzył Sędziwoja. Nagle, jakby czarodziejskim sposobem, wróciły mu do pamięci wspomnienia młodości. Po chwili baczego wpatrywania się rzekł:

- Jest temu lat pięćdziesiąt znałem jednego człowieka, który - gdyby mi się teraz ukazał - zapewne w podobnej postaci i takim by głosem przemówił - zwał się Waclaw Rogosz.

- Nie omyliłeś się, drogi przyjacielu - zawołał obcy otwierając ramiona do uścisku: - Ja to jestem! Widzisz, że i mnie afekt przyjaźni dobrze prowadził, poznałem cię do razu, a przecież to całe lat pięćdziesiąt.

Sędziwoj cofnął się od uścisku starca i zimno odparł:

- Pół wieku czasu czyż cię tak zmieniło, iż wierzysz w przyjaźń? Ja, panie, pozostałem niezmieniony.

- Widzę to! Zawsze tenże sam - rzekł Rogosz. - Tak też mi ciągle o tobie opowiadał ten twój poczciwy, dobry Jan. Więc bawisz się alchemią bez przestanku, a to zabawnie! Wyznaję, iż zręczny z ciebie lis! kiedyś mnie podszedł, no! już nie trzeba więcej! - Tak długo ludzi uwodzić, to zręczność niesłychana! Kiedy ja sam przysiągłbym był niegdyś, pamiętasz w Pradze, w Sztudgardzie, w Dreźnie, że ty istotnie umiałeś złoto robić! - No! a teraz, kiedyśmy dowiedzieli się o twojej sztuce, kiedy już wszystko minęło, wyznaj mi, kochany, skąd miałeś wtedy tyle pieniędzy? - Bo też to były niesłychane skarby, jakie trawiłeś.

- Przecież pamiętasz, za samą żonę moją zapłaciłeś mi dziesięć tysięcy dukatów! Mój Boże! to była śliczna sumka, gdyby nie to najemne żołdactwo w Niemczech, które mnie zrabowało, byłbym dziś, na stare lata, nie potrzebował służyć! Przyznaj się, może by się ta kopalnia jeszcze otworzyć dała? Wszakże teraz ci to już nic nie zaszkodzi, a to czasem miło o starych latach porozprawiać. Siadajmy razem; cóż tak milczysz?

- Nie rozumiem cię - rzekł alchemik przychodząc coraz więcej do siebie. - Widywałeś Jana? Jan opowiadał ci o mnie?

- Porzućmy te żarty - odparł Rogosz uśmiechając się i zacierając ręce zwykłym swym sposobem. - Daję ci słowo szlacheckie, nie zdradzę cię, nie wspomnę ani słowa mojemu panu ani Mniszchowi, zgoła nikomu.

- Twoim interesom nic nie zaszkodzi, oto pierwszy krok robię do zwierzenia ci się ze wszystkim i przyznaję się, że umyślnie tu dla twego dobra przyjechałem, aby cię ostrzec, iż za daleko już zabrnąłeś. Jeszcze możesz się wycofać bezpiecznie, ale w inny sposób, ma się rozumieć zyskiem i nadal będziemy się dzielić.

- Tak dawno już zerwałem związki ze światem - rzekł zdziwiony i zmieszany Sędziwoj - iż w tej chwili nawet nie mogę pojąć o czym mówisz. Ja dotąd nie zmieniłem się, zysków nie pragnę, a panów oprócz Boga nie znam. Wiesz, iż niegdyś w podobne sprawy nie mieszałem się, dlatego i dziś, jeśli nic więcej nie masz do rzeczenia, bywaj zdrow!

Rogosz parsknął śmiechem i trzymając się za boki głośnym wybuchem wesołości pobudził gniew Sędziwoja i zaostrzył jego uwagę.

- Doskonała komedia - zawołał w końcu. - Tegom się nie spodziewałem, ale teraz nie będę się dziwił, jeżeli wyprzesz się i tej kartki! - I pokazał mu pergaminowy świstek z następującym napisem:

„Zaświadczam, iż od JW. Mikołaja Wolskiego, Wojewody Krakowskiego, Miłościwego Pana mojego, dostałem sposobem pożyczki złotych węgierskich, w złocie, tysięcy trzy, na opędzenie kosztów alchemicznych, i że pod słowem szlacheckim i obawą infamii obowiązuję się za miesiąc pięć od daty zwrócić mu kwotę trzydziestu tysięcy takichże złotych, jako zysk z praktyki mojej i pomocy Miłościwego Pana.

Dan w Krawarzu.

Michał Sędziwoj.”

Alchemik obojętnie przeczytał kartkę, Rogosz podał mu inną, podobnej treści, wydaną Mniszchowi na sześć tysięcy złotych; oprócz tej ukazał kilkanaście rewersów różnego rodzaju wydanych rozmaitym panom, prałatom, szlachcie, nawet cudzoziemcom z obietnicami wywzajemniania się dziesięć razy większymi sumami. W końcu wręczył mu tajemny rozkaz pi-

śmienny uwięzienia i osadzenia w turmie alchemika Sędziwoja, aby mu wytoczyć proces za niezliczone jego podejścia i oszukaństwa, jeśliby nie oddał wyłudzonych pieniędzy, miał być odsadzony czci, sławy szlacheckiej i jako złodziej w więzieniu na zawsze osadzony.

- Przecież poznałeś swoje pismo - rzekł Rogosz - i rozumiałeś ten rozkaz w imieniu królewskim przez pana krakowskiego wydany. Teraz mam nadzieję, że rozumiałeś rzecz całą i przestaniesz udawać. Widzisz, iż jesteś w moim ręku. Ale, kochany przyjacielu, nie obawiaj się; umyślnie przybyłem, aby cię ratować. Musisz tylko koniecznie ze mną jechać do Krakowa, a tam, jeśli dobrze urządzisz twoje sztuki, to wnet zręcznie zarobiemy piękne pieniądze; jeszcze się wykręcimy, byłeś tylko oddał panu krakowskiemu jego pieniądze. Inaczej cóż zrobisz? Jan teraz nic nie pomoże, załuję i tak, żeś się wprost do mnie lepiej nie udał, jego pośrednictwo zaszkodziło wiele.

- Precz ode mnie, nikczemny! - zawołał starzec z oburzeniem. - Te pisma nie są mojej ręki! Ja nie znam ani Mikołaja Wolskiego, ani Mniszcha - ja nikogo nie znam i nie widziałem! Dlatego że oddany moim badaniom, noc i dzień zatopiony w księgach, zapomniałem o świecie, więc rozumiesz, że do tego stopnia zapomniałem obrotów [światowych, iż] mnie podłością obarczyć potrafisz. Znam cię - chcesz się mścić nade mną! To jest piekielny twój wymysł.

- Wymysł? - zapytał Rogosz i dobywszy znowu z kieszeni bitego talara rudolfowskiego pokazał go Sędziwojowi.

- A to czyj jest wymysł? Czy wiesz, co znaczy to złoto, które z powierzchni tego talara starłem gdzieniegdzie? Zapewne taka sztuka zowie się uczciwością alchemiczną?

- Ten pieniądz jest pozłacany - rzekł Sędziwoj.

- A tymczasem - dodał Rogosz - twój Jan takie talary, niby od ciebie zamienione na złoto, bardzo drogo sprzedaje. Jego wszyscy znają w Krakowie, wiedzą, że on twoim służącym, dlatego mu wierzą; ale teraz wydają się sprawki. Sam król miał taki talar twojej roboty w swym ręku!

- Mojej roboty? Jan sprzedawał? - mówił Sędziwoj oglądając się i pocierając czoła, jakby nie ufał własnej pamięci i jakby teraz jakieś światelko rozjaśniało jego ciemne domysły.

- Mnie to nie dziwi - rzekł Rogosz z gorzkim uśmiechem. - Tak to skończyły się nasze młodzieńcze urojenia: tyś został alchemicznym oszustem, a ja posługaczem dworskim! A jakie piękne mieliśmy nadzieje, czy pamiętasz, biedny alchemiku?

Wtem Jan, który dotąd za drzwiami słuchał z okropną męką tej całej rozprawy, nie mogąc dłużej wytrwać, wybiegł i upadł na kolana przed Sędziwojem.

- Panie mój najdroższy! - wołał ze łkaniem ściskając jego kolana. - Przebacz, to ja jestem sprawca tych zbrodni! Ja teraz dopiero widzę, com zdziałiał! Bóg mnie ukarze, ale ty, panie, przebacz mi! Ja z miłości dla ciebie moje życie wieczyste zgubiłem i nie żałowałbym, gdybyś ty był szczęśliwym! Zostałem oszustem, złodziejem, ja, com tak długo żył poczciwy, byleby tobie usłużyć. Duszę bym sprzedał, abyś ty był szczęśliwy, a gdzieżbyś mógł być szczęśliwy, jeżeli nie w naszej pracowni?

- Panie, ja wierzę, ty jeszcze odkryjesz tajemnicę!

- Kiedyśmy już wszystko posprzedawali, kiedy już nawet żadnych długów zaciągnąć nie można było, kiedy ja sam już prawie trzy dni nic nie jadłem i nocy nie spałem przemyślając, abyś ty, panie, nie spostrzegł się, że nie ma już przez dzień jeden czym życia utrzymać, wtedy po wyjściu do Krakowa spotkałem pana Rogosza, zwierzyłem mu się z naszą biedą i za jego radą sfalszowałem pismo twoje, panie!

- Dostałem pieniędzy. Od tego czasu co dzień myślałem: odkryjemy kamień mędrców i oddamy, i znów pożyczę, jednemu połowę oddawałem, biorąc od innych, i tak ciągle biedną głową radziłem, jak urwać, jak sztukować. Ja nie mam żony, nie mam dzieci ani rodziny, tylko ciebie jednego za wszystko ukochałem, przecież i pies nie może być wierniejszy! A jednak ja nie miałem ani chwili bezpiecznej ani spokojnej, bo ciągle czekałem rychło mnie schwytać i stracą, jako złodzieja, a przecie Bóg, co mnie osądzi, widzi, iż ja zawsze brzydziłem się niecnotą! Teraz, panie, wydaj mnie na sąd, że ja oszukiwałem, niech się dowiedzą, że ty, panie, nie wiedziałeś o tym - ja błagam cię, niech mnie ukarzą, zamęczą, bo zasłużyłem na to, życie będzie mi teraz męką.

- Ja, głupi, myślałem, że złą drogą dojdzie do dobrego, a to była zbrodnia! Chciałem ciebie, panie, ratować i zgubiłem cię, ja, biedny, stary służący!

I tarzał się u nóg swego pana w prochu, a ten zimno niewzruszony patrzył się przed siebie. Rogosz nawet, skostniały od młodości samolubstwem, drgnął na chwilę, widząc to, czemu nigdy nie wierzył: zaparcie się samego siebie dla drugich.

Sędziwoj pierwszy przerwał milczenie.

- Pozostały mi jeszcze moje księgi i pracownia alchemiczna, zbierane z takim trudem przez lat tyle, to wystarczy na zaspokojenie długów. Panie dworski, czekam cię jutro dla spełnienia rachunków, dziś, za łaskę proszę, pozostaw mnie, chcę sam pozostać.

- A ty, wierny sługo, nędzna ofiaro twej czci bałwochwalczej, ty, któryś mi tyle złego twoją miłością wyświadczył, jedyna istota na ziemi do mnie przywiązana! Oby Bóg, który wgląda w tajniki ludzkiego serca tak ci przebaczył, jak ja ci przebaczam w tej chwili! Ale tu musimy się już rozłączyć. O mnie zapomnij, niech ci się zdaje, iż dla ciebie w tej chwili umarłem. Alchemik wszedł do pracowni i zamknął na rygle wielkie drzwi za sobą.

Tętent kopyt konia unoszącego Rogosza zginął w oddaleniu, a Jan klęczący z głową na piersi zwieszoną pozostał na progu pracowni na wieki już dla niego zamkniętej.

* Gdyby pismo niniejsze było jedynie biografią naszego alchemika, nic godziłoby się faktów, o ile się zdaje pewnych, przekręcać, a nawet śmieszną by było rzeczą przedsięwzięcie uniewinnienia jego oszukaństw, w tym jednak obrazie autor nie poczuwa się do wielkiej winy, iż - chcąc upoetyzować tę postać - fakta same przemienił, z historią realną - zbyt prozaiczną, nic nie chciał mieć wspólnego oprócz samych wypadków.

Do biografii Sędziwoja - i o ile mi wiadomo - mamy tylko następujące źródła:

1. List Des Noyersa, sekretarza królowej polskiej Marli Gonzagi, spisany z opowiadania wielu świadków, r. 1651 do Paryża wysłany. List ten przedrukowany jest: 1) w *Tresor de recherches et antiquites Gauloises et Francoises par Pierre Borel*; 2) w Lenglet Dufresnoy; *Histoire de la philosophie hermetique*, tom I.

2. Lenglet Dufresnoy, *Hist[oire] de la phil[osophie] her[metique] etc.*

3. Życie Sędziwoja w języku niemieckim z opowiadania jego służącego, Jana Bodowskiego, wydane w Hamburgu r. 1683 przez Jana Lange.

4. *Fegefuehr de Scheidekunst*, Hamburg 1702.

5. *[Die] Edelgeborne Jungfer Alchymia. Oder: Eine durch Rationes, viele Exempla und Experimenta abgehandelte Unterrichtung, Was von der Alchymia zu balten und vor Nutzen daraus zu schopffen sey, Nebit einem Zusatz Von der Medicina Unwersali Universal-Process und Einigen Kunst-Stucken Aus der Alchymie*, Tubingen 1730,8°.

[Książka wydana anonimowo przez prof. dr J. C. Creilinga.]

6. Christoph Gottlieb von Murr, *Litterarische Nachrichten zu der Geschichte des sogenamsten Goldmachens*, Leipzig 1805,8°.

Z polskich autorów jeden Wiszniewski dał obszerniejszą i pełną trafnych uwag o alchemii, a między tym i Sędziwoju, wiadomość w swej nieocenionej co do treści książce pod tyt[ulem] *Nowa metoda Bakona*.

VIII Ostatnia walka

**„Myślał, umrę. śmierć końcem jest nędzy człowieka,
Do niej nareszcie mędrzec w nieszczęściu ucieka.”**

Horacy, List XVI księgi I

USIADŁ STARZEC W SAMOTNEJ pracowni przed stołem, gdzie tyle lat bóleści i wahania się przepędził. Myśli jego do głębi wzburzone nierychło uspokoić się mogły. Błąkający się wzrok jego padł na rozwarty przed nim rękopism z grobu Tholdena, którego dziwne i niezrozumiałe głoski patrząc na niego szydziły, iż przez półwiek na próżno się trudził poznaniem ich. - Potem spojrział na swoje ukochane księgi i narzędzia alchemiczne, jak ojciec, który jeszcze raz chce oglądać zwłoki syna, zanim je na wieki grób przykryje.

Żegnał się z każdym przedmiotem i dusza żegnała się z każdym wspomnieniem, jakby bliska była jej ostatnia godzina.

I głośniejszy sam do siebie się odezwał:

- Świat zewnętrzny! świat wewnętrzny! Jakaż okropna otchłań was przedziela! Miotany niespokojnym duchem, którego nie sam sobie obrałem, wolałem całe życie rzucić na udręczenie, jak zostać popolitym szczęśliwym człowiekiem.

- Z młodości rzuciłem się w wir ziemski, przebyłem go cały i widziałem tylko czczość, lodowe góry, rzadkie chwile gorączki i dzikie pustynie, jak zbłąkany wędrowiec, przerażony, wstałem w siebie i ujrzałem ciemną przepaść! W przestkach rozpacz, wiedziony błędnym ogniem, tułałem się, aby wyjść z labiryntu i wewnątrz duszy oświecić prawdziwym światłem! Chciałem zdobyć harmonią i - widząc nieszczęścia ludzi - o szalony! rozumiałem, iż nauką ziemię odrodzić zdołam!

- A oto teraz, nad grobem, przebywszy wszystkie cierpienia, jakie na biedną ludzką duszę spaść mogą, straciwszy skarby niezliczone, zużywszy kilka wieków popolitego życia, wróciłem do tego punktu skąd wyszedłem, tylko lżejszy, bo już bez nadziei! Najszlachetniejsze uczucia, najświętsze zarody mej duszy, w świecie jak na lawie wulkanu nędzne rośliny marniały. Wszystko, czegom się dotknął jak owiane wichrem z pustyni usychało!

- Nauko! dla której poświęciłem kochankę, żonę, syna, dla której zrzekłem się szczęścia i pokoju ziemi, i uciech, krzepiących nawet nędzarza w jego życiu - ty, któraś jako samowładna pani całą duszą moją rządziła, dla której straciłem jedyny fałszywy zysk ośmdziesięcioletniej pracy - sławę moją! - dla której jedyna istota przywiązana jeszcze do mnie zdradziła mnie! Ty, najświętsza część mej istoty, i ty, teraz poznaję, nie jesteś czystym duchem - wcielona w księgi i w te narzędzia, opuszczasz mnie! Zrzekam się ciebie na wieki!

- Jestem samotny! Ostatnie ogniwa łączące mnie z ziemią pękły! Nie mam nic, czego bym żałował, nic, czego bym się spodziewał.

- Jedna wiara w mądrość i miłość przedwiecznych, nieścigłych wyroków odwiedza mnie po tylu latach! Ach! jakże boleśnie, iż teraz dopiero spostrzegam, że bez wiary byłem igraszką wroga.

- I jakież teraz los mój?

- Mistrzu mój! Kosmopolito, oto stoję na granicy dwóch światów! Jeżeli głos mej duszy dochodzi do ciebie, ty zadrżysz, boś mi, konając, kłamstwo przepowiedział! Gdzież jest ten świat nadziemski, dla którego w piekło rzuciłem ośmdziesiąt lat mego istnienia?

Światło lampy zbledniało, chłodny i wonny powiew poruszył powietrze i z odległym brzmieniem nadludzkich melodii fale żywego blasku jak pył diamentowy wypełniły całą komnatę. Alchemik już nie był samotnym.

Tysięczne głosy, łagodne, pełne pociechy, to znów groźne, szydercze, grały wokół niego. Świat duchów zstąpił do ciemnej pracowni, skoro ją prawdziwa wiara ożywiła.

- Umrzyj! - brzmiał głos z lewej strony - i czegoż się wahasz? Oto ja, śmierć, przychodzę do ciebie. Nie tych strasznych rysów, w które bojaźliwi i bezduszni stroją moją postać, ale patrz! oto wiecznie młoda, blada, lecz piękna, z wieńcem lilii na głowie, w tysięczne strojna powaby czekam na ciebie. Pocałunkiem moim odbiorę ci największe nieszczęście twojej duszy na ziemi - odbiorę ci życie! - Moje żądze nigdy nienasycone, a pocałunek mój upaja rozkoszą! - I czegoż czekasz? - Oto tysięcznym okiem, z tych trucizn bez liku - z tego gazu węgla i ostrza sztyletu, spoglądam na ciebie namiętnie.

- Ziemia ci była złą macochą, ja, śmierć, przyjmę cię jak oblubienica w swoje ramiona! Samobójstwo jest tylko ratunkiem od gorszej zguby - nie trwóż się.

- Gdyś wszystko na ziemi wyczerpał, całą nędzę i rozkosz życia, i cóż cię może więcej czekać jak śmierć? Po cóż wlec nudne życie z tym ciągłym zapachem grobu i zgnilizny! Lubią do mnie ludzie zbliżać się, przypatrywać, znowu oddalać, aż wpaść w moje uściski zdaje im się rozkoszą nieznównaną. Z głębi przepaści mojej uśmiech wam świeci. Nieszczęśliwi wędrowcy, na moim łonie jedyny wasz pokój!

- O! wściekle! wściekle! - jękał starzec - widzieć przez całe życie wyższą, jedyną prawdę, domyślać się sideł i patrząc na gwiazdy wpaść w bezdenną otchłań fałszu, spętany piekielnymi więzami czarnego ducha! i całym wysileniem nie móc się wydobyć! - Spadać! w czczości lecieć! - wieki! - Wieczność!

- Stój, bluźnierco! - zagrzmiął głos z góry. - Dobroć przedwieczna jest bez granic. Jest chwila odrodzenia! Sam szatan spadał, lecz stanął i już się zatrzymał.

- Twoja błędna droga, i ta cię może zawieść do celu, bo dla ludzkości żadna myśl człowieka nie jest straconą! Co myśl stworzyła to było konieczne!

- Tak! - odezwał się głos szyderczy - piękne twoje myśli! Pracowałeś na nie dlatego, aby po śmierci, gdy duch twój przeszedłszy tysiące zmian jeszcze się nie otrząśnie z pyłu ziemi, aby już dążenia twoje, nawet imię twoje legły w grobie zapomnienia; a biedny szperacz, chcąc ślad twej ziemskiej wędrówki wynaleźć, będzie zmuszony sto ksiąg przewrócić, sto dni odychać wzruszonym pyłem zbutwiałych bibliotek, i aby wreszcie z kilku wspomnień, z kilku wyrazów na los rzuconych, zbudował obraz twych obłędów, twych wahań się, lecz ani jednego rysu do twej fizjognomii ducha. I skreśli twój żywot jak mapę nieznanych krajów, gdzie granice wyraźne, a wewnątrz pustynie. - W późne wieki gawiedź bezdusznych pismaków podawać sobie będzie w puściźnie najdziksze o was wieści. - Rzekną, iż dla podłego zysku pracowaliście, iż serca wasze były tylko dla złota, a sprzeczać się będą o nazwisko nauki, w imię której walczyliście, dla której poświęciłeś szczęście doczesne i byt twój wieczysty!

- Oni opiszą formy i ciało - odezwał się harmonijny głos z prawej strony - bo już nadszedł czas śmierci waszej wewnętrznej nauki! Jej duch w cudownej, nieskończonej metempsykozie przejdzie w inne, które znowu skonają, aby nowym nadać początek; bo choć formy i ciała wszystkich zaginą, to idea prawdy, co je ożywiała, pozostanie wieczysta. Nauka, jak człowiek są nieśmiertelne i wspólnym pokarmem odradzają się!

- O ciesz się! - rzekł znowu szyderyczy ton z lewej strony - ciesz się, a ja spytam się, coś zyskał, biedny starcze, przez tyle lat twojego życia pełnego żądz nieznanej? - Za nadgrode stoisz nad grobem jak dziecko zawstydzone nie śmiejąc witać swojego ojca! Patrzysz na świat jak na zimny rachunek, a w każdej istocie, w motyłu i trupiej głowie zarówno widzisz tylko jednostajne cyfry, ułamki wielkiej liczby, której pojąć nie mogłeś, a każda przynosi ci wspomnienie zmarnowanego dnia, chwili, roku nad badaniem, straconą minutą używania życia!

- Wyplakawszy wszystkie łzy twoje, bliski zamknięcia oczu na wieki, czujesz żółciową gorączkę, jako przedsmak wiecznego bytu! - Przeklinaj godzinę urodzenia twojego! - Dla obrony od rozpacz, ja, śmierć, czekam na ciebie! - Urodzenie twoje wprowadziło cię, mimo twojej woli, na świat, któregoś nie znalazł i nie pragnął, a maż ci być teraz wzbronionym kierowanie się własną wolą? Wejdz w inny świat, tym sztyletem uwolnij się z więzienia ciała i powitaj mnie, która jestem celem każdego człowieka. Tu musiałeś z trudem poznawać twoje wątpliwe obowiązki, tam tylko dwa są bieguny, nie będziesz się wahał: szczęście lub zagłada!

- W ogólnej harmonii byłem potrzebny - rzekł Sędziwoj z godnością. - Rzucony w przestrzeni punkt znikomy, nie dla siebie, lecz żyłem dla prawdy. Myślące i wolne narzędzie wyroków Wielkiego Boga, mam teraz Jego woli sprzeciwiać się, ja, który całe życie dążyłem, mimo wiedzy, do objawienia Jego potęgi!

- Poznając teraz nieścigłość Jego wyroków i spełniam pokutę...

- Precz ode mnie, głosie zwodniczy!...

- Chwała zwycięzcy! - zagrały głosy chórami. Widma i dźwięki lewej strony niknęły, a inne postaci nadludzkiej piękności wieńcem żyjącym otoczyły alchemika. Cała przestrzeń, martwa niegdyś dla niego, zajaśniała życiem.

Wzrok jego się rozjaśnił, serce i myśl orzeźwiła nie znana dotąd błogość. Rzucił okiem na rękopism Tholdena i zdziwiony czytał jego pismo. Litery jakby same przemawiały wprost do jego duszy.

„Wzbronione nam jest, nam, mieszkańcom znikomego świata, wymówić potężne IMIĘ, które wedle pierwszych wyroczeni ziemskich zabrzmiało wśród niezliczonych światów.

Jednakże możemy wyznajdować ślady wskrzeszanych prawd w każdym nowym odkryciu na polu nauk; owych tajemniczych pierwiastków życia, bez którego świat ten byłby podobny do niezmiernego smętarza; wszystko to zawierał ten kodeks, z którego starożytna theurgia czerpała żywioły swego prawodawstwa. Chcieć z tych rozrzuconych wyrazów, słabych śladów jej bytu, odbudowywać historię zasadniczej księgi, byłoby równie szalonym zamiarem, jak odgadnąć plan miasta zburzonego, w którym by tylko groby pozostały nietknięte. Nie! ja stoję przed urną grobową i wyzywam geniusza ze zgaszoną pochodnią: on tak dalece jest podobnym do syna Aphrodite, iż czasami nie wiem, który z nich dwóch dyktuje mi moje słowa... Miłość!... Śmierć!...”

Starzec nie mógł jeszcze pojąć, jakim sposobem prawdy wielkie i dotykane, wokoło których tak długo się błąkał, były bliskie i widome, a on ich nie spostrzegał!...

Miłość i wiara kołysały do spokoju duszę jego znużoną ośmdziesięciu latami niechęci i wątpiewania.

Dziwił się, iż niegdyś nie mógł spostrzec i poznać, że postać straszliwego wroga tam tylko była widzialną, gdzie się w jego krainę wdzierał.

Że pod różnymi postaciami i myślami dotąd go prześladował i dopiero, gdy przejdzie do wieczności, jak cherubin, lub wróci do świata, jak dziecko, wtedy go opuści. Poznał, iż wróg zsyłał mu szczęście, a jego stróż anioł nieszczęście, aby go wybawić.

Przejęty uwielbieniem poznał dopiero wiecznie mądrą harmonią i z cichą modlitwą upadł na kolana.

Jak dźwięki tysiąca arf uderzyła go muzyka sfer wiekuistych.

- Tryumfuj! - brzmiał głos z góry - prawdziwy wróg zwalczony, próba i pokuta spełnione! Postanowienie stałe widomego celu uwieńczyło cię pierwszym pomyślnym skutkiem.

- Tryumfuj, egzorcyzm ten nieomylny. Nie jesteś z liczby tych, którzy zrzekają się przyszłego życia i bezwładni upadają w szpony nieopisanego przestachu. I kiedyż ludzie przekonają się, że jeżeli każda religia kładzie nam za warunek niezbity i surowy konieczność wiary - to dlatego, że wiara nie tylko prowadzi do życia przyszłego, lecz że bez niej nie ma nic godnego chwały w tym życiu. Wiara jest to, co tylko w duszy naszej jest najmądrszego, najszczęśliwszego, najbardziej boskiego. Artysta zowie ją ideałem - kapłan zowie ją wiara.

- Wracaj się swoją drogą, zbłąkany wędrowcze! uznaj piękność i świętość w Odwiecznym!

- Piekielny przestachu, cofaj się do twej ciemnej otchłani!

- Lazurowe niebo jeszcze się będzie uśmiechać do prostego i dziecięcego serca, swoją jedną gwiazdą wieczorem i rano, pomimo podwójnej jej nazwy: wspomnienia i nadziei!

Zdało mu się, iż znowu znajduje się w rodzicielskim domu w małej izbie, gdzie matka jego czuwając po nocach gorącą modlitwą za niego słała do nieba.

Wszystko w pokoju było jak niegdyś; najmniejszy sprzęt na swoim miejscu przemawiał do niego rozkosznym znajomym wyrazem. Pod oknami rozciągał się stary smętarz świeży i zielony; słońce przez gałęzie świerkowe ukośnie padało na groby: - poznał mogiłę ojca i matki, i kaplicę, której skromna wieża wznosiła się w niebo, jak symbol nadziei tych, którzy oddali popioły swoje łonu ziemi. Do ucha jego dolatywały odgłosy dzwonka głoszącego dzień niedzielny. Wszystkie myśli dręczące, widma przykre, rozchwiały się i zniknęły; młodość, wiek dziecięcy wrócił do jego łona z orszakiem niewinnych chęci, łagodnych rozkoszy - zdało mu się, że modli się szczerze, niewinnie, jak niegdyś...

I ocucił się z uniesienia z twarzą rozkosznymi łzami zlaną.

- Niech twój sen będzie ci przewodnikiem, a łzy twoje chrztem! - odezwał się głos.

Sędziwoj rzucając łzawym okiem na flaszkę kryształową, pamiątkę po Kosmopolicie, pełną eliksiru, nalał go w puchar i spełnił ochoczo toast nowego życia.

Cały świat cudownej sztuki nagle Otworzył się dla niego. Zdobył szukaną harmonię; granice świata widomego tak dla niego niknęły jak zawady myśli.

A z wszystkich krańców ziemi zabrzmiały razem głosy mędrców, rozproszonych, a jednak związanych i połączonych wielkimi prawami.

- Witaj nowy bracie! Jako Feniks odrodzony z popiołów twojego życia.

IX Zakończenie

**„... Takiego celu,
Bogu wiadomo, nie miałem wtedy.”
Szekspir, *Kr. Henryk*, cz. II, ks. I**

NAZAJUTRZ RANO ZAJECHAŁA Krawarz czereda pacholków i dworzan, których Rogosz do swej pomocy przywiódł, aby zabrać siłą Sędziwoja, przetrząsnąć jego mieszkanie i zaspokoić tym sposobem zemstę i chciwość. Na progu pracowni zastał jeszcze klęczącego Jana tak, jak go wczoraj pozostawił. Osłupiały sługa, nie mogąc się modlić, pogrążony w bezwładnej rozpacz, z otwartymi oczami noc całą przepędził.

Pracownia była zamknięta; kilka razy dawano znak, stukano, wołano przez wysokie okienko, lecz nikt się nie odzywał. Wreszcie po długim dobijaniu się zniecierpliwiony Rogosz ciężkie drzwi wywalić rozkazał.

Lecz w pracowni nie było nikogo. Jan nie chciał własnym oczom wierzyć, zęgnął się i oglądał. Zdziwienie jego było niesłychane, ponieważ całą noc nie oddalając się na chwilę przebył przy drzwiach pracowni, z której drugiego wyjścia nie było.

Na stole leżała karta z napisem i kilkanaście sztab złota, znacznie przenoszących ilość długów alchemika. Reszta, zbywająca od ich zaspokojenia, i cała włość Krawarz zapisane były własną ręką Sędziwoja Janowi Bodowskiemu na własność.

Rogosz uważał cały ten wypadek za jakiś wybieg wykonany razem w zмовie ze służącym i gdyby nie to, że długi Sędziwoja były zaspokojone, chętnie by jego służącego przymuszał do wyznania prawdy.

Jan żył jeszcze lat kilka. Najmilszym a prawie jedynym zatrudnieniem jego było opowiadanie życia swego pana. W tym celu wielu alchemików podróżujących umyślnie odwiedzało cichy Krawarz.

Z podobnego opowiadania Jana spisano żywot Sędziwoja, który później w Niemczech był drukowany.

O ostatnim tylko wypadku wierny sługa niechętnie mówił, a zmuszony inny mu nadawał kierunek.

Rogosz, tegoż samego jeszcze roku za przeniewierzenie się odpędzony od dworu pana krakowskiego, z nędzy umarł na ulicy.

Epilog

W KILKADZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ, kiedy już prawie zapomniano o bytności Sędziwoja na świecie, zjawił się w Europie tajemniczy człowiek zowiący się Philaleta. *

Niektórzy dotąd uważają go za adepta z szeregu tych, którzy od czasu do czasu zjawiali się, jakby na to tylko, aby wiarę w tajemną naukę utrzymać.

Mówił dobrze wszystkimi językami jakimi go zagadnięto, rozdawał znakomite sumy ubogim i odbywał często, niezbite niczym, oczewiste przemiany zwyczajnych metali na złoto, częściej jednak jeszcze rozdawał proszek uszlachetniający metale.

Zwykle jeździł sam jeden, skromny w ubiorze i życiu, zjawiał się niespodzianie i niespodzianie niknął, jakby odbywał wędrówkę wśród świata, do którego już nie należał.

Jakkolwiek głośne było jego imię i setne o nim krążyły powieści, najusilniejsze starania możliwych nawet osób nic pewnego udzielić nie mogły o jego rodzie i pochodzeniu.

Z tych przyczyn uważano Philaletę za niewątpliwego członka **bractwa różowego krzyża**, o którego istnieniu wtedy wielu już bardzo wątpiło.

Starzy ludzie, którzy widzieli i słyszeli w swej młodości Sędziwoja, szczególnie w Pradze czeskiej, zresztą ci wszyscy, którzy portrety naszego alchemika oglądali, zaręczali powszechnie, iż Philaleta uderzające miał mieć podobieństwo z Sędziwojem, nie tylko z twarzy, lecz z głosu, ruchów swoich, chodu, tak dalece, iż przysiąc by można, że jednym i tym samym byli człowiekiem.

KONIEC

* W pierwszej połowie XVII wieku przebiegał Europę w rozmaitych kierunkach adepta, zowiący się Ireneus Philaleta (przyjaciół prawdy), o którym najdziwniejsze krążyły wieści. Tajemniczy ów człowiek zjawiał się i niknął niepostrzeżony, wszędzie zostawując po sobie najmocniejsze przekonanie zwolenników alchemii, iż rzeczywiście posiadał tajemnicę robienia kamienia mędrców. (Przyp. aut.)